wolnelektury.pl

Zuzanna Morawska

Na zgliszczach Zakonu

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ZUZANNA MORAWSKA

Na zgliszczach Zakonu

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XV WIEKU

GOŚCIE

Na malborskim zamku było bardzo ludno i gwarno jak chyba jeszcze nigdy od założenia tej wielkiej krzyżackiej siedziby. Cudzoziemskich rycerzy przybyła moc taka, że nie tylko Ulryk von Jungingen, mistrz Zakonu, od niedawna piastujący tę godność, ale najstarsi komturowie pamiętający rządy kilku już mistrzów, a też i braciszkowie tak wielkiej liczby cudzoziemskich gości nie pamiętali. Nie pamiętali i pospolitaki, i knechty, chociaż od lat dziecięcych Zakonowi służyli.

— Musi będzie wojna — ozwał się Biber, jeden z najstarszych knechtów, zajmujący obecnie stanowisko setnika, to jest przełożonego nad dziesiątym podwórcem.

— Oo!? — spytano go chórem ciekawie.

— Wojna, toć nie nowina — mruknął Fals, chłop młody, pociągając z wielkiej konwi cienkusz, którym się wszyscy po kolei raczyli.

— Jeno z lekka, z lekka, bo czy wojna, czy nie, ty ciągniesz tak, że dla drugich nie ostanie! — wołali inni, odciągając konew od chciwych ust Falsa.

Aż ten, nie mogąc podołać napastnikom, wypuścił z rąk konew, ale nabranym w usta napojem parsknął na nich śmiechem, opryskując cienkim piwkiem jak rzęsistym deszczem. A kiedy poszkodowani ocierali się rękawem, odgrażając, że mu nie darują, Fals, śmiejąc się, wołał:

— Jeszcze wam źle?! Od gębyście mi odjęli, a ja, żeby was nie uszkodzić, oddałem nawet to, co miałem w gębie!

Wtem dało się słyszeć gwałtowne kołatanie do głównej bramy i odgłos trąb oznajmujących nowych gości. Echo rozniosło je po podwórcach i przerwało zabawę knechtów. — Przybywają nowi goście — mruknął Biber.

Ten i ów nadstawił uszu, zapominając o konwi, Fals zaś, skorzystawszy z zajęcia się czym innym towarzyszy, pochwycił w ramiona wielką konew i usuwając się z nią sprzed oczu zaciekawionych, myślał:

„Nadstawiajcie uszu, a ja tymczasem nadstawię gębę”.

Tak myśląc, łykał chciwie napój, zdążając jednocześnie do furtki prowadzącej na główny podwórzec.

I jego bowiem brała ciekawość, żeby zobaczyć nowo przybywających, nacieszyć się widokiem lśniących zbroi, rzędów na koniach i pokazać z dala pachołkom konew na dowód, że w murach zamkowych nie zbraknie im napitku.

Ciężkie wrzeciądze wielkiej bramy, przywykłe do kilkakrotnego w ostatnich dniach otwierania się dla przybywających, lekko, bez najmniejszego zgrzytu się rozwarły.

Lecz jakież było zdziwienie Falsa, gdy surmy witające zwykle nowo przybywających umilkły, a na podwórzec wjechało kilkunastu zaledwie jezdnych. Odziani byli bez najmniejszych ozdób, nie znamionujących dostojeństwa ani bogactwa przybyłych. Jedyną osobliwością wśród tego nielicznego pocztu był młodzieniaszek, najwyżej lat szesnastu, w połyskującej ciemną stalą półzbroiczce, którego inni z wielką czcią i uszanowaniem otaczali.

— Iii, miałem też po co biec i jeszcze piastować konew, nie nacieszywszy się wprzódy jej zawartością — mruknął Fals.

To mówiąc stanął za rozwartą furtą podwórca, nachylił konew do ust szeroko rozwartych i łykał chciwie, jakby chciał wynagrodzić czas stracony.

Tak zaś był zajęty, że nie opatrzył się, gdy silna pięść spadła na jego plecy, a spadła tak potężnie, że aż zębami o wręby konwi zadzwonił i całą zawartość na siebie wylał. Stracił też równowagę i padł na odrzwia furty, a reszta nie dopitego cienkusza oblewała go rzęsiście.

— Żebyś się udławił! Żebyś nic nie miał w życiu, jeno ten ostatni łyk cienkiego piwa! — zawołał ten, który go tak po przyjacielsku przywitał. — Nie dość, że pije jak potwór morski, ale jeszcze sobie kąpiel z piwa urządza! — dodał z wielkim oburzeniem, zaglądając do wnętrza konwi.

Zostało w niej jeszcze kilka łyków, którymi nie pogardził przybyły i wiernie do ostatniej kropli wysączył. To zajęcie się przybysza smakowitym napitkiem pozwoliło Falsowi oprzytomnieć, zerwać się i strząsnąć z siebie ociekające piwo.

— I żeby tak marnować dary boskie — westchnął oglądając się, kto go tak poczęstował. — Ba, nie kto inny, jeno ten kulas, Hilt — rzekł zbliżając się z podniesioną pięścią do pijącego.

Ale ten właśnie konew do szczętu wypróżnił, a obcierając dłonią usta, mówił:

— Nie z pięścią, lecz z wyciągniętą prawicą powinieneś przyjść do mnie — ozwał się Hilt.

— Jak to? — spytał Fals, wytrzeszczając oczy.

— Przede wszystkim, żem ci przeszkodził w spełnieniu śmiertelnego grzechu, jakim jest łakomstwo i pijaństwo: po wtóre, żem cię uwolnił od konwi, za którą oglądają się w podwórcu, a za którą zostałbyś przez Bibera wtrącony do ciemnicy co najmniej na cały dzień o suchej gębie.

— Biber się zestarzał...

— Zestarzał się, ale niemniej z piwem jest w zgodzie, a obowiązki przełożonego nader pilnie sprawuje — przerwał Hilt.

Fals poskrobał się w gęstą czuprynę i leniwym krokiem od furty odchodził.

— Cóż ten bestia myśli, że ja próżną konew będę za nim nosił? — mruknął miły towarzysz. Kopnął też z pogardą bezużyteczny sprzęt w tej chwili i krzyknął za odchodzącym: — Dokąd się wleczesz, dokąd?!

Fals udał, że nie słyszy, i szedł dalej. Hilt zaś, jakby mu nagle przyszła jakaś myśl szczęśliwa, uśmiechnął się i zabrał wzgardzoną konew. Szepnął też przy tym:

— Poczekaj, będziesz ty się miał z pyszna.

I kulejąc podążył za towarzyszem.

Wkrótce Fals stanął w drugim końcu dziesiątego podwórca, gdzie Biber powoli, nosowym, lecz donośnym głosem wykładał coś knechtom. Musiało to być coś bardzo ciekawego, bo wszyscy, porzuciwszy czyszczenie zardzewiałej broni, słuchali z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi usty[1].

„Dobra nasza — pomyślał Fals — nie spostrzegli, żem odszedł, a co więcej, żem zabrał prawie pełną konew".

Tak myśląc, podniósł olbrzymi miecz, a wziąwszy w garść ubity włosień, udawał, że był zajęty czyszczeniem.

Ten zaś mówił:

— Wojna się szykuje, jakiej dotąd ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało...

— Ale z kim? Z kim? — ozwały się głosy.

— Ciemni jesteście jak konew winem napełniona — oburzył się setnik. — Toć nie z kim innym, jeno z Polską.

— A przecież powiadaliście niedawno, że zawarto z nią pokój — ozwał się Hilt, który zdążył przybyć na ostatnie Bibera wyrazy.

— Głupiś — huknął tenże. — Pokój jest dlatego, żeby nowych sił nabrać i rozpatrzyć się, co dalej czynić, nie zaś dlatego, żeby go utrzymać. Pozory, Niemiec

— A czy to w onej Polsce są pogany[2]? — ozwał się któryś z młodszych knechtów.

— Widzieliście głupiego! — zaśmiał się Biber. — Czy ty ksiądz, żebyś się pytał, czy pogany, czy chrześcijany? — mówił dalej. — Przecie tu nie o chrześcijaństwo chodzi, ale

[1] *usty* — dziś popr. forma: ustami. [przypis edytorski]
[2] *pogany* — dziś popr. forma: poganie. [przypis edytorski]

o rozszerzenie granic i potęgi naszego zakonu — mówił z pewną wyższością setnik. — Gdy pokonamy Polskę, tego ich króla Jagiełłę, Litwina, co rozsiadł się na tronie polskim i bruździ we wszystkim, to i z Litwą, i Żmudzią łatwo się będzie uporać. Ba, i tamte het, kraje dalej będą do nas należeć — mówił Biber z taką pewnością, jak gdyby najtajniejsze sprawy Zakonu były mu dokładnie wiadome.

Puszył się też z tych swoich wiadomości, jakby co najmniej był poufnym wielkiego mistrza i na naradach zasiadał. Był ci on wprawdzie ulubieńcem wielkiego mistrza, Ulryka von Jungingena, i będąc w jego służbie podczas oględzin ziem zajętych, przysłuchiwał się rozmowom i stąd ta jego pewność i opowiadanie.

Przysłuchiwano się też opowiadaniom, każdy jakieś wtrącił słówko, korzystając z łaskawości setnika, jeden tylko młody, dziarski knecht, zwany Jakubem, nie wtrącił ani słówka.

Wsłuchiwał się wszakże ciekawie i twarz rozognioną i oczy błyszczące na mówiącego podnosił.

I Fals wsłuchiwał się jak inni. Otworzył nawet usta, bo i jego to opowiadanie zaciekawiło. Nagle pociemniało mu w oczach, uczuł ciężar na głowie, ale jednocześnie wchłonął w siebie ulubiony zapach piwa.

Śmiech się rozległ dokoła, śmiech podobny do dzikich bestii, gdy znajdą się nad cielskiem upolowanej ofiary i radość swą rykiem objawiają.

Jeden Biber się nie śmiał, a powiódłszy zgorszonym okiem, szukał przyczyny tej nagłej wesołości. Postrzegł też zaraz sterczącą do góry dnem konew na głowie Falsa i z całej siły krzyknął:

— *Tausend Teufel*[3]! Dawajcie mi tego łotra!

Fals, uczuwszy na głowie ciężar i woń przyjemną, domyślił się, że to Hilt tak mu się przysłużył. Usłyszawszy zaś śmiech, nie czekał, aż się przyczyna onego wykryje, jeno schwycił ze swojej głowy konew i wtłoczył ją z nadzwyczajną szybkością na głowę najbliżej stojącego towarzysza. Ten uczynił to samo sąsiadowi, który ustroił nią drugiego, i tak dalej, i dalej. Konew przechodziła z jednej głowy na drugą. Śmiech wzrastał, dowcipy i przekleństwa jak grad leciały, a Biber wśród ogólnego zamieszania nie mógł dojść, kto był pierwszym sprawcą urządzonej naprędce krotochwili. Aż przyłapał w końcu Hilta, który śmiejąc się wraz z innymi, ani spostrzegł, gdy go w ten niezwykły hełm ustrojono.

— To wtedy gdy ja opowiadam o wielkości naszego zakonu, ty mi będziesz wychylał piwo przeznaczone dla wszystkich i stroił się w pustą konew?! — wrzeszczał na całe gardło przełożony dziesiątego podwórca, płazując plecy Hilta zardzewiałym, złamanym mieczem.

Hilt, oswobodzony z przygodnego hełmu, sumitował się, że ani łyka piwa nie wypił i zgoła nie wie, kto go w konew ustroił, ale Biber nie słuchał jego wymówek, jeno wypłazowawszy doskonale, zagroził:

— Jak mi raz jeszcze nie będziesz pilnował służby, jeno uganiał się za konwią i żarty stroił, pójdziesz na cały dzień do ciemnicy o suchej gębie.

Fals tymczasem z najzimniejszą krwią rozpowiadał:

— Wzięła mnie taka ciekawość, gdym usłyszał gwałtowne kołatanie do głównej bramy, żem chyłkiem podsunął się do furty.

— I cóż? I cóż? — zapytano dokoła.

— Iii... Nie warto było zachodu — odrzekł z lekceważeniem.

— No?

— Ani my uciechy, ani tamci pożytku z przybyłych nie będą mieli.

— Przecie... — nalegano.

— Powiadam wam, wjechało kilkunastu powszednio odzianych, a na ich czele jakiś, co wyglądał raczej na pachołka.

— Eee?

— Przecie spodziewano się znakomitych gości? — ktoś zapytał.

— Jużci, nie tylko że był mizernie odziany, ale dałbym szyję, że to młokos jakiś — upewniał Fals.

— Ba, toć Zakon na młodych łasy! — rzucił ktoś ze słuchających.

— Młodych, ale i możnych — dodał inny.

---

[3] *Tausend Teufel* (niem.) — tysiąc diabłów. [przypis edytorski]

— Może to jakiego Polaka lub Litwina przywiedli? — rzucono domysł.

— A może królewskiego lub książęcego syna wzięto z Polski w niewolę? — rzucił Fals z tajemniczą miną.

I na tym tle poczęto snuć rozmaite domysły. Nawet Biber mówił swoim nosowym głosem:

— Nie chybi, jeno król polski dowiedziawszy się, że mistrz nasz szykuje nań nową wyprawę, przysłał jednego ze swoich, żeby zawrzeć ugodę.

— A że przeczuwają, że bez okupu najprzewielebniejszy mistrz Ulryk nie zaniecha wojny, przysłali umyślnie biednie odzianych, żeby jak najmniej powinnej daniny zapłacić... Oho, znam ja ich! — dodał z pewną niechęcią.

— I ja ich znam — ozwał się jakiś przyciszony głos spomiędzy pachołków.

Ale głos ten brzmiał butnie i wcale nie był podobny do lekceważenia.

ZAWÓD

Tymczasem jeden z owego niepokaźnego pocztu szedł śmiało do głównej sieni zamku, nie pytając zgoła nikogo o pozwolenie.

Śmiałość, z jaką sobie poczynał, torowała mu drogę, na podsieniu dopiero zastąpił mu Frydrych von Ulmen, który, jako marszałek dworu wielkiego mistrza, miał obowiązek spotykać przybyłych gości i o ich przybyciu wielkiemu mistrzowi oznajmiać.

Niepozorna odzież wchodzącego na podsienie, jako i poczet, stojący w głębi podwórca, wywołały nie tylko zdziwienie na oblicze Frydrycha, ale wprost niezadowolenie, a nawet zgrozę, że śmiałek wchodzi samopas w uprzywilejowane podwoje. Zmarszczył więc Frydrych brwi krzaczaste i już miał wybuchnąć gniewem, gdy przybyły oddając dworny, rycerski ukłon, rzekł coś przyciszonym głosem.

Wymówione wyrazy podziałały jak dotknięcie czarodziejskiej różdżki. Twarz Frydrycha rozpogodziła się, groźne spojrzenie zamieniło się w błysk oczu radosny. Spod rudego zarostu wyjrzał uśmiech pełny uprzejmości. Słowem, cała postać zacnego marszałka oznaczała wielkie zadowolenie, jak gdyby nagle padł promień słońca, rozjaśniający zasnute chmurami przestworze. Zgiął też w ukłonie swą potężną postać, z tym ukłonem zbiegł szybko ze schodów podsienia i skierował się wraz z przybyłym ku niewielkiemu, szczupłemu rycerzowi, który nie zsiadając z konia, w otoczeniu swego nielicznego orszaku rozglądał się po obszernym podwórcu i przypatrywał grubym, wspaniałym murom krzyżackiej siedziby.

Frydrych, idąc śpiesznie, nie zapomniał zadąć w niewielką trąbkę wiszącą mu u pasa.

Głos rozszedł się przenikliwym, donośnym dźwiękiem; tak donośnym, iż dziwić się należało, że tak mały instrument wydawał tak przeraźliwe, długo nie milknące brzmienie.

Głos trąbki rozległ się po całym podwórcu, w najodleglejszych jego zakątkach; przeniknął też znać przez grube mury, bo w wielkiej sali zrobił się rumor i huk jakby przewróconej nagłym ruchem ławy.

To Ulryk von Jungingen w swojej własnej osobie na dosłyszany dźwięk trąby marszałka wstawał z swego wywyższonego siedzenia, które przewrócił na kamienną posadzkę wielkiej sklepionej sali.

Ci, co byli bliżej, spojrzeli po sobie, a sędziwy Henryk Leuchter, komtur Elbląga, siedzący najbliżej mistrza, szepnął do swego sąsiada, Antona Ludwigsburga:

Omen

— Nie szczęści się dziś wielkiemu mistrzowi: przed chwilą oderwało się ucho od pucharu, gdy go niósł do ust, teraz przewrócił się jego stolec mistrzowski.

— Zły to omen, zły — mruknął Anton.

Dalej siedzący nie zwrócili uwagi ani na dźwięk sygnału danego przez Frydrycha, ani na przewrócenie się ławy mistrzowskiej, ani na opuszczenie przez niego biesiady, wszyscy bowiem byli zajęci wypróżnianiem wielkich pucharów i rozmową o wielkiej wyprawie, jaką mistrz Ulryk przeciw Polsce obiecywał.

Ku temu właśnie zaprosił liczne grono rycerzy, przedstawił swoje plany posunięcia swoich granic na wschód, a ku temu wojnę z Władysławem Jagiełłą. Mówił też wciąż przybyłym:

— Polska to kraj ludny i bogaty, ma dzielnych wojowników; prócz więc sławy z ich pokonania, weźmiemy łupy w ludziach, rzędach, koniach i rozmaitych bogactwach.

„A też i ziemi można będzie szmat sobie uszczknąć" — myślał niejeden z niemieckich rycerzy, mający tak niewielką jej ilość, że częstokroć na wyżywienie przybocznego orszaku i psiarni nie wystarczała.

Wielki zaś mistrz, wyszedłszy z biesiadnej izby, na chwilę zatrzymał się w sieni, jakby się namyślał. Po chwili szepnął coś jednemu z pachołków będących zawsze na rozkazy.

Zauważył znać, że spotykanie osobiście przybyłych ubliżałoby jego godności, skierował się do izby sklepionej, wspartej na jednym tylko filarze, imponującej swoją powagą, prostotą i zawieszonymi trofeami zdobytymi na licznych wyprawach.

Tu siadł w głębi na wywyższeniu, kazał na siebie zarzucić płaszcz z białym krzyżem, oparł się na mieczu, przybrał wyraz twarzy stosowny do swojej wielkości i patrząc na drzwi wchodowe, z niecierpliwością oczekiwał przybycia gościa.

Jednocześnie z dziesiątego podwórca wybiegł do furty, przy której widzieliśmy Falsa, młody knecht i ukrywszy się we wnęce muru, przypatrywał się przybyłym, łowiąc uchem ich rozmowę.

Po chwili potrząsnął głową, westchnął i szepnął w sobie:

— Nie, nie. Nie oni.

Zawrócił do wnętrza swego podwórza i zajął się przerwanym czyszczeniem miecza. Na twarzy jego młodzieńczej malowało się uczucie nieokreślone. Był to jakby doznany zawód, a zarazem pewne zadowolenie, z którego młodzian sam sobie może nie umiał zdać sprawy.

Oblicze wielkiego mistrza mieniło się również rozmaitymi uczuciami. Obok wiecznie goszczącej pychy, wypełzała jeszcze chytrość, a zarazem radość z dopięcia wielkiego jakiegoś zamiaru. Układał też znać powitalne wyrazy, bo usta jego poruszały się szeptem, lewa ręka, spoczywająca na poręczy siedzenia, wykonywała palcami najrozmaitsze ruchy, prawą zaś gładził krótką, rzadką brodę lub wyciągał przed siebie, jakby wskazywał ułożone przez siebie plany.

Zajęty tymi myślami nie liczył ubiegających chwil. A ubiegło ich niemało, nim gość zrzucił zbroję i zapylone drogą obuwie.

Nareszcie Frydrych von Ulmen wszedł i uroczystym głosem oznajmił:

— Jego książęca mość Karol, książę na Niderlandach, Fryzlandii i innych posiadłościach nadmorskich.

Wszedł też zaraz młodzieniaszek o wątłej, lecz szlachetnej postawie. Bez zbroi i hełmu zdawał się jeszcze mniej okazałym, niż gdy siedział na koniu w pełnym rynsztunku. Twarz szczupła, blada, nie ozdobiona jeszcze zarostem, długie, jasne włosy, wejrzenie błękitnych, łagodnych oczu dawały mu pozór raczej natchnionego trubadura niż rycerza.

— Witaj, Karolu, książę Niderlandów i Fryzlandii. Witaj, najdostojniejszy a dawno oczekiwany gościu — ozwał się Ulryk, szukając wzrokiem przybyłego.

Odległość bowiem, w jakiej stanął, i wyniosłe sklepienie izby czyniły go jeszcze mniejszym i niklejszym.

Frydrych, mimo odległości, na jakiej znajdowały się drzwi wchodowe od wielkiego mistrza, uchwycił bystrym okiem wzrok jego, uśmiechnął się też ironicznie, jakby chciał powiedzieć:

— Ów najdostojniejszy wygląda raczej na pachołka niż na udzielnego księcia ziem rozległych.

„A może to i dziedzictwo podobne do osoby?" — pomyślał w sobie.

Karol zaś posuwistym krokiem, dotykając kamiennej posadzki lekkim obuwiem z nadto długimi, spiczastymi nosami, zbliżył się do wielkiego mistrza, a przyłożywszy prawą dłoń do serca, skłonił się dwornie i mówił:

— Składam należny hołd wielkiemu mistrzowi, a Zakonowi całe moje dziedzictwo i wszelką majętność, błagając waszą miłość o przyjęcie mnie do Zakonu i policzenie między rycerzy krzewiących wiarę świętą i stających w obronie krzyża.

— Życzenie wasze, najmiłościwszy książę, będzie spełnione, lecz nim odbierzemy przysięgę i pasować was będziemy na rycerza, rozgośćcie się w naszej ubogiej siedzibie i odpocznijcie po trudach podróży.

— Podróż mnie nie umęczyła. Chęć jak najszybszego otrzymania z rąk waszych prawa służenia w obronie krzyża Chrystusowego i pokonywania niewiernych dodawała mi

siły i niweczyła wszelkie trudy — mówił młodziutki książę z zapałem, wznosząc oczy ku wysokim sklepieniom izby, jakby szukał tam znaku, w którego obronie pragnął walczyć.

Lecz sklepienie wiążąc misternie zakończone łuki, przedstawiało jeno chłodną potęgę, nie dając żadnej otuchy, przeniósł więc wzrok na wielkiego mistrza i spotkał się z krzyżem czarnym, nakreślonym na jego płaszczu. Pierś młodzieńca podniosła się westchnieniem, Ulryk zaś mówił z pobłażliwym uśmiechem:

— Wszystko jest przygotowane na tę wielką uroczystość. Wszelako musicie, najmiłościwszy książę, zapał wasz powstrzymać, póki nie zwołamy rady i dostojników, ażeby byli przytomni waszej przysiędze i pasowaniu na rycerza Zakonu — zakończył wielki mistrz z wielką godnością, dając jakiś znak porozumiewawczy swemu marszałkowi.

Ten, postąpiwszy kilka kroków, skłonił się przed gościem i rzekł:

— Pozwoli wasza książęca mość, że mu wskażę jego siedzibę.

Karol westchnął poddając się wyrokowi przyszłego przełożonego. Skłonił przed nim głowę i cofając się wyszedł do obszernej sieni.

Frydrych powiódł go po szerokich kamiennych schodach, a otworzywszy zaraz pierwsze drzwi na prawo, rzekł z ukłonem:

— Oto jest mieszkanie waszej książęcej mości... — I zatrzymawszy się nieco, dodał: — Protektora i przyszłej ozdoby naszego zakonu.

Znalazłszy się jednak za drzwiami, uśmiechnął się sam do siebie, splunął i rzekł:

— Na pozór niewart garści kłaków!

Ulryk po odejściu gościa wykrzywił również pogardliwym uśmiechem swe szerokie oblicze, rzucił płaszcz stojącym za jego plecami pachołkom, a idąc ku drzwiom leniwym krokiem, myślał:

„Śmierdziel, gołowąs... Chociaż z książąt panujących, diabli wiedzą, co z niego za pożytek i co pod tą układną postacią kryje..."

Zastanowił się chwilę i miast wyjść z komnaty, zawrócił ode drzwi i szedł na powrót wolnym, ociężałym krokiem, jakby się nad czymś namyślał.

Mówił też w sobie:

„Myślał, że zaraz zaczniemy psalmy śpiewać. Cóż on sobie myśli, ten chłystek, że jesteśmy pustelnikami lub klechami, odprawiającymi wieczne praktyki? Ale mniejsza o niego. Jeżeli zrzecze się swego dziedzictwa, przybędzie nam duży szmat ziemi nad morzem, otworzy drogę na zachód i da nową podstawę potędze naszego zakonu" — zakończył.

I szybkim już krokiem opuścił komnatę.

W sieni znów się zatrzymał nasłuchując, czy go jakie słówko nie dojdzie z biesiadnej komnaty. Lecz dochodziły go tylko pijane, chrapliwe, zmieszane w jeden wielki gwar okrzyki.

— Piją, niech piją! Wkrótce żłopać będą krew polską! Weźmiemy obszerne ziemie i zdepczemy tego dumnego polsko-litewskiego króla, a całe to podłe plemię u stóp swoich ujrzymy!

To mówiąc, uderzył nogą o kamienną posadzkę, jakby już widział tysiące głów schylonych przed sobą i na ich karkach stawiał ciężką swą krzyżacką stopę. Po czym zamienił słów kilka z powracającym od dostojnego gościa Frydrychem, przy czym obaj rozchodząc się w dwie różne strony, mieli wielce pogardliwe, pełne niezadowolenia oblicza.

Tymczasem młodziutki książę na Niderlandach i Fryzlandii, rozejrzawszy się po komnatach oddanych mu przez Zakon, rzekł do oczekującego nań Bonifacjusza z Groning, wiernego sobie piastuna i opiekuna:

— Nie zaraz odbędzie się tyle przeze mnie upragniona uroczystość.

— To dobrze. Wasza miłość zmęczony. Przed tak ważnym krokiem trzeba wypocząć... i... ostatecznie rozważyć... — rzekł Bonifacjusz.

— Och, wiesz dobrze, stary i jedyny przyjacielu, żem wszystko już dokładnie rozważył — odparł książę.

I stanął we wgłębieniu wąskiego okna. Okno to wychodziło na dziesiąty podwórzec. Książę rozglądał się, chcąc nasycić się widokiem wielkości i potęgi Zakonu, którą znać było w grubych niezwykle murach zamku, licznych podwórcach, zaułkach, kręcącej się wszędzie służbie, z dala widniejących nasypach i fosach okalających tę wielką obronną

siedzibę krzyżacką. Ale znać to wszystko nie zadowalało przybyłego rycerza, wzrok jego bowiem na żadnej z tych oznak krzyżackiej potęgi dłużej się nie zatrzymał.

Słońce czerwcowe ozłacało grube mury, kładło wielkie złociste plamy na podwórcach, wdarło się nawet we wgłębienie wielkiego okna i ozłociło jasną głowę zamyślonego Karola.

A on, jakby niezadowolony z widoku, z jakąś nudą czy zawodem na twarzy patrzył i patrzył, przenosząc wzrok z murów i wież obronnych na fosy i nasypy, to znów na ludzi krzątających się i przenoszących wyczyszczoną broń, mieniącą się i lśniącą, przerażającą swoją ostrością. I miasto[4] zadowolenia z osiągnięcia upragnionego zamiaru, coraz więcej na jego młodzieńczym obliczu siadało rozczarowania. Nagle wzrok jego się rozjaśnił. Rozjaśnił i spoczął na ramieniu krzyża pławiącego się w krwawozłotym świetle zachodu słońca. Książę wyciągnął ku upragnionemu godłu dłonie, a usta jego z wielką gorącością szepnęły:

— Pod godłem twoim, o Chryste, pragnę walczyć i cześć męki twej i nauki szerzyć!

W tej chwili rozległ się dzwon. Dzwon gruby, chrapliwy, nie przynoszący ukojenia i błogości, lecz rozkaz.

Ludzie na ten głos, pełni radości i śmiechu, gwałtownym ruchem zbierali oczyszczoną broń, rozwieszoną na długich drągach odzież, rzędy na konie, zataczali walce, którymi równali ziemię podwórca, wyprzęgali konie; słowem, kończyli pospiesznie całodzienną pracę.

Nie widać było wszakże skupienia, wzniesienia się ducha i ciszy, jakie, według młodego księcia, głos dzwonu powinien był wywołać. Owszem, przytłumiony gwar i śmiechy wznosiły się z każdego zakątka, rozbijając się chrapliwym echem o potężne mury zamku.

Lecz młody przybysz wciąż nasłuchiwał, rozchylone jego usta czekały jakiegoś dźwięku, który mógłby się połączyć z głosem wychodzącym z jego piersi przepełnionej wielką ekstazą. Wtem miasto owego głosu doleciał jego uszu śmiech, śmiech chrapliwy, pijany, dochodzący z wielkiej biesiadnej sali. Młodzieniec ze wstrętem cofnął się we wgłębienie okna, a dojrzawszy stojącego opodal Bonifacjusza, z dziecięcym uczuciem padł na jego piersi, jakby chciał na nich uchronić się od coraz chrapliwiej rozchodzących się głosów.

Stary przyjaciel, który wciąż patrzył na stojącego w oknie księcia, jakkolwiek nie widział twarzy swego ukochanego wychowańca, domyślał się snadź jego uczuć, bo objąwszy go ramieniem, koił jak matka dziecię doznające jakiegoś strasznego zawodu.

Jednocześnie spod muru podwórca odchodził młody knecht krzyżacki, wlokąc za sobą miecz ciężki, przez długi czas w stojącego w oknie gościa wpatrywał się ciekawie. Odchodząc zaś, szepnął znów sobie:

„Nie, nie! Ale kto to?..."

UROCZYSTOŚĆ

Karol von Leuwarden był po kądzieli potomkiem Karola Wielkiego, pochodził z linii burgundzkiej i miał prawo do Niderlandów i Fryzlandii. Zatargi wszakże, jakie podczas jego małoletności w tych krajach panowały, zatruwały mu życie i zniechęcały do rządów wśród bezustannej walki z innymi książętami. Doszedłszy lat szesnastu, to jest wieku, w którym panujący uznawani są za pełnoletnich, postanowił poświęcić się życiu zakonnemu. Że zaś w owym czasie sława Krzyżaków, rozgospodarowanych nad Wisłą, szeroko na całym zachodzie rozbrzmiewała, jako pogromców pogan, postanowił zapisać się do tego Zakonu.

„Służyć Bogu, a zarazem być rycerzem, to najszlachetniejsze powołanie — myślał sobie młody entuzjasta. — Niech Zakon weźmie wszystkie moje ziemie i bogactwa, niech ich użyje na rozkrzewianie wiary świętej" — myślał dalej marzyciel.

I nosząc się z tymi myślami, wysłał z oznajmieniem swych zamiarów do Malborka. Że zamiary te były nader skwapliwie przyjęte, widzieliśmy z gorącego oczekiwania tak hojnego gościa. Przybywał on właśnie w chwili, gdy Ulryk von Jungingen zgromadził liczne rycerstwo i wybierał się na podbój ziem Polski.

„Te ziemie, leżące na południe od ziem naszych, rozciągające się po obu brzegach Wisły aż do jej źródła, z prawa nam się należą — myślał Jungingen. — Nie rozumiem

[4]*miasto* (tu daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

nawet, czemu poprzednicy moi pozwolili wrogim nam plemionom lackim na tych ziemiach się rozpanoszyć. Czemu bawili się w jakieś układy — myślał dalej z oburzeniem. — Było to niedołęstwo Zakonu. Tak, niedołęstwo. Do mnie należy ten wielki błąd ich naprawić — zakończył z silnym postanowieniem, uderzając nogą w posadzkę, według swego zwyczaju. — Po zawojowaniu ziem polskich z Litwą łatwo się uporamy. Gdyby nie Jagiełło, ten polsko-litewski władca, ta kukła w rękach swych doradców, dawno bym się z Witoldem uporał i Litwę miał pod swoimi stopami — myślał znów po chwili. — Szczęście samo nam w ręce wchodzi — mówił dalej sam w sobie. — Kraje nadmorskie z Fryzlandią otwierają nam handel, a z nim panowanie nad zachodem. Prawda, między naszymi posiadłościami nad Wisłą a Niderlandami jest jeszcze szmat ziemi, ale i temu się poradzi... Pomorze, Świecie — nasze. Ludy, dzielące nas od Niderlandów, same z siebie muszą potędze naszej ustąpić".

Pycha

— I to wszystko Zakon mnie zawdzięczać będzie, mnie, Ulrykowi von Jungingenowi! — mówił, wskazując dłonią na piersi, podnosząc głowę i prostując swą rozrosłą postać. — Imię Ulryka von Jungingena słynąć będzie po całym świecie, a sława moja daleko w przyszłość zasięgnie.

— Wszystko już do uroczystości przygotowane, radni Zakonu, a też rycerze cudzoziemscy zasiedli już ławy w kościele, oczekują jeno ukazania się waszej miłości — przerwał te rozkoszne marzenia głos marszałka.

Ocknął się z swych marzeń Jungingen, ocknął z pewnym niesmakiem. Sarknął nawet:

— Ach, ten mydłek, śmierdziel! Będzie nas zanudzał swymi ascetyczno-rycerskimi pragnieniami. No, ale i z nim się prędko uporamy. Od czegóż wojna z Polską! — zakończył.

I przyoblókłszy oblicze w stosowny do okoliczności wyraz, szedł śpiesznym krokiem przez długie krużganki, łączące zamek z kościołem.

U wejścia czekało na niego sześciu urzędników, niosąc tarczę, buławę zakończoną krzyżem, czapkę w kształcie hełmu i płaszcz biały, odmiennego od innych kroju. W tym otoczeniu przeszedł przez kościół z stosownym wyrazem twarzy. Na lekką, krótką zbroiczkę zarzucono mu płaszcz, oddano berło, postawiono tarczę i Ulryk zasiadł na miejscu dla wielkich mistrzów przeznaczonym, miejscu, na którym od lat trzech, to jest od chwili swego obioru, jeszcze nie siedział.

Blade światło lampek i świec woskowych, rozstawionych na ołtarzu świątyni, gasił złoty promień czerwcowego słońca, wdzierający się przez wąskie okna.

Twarze wysokiej rady Zakonu, najznakomitszych komturów, jako i twarze rycerzy, nie wypoczęte jeszcze po długiej w noc pijatyce, nie mogły się również dostroić do uroczystości. Przedstawiały nudę. Usiłowanie pokonania rozszerzających się ust do ziewania wprawiało lica w jakiś skurcz, nadając im wyraz wprost wstrętny.

Niejeden też pytał ze zdziwieniem:

— Co to za uroczystość?

— Miał nas prowadzić po zdobycze, a wprowadza do ubogiej świątyni.

— Nie przybyliśmy przecie, aby być świadkami obłóczyn zakonnika!

Szemranie to było uzasadnione.

Nie tylko bowiem cudzoziemscy rycerze, lecz żaden z braci, żaden z wysokich urzędników Zakonu nie pamiętał takiej uroczystości. Wstępowali do Zakonu na mocy krótkiej przysięgi, a raczej zobowiązania. Przyjmowano każdego, kto się wielkiemu mistrzowi wydawał, że będzie dla Zakonu pożyteczny. Swoboda zaś obyczajów, życie dostatnie, częste walki i łupy pociągały tłumy ludzi, po największej części Niemców, szukających w owym czasie przygód, a nie przebierających w środkach ich znalezienia.

Przysięga, wprowadzona po wojnach krzyżowych podczas powstawania Zakonu w XII wieku, została zupełnie zaniechana. Zresztą, nie było teraz prawie rycerzy-zakonników służących Najświętszej Maryi Pannie i świętemu Jerzemu, byli tylko rycerze Zakonu, noszący godło krzyża, rozgłaszający szczytne powołanie jego obrońców. Uroczystość tę Ulryk postanowił wznowić: raz, że widział w młodym księciu odmienną od wszystkich naturę; po wtóre, iż z odebraniem przysięgi utrwali panowanie nad przyobiecanymi mu ziemiami.

Ten zaś, dla którego tę uroczystość urządzono, gotował się do niej z całą gorącością i zapałem młodzieńczym. W tej właśnie chwili szedł w otoczeniu urzędników Zakonu i komturów, obok niego szedł komtur z Elbląga, Henryk Leuchter. Siwy był i znać na barkach jego dużo już lat spoczywało. Przypomniał sobie chwilę, kiedy mając lat czternaście, był główną osobą takiej uroczystości, i twarz jego przybrała jakiś błogi wyraz, który wszakże znikł w tej chwili, a dziwny, nieokreślony uśmiech siadł na jego pomarszczonym obliczu. Spojrzał spod oka na idącego obok młodzieńca i jeszcze więcej się uśmiechnął.

Szli przez dziesiąty podwórzec, który łączył zamek z kościołem. Knechci pod dozorem Bibera, w odświętnych niebieskich kaftanach z krzyżem czarnym wyszytym na piersiach, stali w dwóch szeregach, między którymi młody książę przechodził.

Najciekawszym wszakże okiem wpatrywał się w niego młody knecht, który tak się zapomniał, że wystąpił z szeregu, aby się lepiej gościowi przypatrzyć.

— Jakub! — rozległ się gromiący głos Bibera, a Fals, będący najbliżej, uszczypnął go przez bufiasty rękaw kaftana.

Spotkanie

Ale Jakub, jakby nie słyszał i nie czuł danego znaku, jeno wyciągnąwszy szyję, zawiesił wzrok swój na twarzy młodego księcia. A wzrok to musiał być wielce natarczywy, bo Karol podniósł oczy i spotkał się z wejrzeniem knechta. I oto dwaj młodzieńcy zajmujący tak różne stanowiska uśmiechnęli się do siebie przyjaźnie.

Książę wczoraj już zauważył wlepiony w siebie wzrok młodego knechta, a znać twarz ta zrobiła na nim miłe wrażenie, bo dziś powitał ją jak znajomą.

Knecht zaś, stanąwszy na swym miejscu, szepnął znów swoje:

— Nie, nie!

Przeczucie

I odetchnął, jakby mu kamień spadł z serca. Wtem ozwały się dzwony. Najpierw jeden, zwykły, zwołujący na nabożeństwo, potem po kolei odzywało się coraz więcej. Spiżowe tony przepełniały przestworze, strasząc lud, gęsto koło zamku i miasta Malborka osiadły. Dzieci, miast wybiec na drogę na odgłos tych dzwonów, tuliły się do matek, a ludność cała chyłkiem zamykała wrota, kryjąc się do swoich siedzib.

Dźwięk tych dzwonów wywarł również nieokreślony lęk na tego, którego uroczystość ogłaszały. Młody książę, wszedłszy do kościoła, nie doznawał tego błogiego uczucia, jakiego się spodziewał. Owszem, lękiem i niepokojem zadrgało jego serce. Z tym wszystkim ukląkł na wskazanym sobie miejscu, na wprost wielkiego mistrza, w takiej odległości, ażeby mógł słyszeć jego słowa.

Ulryk zaś pytał:

— Karolu von Leuwardenie, książę Niderlandów, Fryzlandii i wielu ziem nadmorskich, czy pragniesz wejść do przemożnego Zakonu Krzyżaków?

— Pragnę! — odrzekł dźwięcznym głosem młodzieniec.

— Nim wykonasz ostateczną przysięgę, dowiedz się najpierw, jakie są obowiązki wstępującego — ozwał się Ulryk. Po chwili zaś, powiódłszy okiem po zebranych, mówił: — Jeżeli mniemasz mieć w tym zakonie spokojne i przyjemne życie, jesteś w wielkim błędzie, bo właśnie kiedy chcesz jeść, to musisz pościć; kiedy chcesz pościć, to musisz jeść; kiedy chcesz spać, musisz czuwać; a kiedy chcesz czuwać, musisz spać. Od żadnej też posługi rycerskiej wymawiać się nie możesz, a zawsze iść tam, gdzie ci każą. Musisz ojca, matkę, siostrę, braci, przyjaciół niżej postawić, a spełniać jeno to, czego dobro Zakonu wymaga. Za to wszystko Zakon ofiarowuje ci jeno chleb i wodę, skromny habit i zbroję rycerza i niczego więcej domagać się nie możesz, bo tak twoja osoba, jak i wszelka twoja majętność, jest własnością Zakonu!

Tak rycerze przybyli w gościnę, jak rycerze stowarzyszeni z Zakonem, z wielką uwagą słuchali przemowy Ulryka. Żaden z nich bowiem o tych obowiązkach i ścisłej regule nie słyszał. Po wszystkich też twarzach przebiegło zdziwienie, zastąpione wkrótce szyderczym uśmiechem, przechodzącym w powstrzymywany śmiech, który, zdawało się, lada chwila wybuchnie głośną wesołością. Nawet sędziwy Henryk, komtur ze Świecia, który przez chwilę wrócił myślą do składanej przez siebie przysięgi, nie mógł powstrzymać się od sarkastycznego a pogardliwego uśmiechu.

Ulryk wszakże umiał utrzymać powagę chwili i dalej głosił rotę przysięgi:

— Przyrzekam i ślubuję, że czystość myśli i ciała zostanie jednym z mych przymiotów; będę posłuszny Bogu, a potem mistrzowi Zakonu podług reguły i obyczaju tegoż Zakonu; a chcę być posłusznym i wszelkie jego rozkazy wypełniać aż do śmierci[5].

Przysięgę tę powtarzał z wielkim przejęciem młody książę, a obecni szeroko rozwarli oczy ze zdumienia, dając sobie znaki nawzajem, jakby się pytali: co to znaczy?

Jeden tylko Bonifacjusz równie był przejęty, jak i przysięgający. Twarz jego wyrażała boleść, zdawało mu się bowiem, że traci ukochanego wychowańca, którego jak własnego syna umiłował.

Tymczasem przeznaczeni ku temu szatni Zakonu obnażyli prawe ramię Karola, a wielki mistrz uczynił na płask mieczem znak krzyża, mówiąc:

— Oto jesteś prawym rycerzem Zakonu. Używaj tego miecza na pokonanie pogan i wszystkich nieprzyjaciół Zakonu.

Po czym włożono nań zbroję, hełm z kruczym piórem, dano w lewą dłoń tarczę, w prawą miecz, a Henryk Leuchter, jako najstarszy z całego zgromadzenia, wziął go pod rękę i podprowadził do wielkiego mistrza. Ten zsunął mu hełm z głowy, położył dłoń na jego czole, mówiąc:

— Witaj, rycerzu!

Dzwony, które na chwilę umilkły, zagrały znowu drgającym dźwiękiem. Karol, książę na Niderlandach i Fryzlandii, opuszczał świątynię, prowadzony przez samego wielkiego mistrza, z którego ramion wlókł się płaszcz biały, czarnym nakreślony krzyżem.

Rycerze cudzoziemscy, jako i rycerze Zakonu przybyli z Marienwerder, czyli Kwidzynia, z Elbląga, Torunia i innych miast, które Krzyżacy na ziemi pruskiej jako swą zdobycz zajęli, opuszczali również tłumnie świątynię. Gwar ich, rozmowy i śmiechy przepełniły wkrótce nie tylko główny podwórzec, lecz i wszystkie jego zaułki.

Gwar ten niemiłe sprawiał wrażenie na młodym adepcie. Był to jakby zgrzyt zardzewiałego żelaza, kaleczący jego podniosłe uczucia.

Gdy przechodził przez dziesiąty podwórzec, wzrok jego spotkał się znów z wzrokiem młodego knechta, który z jakimś szczególnym wyrazem patrzył na niego, jakby oczekując przyjaznego wejrzenia. I uśmiechnęli się znów obaj.

A był to jedyny uśmiech, jaki przewinął się dnia tego po ustach młodego rycerza.

KOBIAŁKI Z JAGODAMI

Jakkolwiek dzwony wielkiej uroczystości w zamku krzyżackim nie czyniły miłego wrażenia, a ludność miejska i okoliczna kryła się, żeby nawet dźwięku ich nie słyszeć, znalazły się wszakże tak odważne istoty, które podszedłszy pod same mury, wsłuchiwały się pilnie, jak gdyby chciały przeniknąć, co dzwony te głoszą.

Były to dwie niewiasty ubrane bardzo biednie, jak w ogóle lud zgnębiony w okolicach Marienburga się odziewał. Szare płótnianki, mocno połatane, nie sięgały kostek, duże biedne chusty na głowie, nasunięte na czoło, były związane tak szczelnie, że zaledwie oczy spod nich wyglądały. Nikt też nie mógł poznać, czy były stare, czy młode, a ruchy ich ociężałe również nie zdradzały wieku. Obie niosły duże, z kory brzezinowej kobiałki, napełnione rumieniącymi się poziomkami. Nogi zaś bose, wsunięte w łapcie z łyka mocno zapylone świadczyły, iż z daleka przychodzą. Mimo tych ruchów ociężałych, chwilami szły żwawiej, podsuwały się pod grube mury otaczające zamek, a wtedy postaci ich zgnębione prostowały się, a oczy wpatrywały się śmiało w czerwone cegły, jak gdyby w nich jakiegoś znaku czy otworu szukały. Wtedy można było dostrzec, że jedna była dużo wyższa i już w podeszłych leciech[6], druga ledwo z lat dziecięcych w hoże dziewczę rozkwitała.

Okrążyły tak dokoła zamek tuż nad samą fosą, czasem chwytały się za ręce, podtrzymując wzajem, jak gdyby lękały się spaść z wału, i znów przypatrywały się murom.

— Próżna nasza droga. Dziś nic nie wskóramy — szepnęła duża.

— Może chociaż dowiemy się, co te dzwony znaczą — odrzekła druga.

— Czatownik obaczy — ostrzegała pierwsza.

---

[5] *Przyrzekam i ślubuję […] rozkazy wypełniać aż do śmierci* — przysięga, przemowa wielkiego mistrza, jak i ceremonia, wzięte z historii dawnych Prus: *Preussens ältere Geschichte* Kotzebuego. [przypis autorski]

[6] *w leciech* — dziś popr. forma: w latach; tj. tu: w podeszłym wieku. [przypis edytorski]

— Nie bójcie się, babo, powiemy, że przynosimy dary dla Zakonu — mówiło dziewczę wesoło, wskazując na króbki[7] napełnione czerwieniącymi się jagodami.

— Bylebyś jeno srogo nie okupiła zbytniej swojej śmiałości — szepnęła stara.

Wtem dzwony umilkły.

— Drugi raz już kołyszą się i dzwonią. To coś znamionuje. Nigdy jeszcze tak nie było — mówiła dziewczyna.

I obie poczęły nasłuchiwać.

Dzwony przebrzmiały. Cisza zaległa dokoła. Jeno jakieś ptaszę cirkało w uwitym na murze gnieździe, a słońce czerwcowe w całej swojej krasie złociło mury i u stóp ich porastające ziele. Tak zaś ta cisza czy też nadchodzące południe ukołysało wszystkich, że przeszły koło głównej bramy, a czatownik ich nie spostrzegł.

Wtem głośny rozgwar wypełnił przestworze. Zmieszane głosy, śmiechy wznosiły się jak tuman, przedzierając grube mury.

Kobiety wstrzymały oddech, żeby cośkolwiek z tego gwaru uchwycić. Nic wszakże prócz zmieszanych głosów nie dochodziło ich ucha.

— Próżno, uchodźmy, bo jak się wysypie ta gwarna czereda za mury, biada nam będzie — mówiła stara.

— To pewnikiem ci rycerze, co mieli przybyć, tak głośno się zabawiają. Oni nie skorzy za mury — mówiła dziewczyna z taką pewnością, jakby świadoma obyczajów tych, co w zamku gościli.

I z pewnym uporem szła naprzód, nie spuszczając z oczu żadnej cegły u stóp muru.

Baba, chcąc nie chcąc, podążała za nią, zachmurzona była wszakże, a w myśli szeptała:

„Zawsze to było takie przekorne. A niech ją Bóg uchroni od niebezpieczeństwa, jakie od tych zbójów grozić jej może".

Nagle z bocznej czatowni, wzniesionej tuż przy dziesiątym podwórcu, głos gromki się ozwał:

— Hej, wy diable pazury, czego się pod murami włóczycie?!

— Na Belzebuba, toć to niewiasty! Gdzie piekło nie może, to te zatyki piekielne pośle! — wrzeszczał na całe gardło czatownik. — Precz mi stąd, jeżeli nie chcecie, żebym was kamieniami jak psów wygonił! — wrzeszczał dalej.

Obie kobiety skuliły się zaraz i stały się pokorne, przygnębione, lękliwe, zgoła niepodobne do śmiałych przed chwilą, tak rezolutnie rozmawiających niewiast.

Starsza jednak wzięła na odwagę, podniosła kobiałkę z jagodami i poczęła coś bełkotać. Młodsza tymczasem, otuliwszy się chustą, że jej wcale twarzy widać nie było, skuliła się jeszcze więcej i prawie przysiadła do ziemi.

Głos starej zapewne nie doszedł do czatowni, lecz wzrok Falsa, który w tej chwili straż odbywał, dostrzegł czerwieniące się jagody. Zaświeciły mu się oczy na widok leśnego owocu, nie mógł wszakże z swej wysokości sięgnąć po nie ani też zejść ze swego stanowiska. Krzyknął więc na całe gardło uprzejmiejszym już nieco głosem:

— Poczekaj, stara czarownico! Poczekaj, małżonko najstarszego diabła, wiedźmo najśliczniejsza, zaraz ten piękny owoc z twoich czarnych pazurów odbiorę!

Baba zapewne nie dosłyszała tych uprzejmych wyrazów, zrozumiała za to wymowne ruchy Falsa, który spuszczał dłonie ku dołowi, potem je cofał, jak gdyby coś wyciągał, wreszcie rozszerzał ramiona i przytulał je do siebie, jak gdyby ją chciał wraz z kobiałką wziąć w swoje objęcia.

Wrzeszczał też na całe gardło:

— Nie odchodź, nadobna małżonko najstarszego z szatanów, nie odchodź, zaklinam cię na smołę piekielną! Nie odchodź, póki jagody z twych czarnych pazurów nie znajdą się w moich dostojnych rękach. Potem niech cię piekło pochłonie! — dodał z humorem i odwrócił się w głąb podwórca.

Przechodził właśnie Jakub, począł więc Fals do niego:

— Bracie, ozdobo wszystkich knechtów, skocz przez ukrytą furtę i odbierz dwom wiedźmom jagody, z którymi się przywlokły pod same mury!

Jakubowi oczy zabłysły i twarz cała się rozjaśniła, odkrzyknął wszakże:

— Miłuję cię, Falsie, jak własne oko, ale gdy kto dojrzy, że się wychylam za furtę!...

[7] *króbka* (daw.) — koszyczek, łubianka. [przypis edytorski]

— Nikt nie dojrzy! — przerwał czatownik. — Biber z innymi zabawia się przy misie i konwi, kiedy my dwaj skazani jesteśmy na głód i pragnienie! Ty, jako najmłodszy, czekający swojej kolei, a skracający sobie czas zamiataniem podwórca, ja, jako wielki dostojnik czuwający nad bezpieczeństwem całego zamku! — wrzeszczał dalej Fals, wychylając się przez drzwi czatowni.

Jakub wcale się nie kwapił ze spełnieniem żądania, owszem, potrząsał głową, wciąż odkrzykując:

— *Nein, nein, kann nicht*[8]!

Lecz oczy coraz jaśniej mu błyszczały chęcią spełnienia tego rozkazu.

Fals wrzeszczał i nalegał, zaklinając go na wszystkie pożądane przez knechtów uciechy, dając przy tym nader wymowne znaki.

— Gdyby kto spostrzegł, powiem, żem dojrzał skradające się wiedźmy i ciebie jako najodważniejszego z odważnych wysłał dla wyłomotania im skóry! — wrzeszczał dalej czatownik.

Czy pochlebstwo podziałało na Jakuba, czy też inny jakiś powód przeważył, dość że nie oglądając się na nic, śpieszył w stronę ukrytej furtki.

— A nie połknij jagód wraz z kobiałką! — rzucił za nim Fals, oblizując się zawczasu na tyle pożądane przysmaki.

Odwrócił się też zaraz i wzrok łakomy posłał za mury.

Kobiety tymczasem, siedząc przytulone do siebie, zgarbione, w postaci lękliwej, naradzały się znać z sobą, co dalej czynić.

— A jak mi cię porwą wraz z jagodami? — mówiła stara.

— Nie bójcie się, nie bójcie! Chłopaka wzięliby, ale dziewkę...

I wzruszyła ramionami.

— Oj, Salo, Salo, nie wiesz sama, co pleciesz — rzekła stara, przygarniając dziewczynę, jakby ją chciała uchronić przed niebezpieczeństwem. — Te przeklęte Krzyżaki na wszystko łakome.

— To był jeno czatownik, nie żaden rycerz, a ten chyba na jagody się złakomi — przerwała Sala.

— To i co, jagody zabierze, da nam po karku, naszturcha i tyle! Nic nie wskóramy! — perswadowała stara.

— Toć krzyknął, żeby poczekać. Pewnikiem przyśle kogo po jagody, może nam się uda dowiedzieć, co znaczą te dzwony. A może...

Furta tak szczelnie była przywarta i tak cicho się otwierała na wgłębionych w mur zawiasach, że jeno ten mógł wiedzieć o jej istnieniu, kto był świadom wszelkich arkanów przez Krzyżaków wymyślonych. Na zewnątrz murów nikt nie dostrzegł najmniejszej szczeliny, ba, nawet kreski na murze, a i wewnątrz obce oko próżno by jej szukało.

Na widok knechta Sala krzyknęła i poczęła biec, potykając się, kulejąc i kołysząc w niezgrabnym chodzie. Dziw jeno, że miasto[9] uciekać w przeciwną stronę, zbliżała się ku niemu, jakby straciwszy głowę z wielkiego lęku.

Stara podążała za nią również niezgrabnym, niedołężnym krokiem.

Jakub tymczasem z wielkim zamachem schwycił kobiałkę z jagodami, szepcąc jednocześnie:

— Udawaj, że nie chcesz oddać, ja cię będę rzekomo walił w kark i szamotał.

Zaczęła się więc szarpanina dwóch kobiet z knechtem, który zamierzając się udawał, że z całej siły okłada pięścią to jedną, to drugą. Tak okładając mówił:

— Książę niderlandzki składał przysięgę na rycerza. Darował im swe ziemie. Dzwony to głosiły. Z naszych nikt nie przybył. Zakon szykuje się do wojny z Polską. Lada chwila wyruszą. Chciałbym, by i mnie wzięto. Moc ogromna rycerzy. Moc broni, koni. Pewni są zwycięstwa. Wiozą okowy, pęta. Mówią, że zabiorą moc ludu i ziemi. Trzeba naszych sił wiele.

— Kiedy wyruszają, jaką drogą? — pytała stara.

---

[8] *nein, nein, kann nicht* (niem.) — nie, nie, nie mogę. [przypis redakcyjny]

[9] *miasto* (tu daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

— Nie wiem, ale wkrótce. Jutro pono przednie straże mają wyruszyć, wkrótce rycerstwo. Ach, jakżebym chciał, żeby i mnie wysłano! — mówił gorączkowo, spuszczając rzekomo pięść na plecy Sali.

— Za trzy dni będziemy o świcie — szepnęła Sala.

— Przy której furcie? — rzekła stara.

— Pięćdziesiąt kroków od tej, cegła z białym brzegiem, naprzeciw dębu — odszepnął knecht.

Niepotrzebnie wszakże szeptali, bo choćby słyszał kto zza muru, nie rozumiałby ich mowy.

Podczas tego Jakub wciąż szarpał się z kobietami, te się broniły, wieszając u rąk jego. On zaś uderzał to jedną, to drugą, opowiadał o wszystkim, co się działo w Zakonie, co jego uszu doszło, i to, co widział i słyszał podczas dzisiejszej uroczystości.

— Synu, pamiętaj, coś winien ojczyźnie! Noś skórę wilczą, wślizguj się jak wąż, dowiaduj, a sercem bądź tym, kim być winieneś — szeptała stara.

— Nie bójcie się, pamiętam przelaną krew ojca, krew mego narodu!

— Jest nas tylko dwoje. Na nas ciąży cały obowiązek — szeptała Sala, czepiając się rąk knechta.

Ten wszakże, nie chcąc przedłużać swego pobytu za murami, szepnął teraz:

— Trzeba o niebywałej sile krzyżackiej naszych jak najprędzej powiadomić.

I ostatnim wysiłkiem wydzierał kobiałki.

Kobiety oddały je wreszcie, on zaś uderzył jedną i drugą w kark, te powaliły się na ziemię, jęcząc wniebogłosy. Na zakończenie kopnął je nogą. Obie staczały się po gładkiej murawie wału. Jakub zabrawszy kobiałki wracał śpiesznie tąż samą ukrytą furtą.

Gdy znalazł się w podwórcu, z wielkim triumfem i ożywieniem pokazał oczekującemu Falsowi swą zdobycz. Niebawem obaj siedząc w czatowni, raczyli się smacznym owocem.

— Te wiedźmy, to prawdziwe czarownice! Tfuj! — mówił Jakub, spluwając. — Najwidoczniej mają jakąś nieczystą w sobie siłę. Ledwiem je zmógł!

— Ba, jak czarownice — rzekł Fals z przekonaniem, pakując do ust całą garść jagód. — Ale się broniły, no! Myślałem, że im nie podołasz! — dorzucił.

— Eh, toćem nie ułomek! Ale tak się mnie czepiły na wszystkie strony jak pijawki, a gadają tak, że nic zrozumieć nie można.

— Ba, zwyczajnie, polskie świnie. Toć ich tu jeszcze pełno po wsiach — mówił Fals z pogardą.

Jakub haniebnie się w tej chwili skrzywił i splunął gwałtownie. Ale zaraz rzekł:

— Znać w jagody jakiegoś robaka wsadziły.

— Cha! cha! cha! To umyślnie dla ciebie! — zaśmiał się Fals. — Nie jedz już, bracie, nie jedz. Ostaw resztę dla mnie! — śmiał się dalej czatownik, wysypując resztę jagód z kobiałki do szeroko rozwartej gęby.

Zapach jagód rozszedł się po czatowni, ale Jakuba woń ta nie nęciła. Wciąż spluwał, a opuszczając czatownię, zaciskał pięści, jak gdyby chciał nimi kogoś uderzyć.

Zabrał się też zaraz do dalszego zamiatania podwórca, a czynił to z wielką zaciętością, wywierając złość na miotle, na długim kiju osadzonej.

— O, najdroższe, najpiękniejsze wiedźmy, dzięki wam za onego robaka, co go zgryzł wasz pogromca, inaczej byłby mi z pewnością drugiej nie zostawił — mówił do siebie Fals, zabierając się do otworzenia drugiej kobiałki.

Wtem zaroiło się w podwórcu wracającymi knechtami. Falsowi przyszła znać inna myśl do głowy, bo odstawił kobiałkę, nie tkniętą, i patrzył za mury wzrokiem człowieka spełniającego pilnie swój obowiązek. Po chwili wszedł inny knecht, żeby go zastąpić, i zaraz na wstępie rzekł:

— O, jak tu wonieje!

Fals podetknął mu pod nos zamkniętą kobiałkę, którą poprzednio wraził w pętlę długiego sznura i śmiejąc się zawołał:

— Patrz jeno pilnie w niebo, to ci takie same stamtąd spadną!

Po czym zbiegł prędko ze schodów i skierował się wprost do wychodzącego z izby jadalnej Bibera. Podał mu kobiałkę i rzekł z tajemniczą miną:

— Jakaś wiedźma słaniała się tuż pod murami, chciałem ją wziąć na pętlę, ale znać była to czarownica, bo wraziła w pętlę kobiałkę, a sama zniknęła.

Biber wziął delikatnie, z pewnym lękiem, szczelnie zamknięty koszyk, wciągnął w siebie woń z niego uchodzącą i rzekł:

— Coś jakby lasem wonieje!

— I mnie tak za nos chwyciło! — przyświadczył Fals. — Ciekawość jednak, co to takiego? — dorzucił, mrugając oczami.

— Czarownice to tak umieją omamić, nawet wonią — mówił Biber, oglądając kobiałkę.

— Eh, toć wiecie, że krzyż święty wszelką nieczystą siłę odpędza — zachęcał dowcipniś.

— No, tak... — odrzekł Biber z wielką determinacją i powagą, a udając bodaj samego mistrza Zakonu, począł: — *In nomine Patris et Filii, et Spiritus Sancti*[10]... *Amen*! — dokończył powstrzymując śmiech knecht.

Biber z pewną ostrożnością rozwiązał łyko kobiałki.

— Jagody leśne, Boga mi, jagody! — zawołał z uciechą, wciągając woń dojrzałego owocu.

— Po samej woni poznałem i dlatego nienaruszone w darze wam przynoszę — mówił Fals, oblizując się łakomie.

— Lepiej, że miasto[11] wiedźmy ułowiłeś kobiałkę — rzekł Biber, zapychając usta jagodami.

Fals zaś myślał:

„Lepiej byłbym sam połknął. Ten stary nic mi przecie nie da. Mogłem tak samo mówić: *in nomine* czy jak tam i czary odegnać, boć ten robak, co go połknął Jakub, to pewnikiem czary. Chodzi teraz jak struty".

W tej właśnie chwili przeszedł koło niego Jakub. Setnie był nachmurzony, patrzył spode łba, zdawał się nikogo nie widzieć, a pięści wciąż zaciskał. Nie rzekł też ni słowa, zerknął jeno na zajadającego wonne jagody Bibera i wszedł do izby na południowy posiłek.

„Jemu wciąż się zdaje, że wali czarownice" — pomyślał Fals.

Nie spuszczał jednak z oka Bibera, który, nie bacząc na czary, wyjadał owoc z kobiałki.

„Pożre, Boga mi, pożre, nic nie ostawi" — myślał Fals.

Odchrząknął też i rzekł:

— Zawszeć te jagody od wiedźmy pochodzą... A nuż tam, na dnie, są jakie szkodliwe? Toćeście jeno z wierzchu je odżegnali...

Biber drgnął i garść jagód, niesioną do ust, w połowie drogi zatrzymał.

— Przewąchałeś co? Możeś umyślnie dał mi zatruty owoc? — mówił przestraszony Biber.

— Nicem nie przewąchał, bom nie wąchał, alem dał do powąchania Jakubowi, ten wciągnął w siebie woń, a że nie była jeszcze odżegnana, chodzi teraz jak otruty. Przyszło mi do głowy, żeście jeno z wierzchu kobiałkę odżegnali, a tam, od spodu...

— Żeby cię, psi synu, z twymi jagodami! — przerwał przestraszony dozorca.

I rzucił kobiałką w dowcipnisia, a sam przeżegnawszy się uchodził śpiesznie.

Ten uchwycił zręcznie kobiałkę. Nieco jagód z niej wyleciało, a knecht usunąwszy się we wnękę ściany, wsypywał do ust resztę pozostałych, mlaskając językiem.

Teraz i Biber był markotny. Zapomniał nawet fukać i gderać, szeptał jeno coś pod nosem, spluwał, bo zdawało mu się, że go pali we wnętrzu. Aż Fals zbliżył się do niego z pokorną miną i mówił:

— Nie bójcie się, ojcze, nie zjedliście nic szkodliwego, bo oto dopiero na dnie pod jagodami były dwa czarne robaki, którem zgniótł na krzyż, odmawiając jak wy *in nomine*... Resztę z kobiałki wrzuciłem do dołu, by nieczystości nieczystą siłę strawiły.

Biber zamierzył się na sprawcę jego umartwienia, ale wtem ukazał się jeden z urzędników Zakonu i rozkazującym głosem zawołał:

— Sekretarz wielkiego mistrza kazał się dozorcy dziesiątego podwórca w tej chwili stawić!

---

[10] *In nomine Patris et Filii, et Spiritus Sancti* (łac.) — w imię Ojca i Syna, i Duch Świętego. [przypis edytorski]

[11] *miasto* (tu daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

SALA I SIENICHA

Kobiety podniosły się z ziemi, zataczały się jakby z wielkiego lęku i razów, jakie otrzymały, sił do dalszej podróży nie miały. Oczy im wszakże błyszczały, a obejmując jedna drugą, rzekomo dla podparcia się wzajem, czuły, że im serce gwałtownie dygocze. Gdy zaś odeszły od wałów ze dwie staje[12], Sala nie mogła powstrzymać swojej radości.

— Widzicie, babo, widzicie, chcieliście już uciekać, a tak nam się udało, jak nigdy!

— Bałam się o ciebie, dziecino, o ciebie... Byleby jeszcze za trzy dni można zasięgnąć języka, a naszym jak najprędzej dać wiedzenie — dorzuciła.

— Ach, ten Kuba, ten Kuba, jak on pociesznie udawał, że wali mnie pięścią, a szeptał: „Bądź spokojna, Salo, baczę na wszystko, co się dzieje w Zakonie, a choćbym miał życie położyć, dam wam o wszystkim wiedzenie".

— Bóg znać posłał go między te wilki, aby służył narodowi — westchnęła stara.

— Twoja to zasługa, babo — ozwała się miękkim głosem dziewczyna — odkąd nam go zabrali, ty czuwasz nad nim i nie dałaś mu się zniemczyć.

— On dałby się zniemczyć, on?

— Gdybyś nad nim nie czuwała, kto wie, co by się stało, toć przecie nie miał lat ośmiu, kiedy nam go zabrano. Coś ty użyła, jakich fortelów, by nie zapomniał mowy, a udawał, że jej zapomniał i Niemcom się zaprzedał. Coś ty użyła, wiesz tylko ty i sam Bóg na niebie — ciągnęła dalej Sala, przyciskając ramię baby z serdecznym uczuciem.

— Wszystko mi miłe, żem mojego Kubusia nie tylko od zniemczenia uchroniła, ale i jako węża wyhodowała, a przydatnym dla narodu uczyniła — mówiła stara jakby do siebie.

Sala przycisnęła znów jej ramię i rzekła:

— Jak przez mgłę pamiętam jeno onę chwilę, boćem lat pięciu nie miała, kiedy ojca Krzyżacy zabili, że bronił zamku i nie chciał powiedzieć, jaką drogą poszli Jagiełłowi rycerze, Kubę krzyczącego wniebogłosy zabrali, a matce grozili, że ją ubiją — westchnęła dziewczyna.

— O, pamiętam to dobrze, jakeś ty się za nimi powlokła, jakeś im nadskakiwała, a w domu potem mówiono, żeś Krzyżaków służka i że ich na nas naprowadzać będziesz.

— Cicho, cicho, nie wspominaj tych chwil strasznych! — zawołała drżącym głosem stara.

— Pozwól, pozwól, babo, tak mam dziś serce wezbrane, że muszę wszystko wygadać — mówiła Sala. — Jeno matka kochana zawsze powtarzała: „Sienicha swoich nie zdradzi, a że udawała służkę Krzyżaków, znać miała w tym myśl jakąś". I jakby przeczuwając, żeś za Kubusiem poszła, mniej swego jedynaka płakała.

— Wiem to wszystko, wiem — przerwała stara. — A też i to, że prócz Kubusia było tam moc dzieci. Krzyżacy, słysząc moją niemiecką mowę, przychylność udawaną, słysząc wymysły na Polaków i Litwę, a też obietnice, że dzieci na wierne sługi Zakonu wychowam, mojej pieczy te niebożęta powierzyli. Nie ze wszystkimi się tak udało, jak z Kubusiem, nie wszystkim też mogłam ufać, zawszeć przez dziesięć lat coś się tam zrobiło — mówiła dalej jakby do siebie.

— Dziesięć lat. Ale coś ty tam przez te lata wycierpiała! — przerwała dziewczyna.

— Największą męką było dla mnie, żem słyszała ciągle pogróżki i wymysły dla Polski i Litwy. Największym też trudem było powstrzymywanie się, żeby nie wybuchnąć, a krew burzącą się w żyłach przymileniem się i przyświadczaniem powstrzymywać.

Sala z miłością przycisnęła się do jej ramienia.

— Największym też bólem było widzieć zabieranie spod mej opieki dzieci, które psy gończe pędziły, aby im ukryte wśród lasów chaty wskazywały. Spomiędzy tych zabieranych najwięcej było litewskich dzieci, z nimi mogłam się porozumieć, boć mi zostało nieco tej mowy w pamięci. A te biedactwa, poczuwszy dym z ojczystej chaty, pędziły w oczerety i zarośla, naprowadzając na własnych ojców strasznego wroga.

Kobieta, znękana strasznym wspomnieniem, zamilkła, a z piersi jej wydarło się głębokie westchnienie. Westchnęła i Sala, a potem rzekła:

---

[12]*staja*, *staje* a. *stajanie* — daw. miara długości, w różnych okresach i okolicach licząca od 100 do 1000 m. [przypis edytorski]

— Aż oto przed rokiem zjawiłaś się znów w naszym dworze, przyniosłaś wieść umierającej matce o ukochanym jej synu. A ona cię błogosławiła i oddała twojej opiece i mnie, i jego — dodała.

I znów obie zamilkły.

— Aż oto, gdyś chciała odchodzić, uczepiłam się twej dłoni, a tyś pozwoliła, żebym poszła za tobą, aby ból serdeczny po matce utulić, brata obaczyć, a podpatrywać wrogów i o ich zamiarach swoim donosić...

— Pozwoliłam, a teraz ciągle to sobie wyrzucam! — odrzekła Sienicha.

— Uspokój się. Przecież opiekun mój a krewniak matki, Jaśko z Tarnowa, pobłogosławił mi i rzekł: „Wszechmocny i wątłej dziewce doda siły, jeżeli dobrej sprawie chce służyć".

— Pamiętam to, pamiętam, a jednak...

— Mam też duże porachunki z Krzyżakami — przerwała Sala. — Zabili ojca, zabrali brata, matka z tęsknoty życie skończyła, zamek zrabowali, lud z Bobrownik srodze uciemiężali, do mnie więc należy wszystkich sił użyć, by na każdym kroku przeszkadzać im do dalszych zaborów — mówiła z zapałem dziewczyna.

— Wiem to wszystko, wiem, ale to nad siły słabej dziewczyny.

— A ty, babo, a ty? Przecież i ty od najrańszej młodości stanęłaś do walki z wrogą nam potęgą.

— Niech cię Bóg uchowa, żebyś miała doznać tego, co ja doznałam — westchnęła Sienicha.

— Pozwoliłaś pójść z sobą, a teraz zniechęcasz.

— Boga mi, nie zniechęcam, jeno drżę, żeby cię w swoje szpony te wilki nie dostały!

— Nie dostaną. Żywcem nie dostaną! — rzekła z mocą Sala. — Wszak wiesz, co noszę w krzyżyku — dodała.

Obie westchnęły.

— Brata odnalazłam, widywałam go przy twojej pomocy, przyniosłam mu otuchę, a choćem jeno dziewką, mogę być swoim użyteczna — mówiła dalej Sala.

— Dziewka i siedząc doma może dużo dobrego uczynić, zwłaszcza kiedy zabrakło matki, a jeno Przybora głową całego waszego mienia — rzekła stara surowo. — Zażywasz jeno biedy w moim schronisku i więdniesz jako kwiatek bez słonka — dodała.

— Cyt, cyt, babo! Nie czas na rozczulanie się nade mną, idzie głównie o to, żeby jak najprędzej zanieść do Krakowa wiadomość — mówiła namyślając się Sala.

— Za trzy dni dość będzie czasu — odrzekła stara.

— Za trzy dni może być za późno, drogi będą przez Krzyżaków zalane. Trzeba nam pierwej — nalegała dziewczyna. I po chwili namysłu, ze zwykłą stanowczością rzekła: — Ty ostaniesz, ja pójdę!

Stara aż stanęła ze zdumienia.

— Wiesz przecie, że mam łódź uwiązaną w przystani, że Lutek-niemowa jej pilnuje. Popłyniemy w górę rzeki, a kiedy ty zaledwie dowiesz się o ich wyjściu, ja będę już w Bobrownikach, a stamtąd pchnę z wieścią do Krakowa o nadzwyczajnych siłach krzyżackich i ich zamiarze wkroczenia do Polski.

— Nie mogę cię wstrzymywać — odrzekła baba. — Kto raz poświęcił się służeniu narodowi, nie może w drodze ustawać.

Zamilkły obie, każda znać zajęta swoimi myślami.

Szły teraz śpiesznym krokiem, nie słaniając się i nie pochylając. Stara o wiele przewyższała wzrostem młodą dziewczynę, miała pewne, energiczne ruchy i nie znać w niej było znużenia i lat przebytych w trudzie, o którym Sala mówiła.

Wydostawszy się spod zamku, szły przez łąkę, na której prócz pastucha i pasącego się bydła nikogo nie było.

W miarę jak się oddalały od miasta i zamku, nabierały pewności. Wkrótce dostały się w zarośla, a nareszcie zginęły w ciemnym, gęsto podszytym lesie. Po uciążliwym przedzieraniu się przez krzaki i zarośla doszły do wzgórza porosłego puszystym mchem. Pod tym zielonym poszyciem nikt nie domyślał się w nim pieczary, a w niej mieszkania dwóch kobiet.

Znać ustroń ta nie była przez ludzi nawiedzana, bo ptaki nawet nie płoszyły się na widok przybyłych, owszem, nader swobodnie przelatywały z gałęzi na gałąź, cirkając lub

głośne wywodząc trele. Woń leśna przepełniała powietrze. Słonko miało się ku zachodowi. W lesie mrok był już prawie. Ptaki milkły powoli, rozgwar ich zastępowała cisza wieczorna. Jeno od czasu do czasu las zaszumiał, rozpoczynając zwykłą modlitwę wieczorną. Lecz kobiety nie miały czasu weń się wsłuchiwać ni zachwycać pięknością wieczoru. Wsunęły się w mchy gęste, potem do ciemnej pieczary.

— Nie wchodź dalej, póki nie zaświecę! — zawołała Sienicha.

Obracała się też wśród ciemności jak przy najlepszym świetle. Rozgarnęła leżący w kącie pieczary popiół, zapaliła łuczywo od iskier w nim tlejących, suchymi gałęźmi, nagromadzonymi w drugim kącie, podsyciła ogień.

Teraz dopiero Sala znalazła się przy niej. Teraz dopiero po trudach dnia i niepokoju uczuły się głodne i znużone. Przysiadły więc koło ognia. Sienicha przystawiła kociołek z wodą, wrzuciła kawałek wędzonego mięsa, wyjęła zeschły chleb z zanadrza i po niejakim czasie zawołała na milczącą, pogrążoną w myślach towarzyszkę:

— Posil się, dziecino. Sił ci potrzeba.

Sala ocknęła się z zadumy i rzekła:

— Potrzeba i mieć je muszę.

Po czym obydwie jadły w milczeniu, od czasu do czasu przyrzucając drewek do tlejącego ogniska.

Gdyby kto spojrzał na wnętrze pieczary, byłby się przekonał, że niepłonne były słowa Sienichy, gdy rzekła: „Więdniesz jak kwiatek bez słońca". Pieczara była wilgotna, chłodem przejmująca, gdzieniegdzie widać było na jej ścianach krople wody, które teraz przy świetle ognia migotały jak drogocenne kamienie. Gdyby też kto widział te dwie kobiety siedzące nad tlejącym ogniskiem, byłby je posądził o odprawianie tajemnych czarów lub składanie ofiar jakiemuś podziemnemu bóstwu. I nie byłby się omylił. Składały rzeczywiście ofiarę ze swoich trudów dni całego życia, a składały ją na ołtarzu miłości ojczyzny.

Pierwsza zerwała się dziewczyna.

— Dość już wypoczynku.

— Dość — powtórzyła baba.

I obie zajęły się przygotowaniem do drogi.

Po północy wychodził z pieczary chłopiec w ubraniu flisaka. Krótki, płócienny spencerek, takież sięgające zaledwie do kolan spodenki, na głowie słomiany kapelusz, spod którego wydostawały się krótkie, ciemne włosy, ocieniające twarz i szyję czarną, jakby spaloną od słońca czy też umyślnie pomalowaną. Na kiju przewieszonym przez plecy miał niewielki węzełek jak zwykle chłopak flisaczy. W łapciach ze skóry stąpał pewnym krokiem przez las gęsty, zwarty. Z początku ostrożnie, potem coraz pewniej, nawet z fantazją. Usta rozchylone byłyby może zanuciły piosenkę, nie chciał wszakże budzić mieszkańców lasu. Lecz oni sami się budzić poczęli. Jakiś ptak ocknął się niespokojnym świergotem, inny mu odpowiedział sennie, nieśmiało, jakby przedzwaniając na zwykłą poranną modlitwę. Wkrótce ozwało się kilka innych głosów nieco zdziwionych, potem coraz więcej, coraz śmielej dzwoniły na ranne pacierze.

Flisak przedzierał się przy tej muzyce, a gdy wychodził z lasu, przedświty wstającego dnia poczęły błąkać się po niebie. Gdy przebywał piaszczystą, nie porosłą zielem drogę, na niebie rozbłyskiwała zorza strojna w złotawoczerwone fiolety. Gdy znalazł się nad Wisłą, zorza w całym swym majestacie zaścielała mu drogę, wlokąc swój płaszcz purpurowy po szarych toniach rzeki. Lutek śpiący w czółnie tuż nad brzegiem, zbudzony czerwonym blaskiem wschodzącej zorzy, z wielkim zdziwieniem spojrzał na stojącego nad nim flisaka.

Widok jego znać mu był przyjemny, bo zaśmiał się na całe gardło i oczy mu radością zabłysły.

Chłopiec uśmiechnął się doń dobrotliwie, lecz jednocześnie położył palce na ustach, nakazując milczenie. Potem na migi dawał jakieś znaki, gładząc starego po twarzy, wskazywał ręką przed siebie, to znów rozszerzając ramiona, przytulał je do piersi.

Niemowa znać zrozumiał te znaki, zaśmiał się, a potem całą siłą swych potężnych ramion odepchnął czółno z przystani gęsto zarosłej łoziną.

Wkrótce czółno, trzymając się brzegu, pruło powierzchnię mętnej wody. Wiatr popychał je w dół rzeki, a prócz ramion niemowy popychały je wiosła trzymane silną dłonią młodego flisaka.

W BOBROWNIKACH

Niemało dni upłynęło, nim Sala z wiernym sobie niemową do Bobrownik przybyła. Niemało też znać trudów w tej podróży użyła, bo lica jej teraz nie sztucznie, lecz naturalnie ogorzałe były od słońca. W tej trudnej podróży pomagał im wiatr przyjazny i wzburzone nieco fale rzeki, która zwykle w tym czasie przybiera.

Gdy późnym wieczorem weszła do swej ojczystej siedziby, nikt jej nie poznał. Wzięto ją rzeczywiście za flisaka. Dopiero gdy przemówiła i każdego z osobna nazywać poczęła po imieniu i gdy po odprowadzeniu czółna w bezpieczne miejsce przybył niemowa, poznano w niej dziedziczkę zamku.

Lutek na migi dużo rzeczy opowiadał, śmiał się i cieszył jak dziecko, ze wszystkimi się witał, niewiele sobie jednak z niego robiono, każdy bowiem zajęty był ukochaną przez wszystkich dzieweczką.

Począwszy od najniższych, z piekarni, którzy widzieli ją przechodzącą w stroju flisaka, a skończywszy na pełniących służbę w pokojach i tych, co zasiedli z nią do skromnego posiłku, nikt nie mógł myśleć o czym innym, jeno o powrocie młodziutkiej swej pani, która, jak wczesną wiosną, kiedy jeszcze śniegi nie stopniały, nagle zamek opuściła, tak teraz nagle się zjawiła.

— Znać niemało biedy i trudów podjęła — mówiono. — I po co jej to, po co?

Posiłek i wypoczynek jej był nader krótki. Zastała bowiem wysłanego przez Jaśka z Tarnowa dworzanina Marka, który miał iść brzegiem Wisły, ażeby o ruchach Krzyżaków języka zasięgnął i z tymi wieściami jak najprędzej do Krakowa wracał.

— Wracajmy więc niezwłocznie! — rzekła Sala.

Dworzanin spojrzał na nią zdziwiony.

— Nie potrzebujesz się waść w dalszą podróż puszczać.

— Mam rozkaz od jaśnie wielmożnego kasztelana... — począł dworzanin.

— Usprawiedliwienie waszmości przed kasztelanem biorę na siebie — przerwała Sala.

Marek jeszcze większe zrobił oczy. Chciał też coś mówić, lecz Sala rozkazującym głosem dodała:

— Jutro o świcie wyruszamy! Mości Przyboro — zwróciła się do zarządzającego jej majątkiem — dla mnie niech będzie gotowy najlepszy koń, dwa luzem i czterech zaufanych ludzi a umiejętnych w podróży. Koń niech będzie bogato osiodłany, ludzie dostatnio odziani, wozów dwa z przyborami podróżnymi i na nich właściwa służba niewieścia — mówiła dalej.

Rozkaz wprawił w podziw dwór cały, wydany zaś był takim głosem, że nikt nie śmiał protestować.

Po czym skinęła głową i wyszła.

Przybora z dworzaninem wielmożnego kasztelana spojrzeli na siebie i nic nie mówiąc wynieśli się zaraz dla spełnienia rozkazów.

— Osobliwa dziewka — szepnął Marek.

— Taka była od dziecka — odrzekł Przybora.

I poszli gotować się do drogi.

Modlitwa

Sala opuściwszy izbę jadalną, udała się do komnaty nieboszczki matki. Tu uklękła przed krucyfiksem i gorące zanosiła modły.

Cicha i krótka była modlitwa dziewczyny, lecz w niej z całą dziecięcą ufnością oddawała tę ziemię, naród i całą sprawę w opiekę Temu, który za wszystkich dał życie, za wszystkich cierpiał, aby się stało zadość sprawiedliwości.

— Tyś, o Panie, świat cały wyrwał z pęt grzechu, pozwól mnie niegodnej przyczynić się do wydobycia mego narodu z pęt tych, którzy niegodnie w imię Twoje chcą go zagarnąć w niewolę.

Potem zwróciła się myślą ku rodzicom:

„Ojcze, matko, pobłogosławcie zamiarom moim, pobłogosławcie tej ziemi, w której obronie ty, ojcze, życie swe dałeś".

I pokrzepiona modlitwą, wybiegła.

Wkrótce, wykąpana po trudach podróży, obleczona, jak przystało na dziedziczkę bobrownickiego zamku, wypoczywała na wygodnym łożu, którego od kilku miesięcy nie zażywała.

Ledwie słonko wyszło zza chmur porannych i ozłociło wierzchołki drzew otaczających bobrownicki zameczek, poczet był gotów.

Poczet był wcale pokaźny. Prócz bowiem wozów i koni, nakazanych przez Salę, stał orszak złożony z kilku ludzi otaczających kasztelańskiego dworzanina. Był to poczet bardzo skromny, boć nie był wysłany w poselstwie, lecz z rozkazem, który trzeba było spełnić umiejętnie, oględnie i bez wszelkiego splendoru. W każdym razie powiększał on poczet dziedziczki na Bobrownikach i stanowił niejako jej straż bezpieczeństwa.

Wkrótce ukazała się Sala. W obcisłym kubraczku szarym, w kołpaczku z gęstą zasłoną okręconą koło głowy i szyi wyglądała teraz, jak przystało na dziedziczkę bobrownickiego zameczku.

Przybora położył dłoń tuż przy strzemieniu. Sala lekko się na niej oparła, wskakując na siodło z oparciem.

Siodło, żółtą skórą obite, wysłane szarym suknem, nie było wprawdzie, jak i cały rząd na konia, bogate, lecz znamionowało dostatek.

Wozy, na których jedna starszego już wieku, a druga młoda służebna swej pani towarzyszyły, były też doskonale ładowne i wymoszczone.

Jeszcze słońce nie zdążyło się wzbić wysoko i zaledwie jedną czwartą część dnia oznaczało, gdy orszak cały wyruszył z bobrownickiego podwórca. Na czele jechał dworzanin wielmożnego kasztelana, jako świadom drogi do Krakowa, za nim zaraz Sala w otoczeniu dwóch swoich ludzi, dalej wozy i dwóch pachołków pana Marka.

Podróż

Nikogo nie dziwił ten poczet, dość zamożnie wyglądający, ani też młoda dziewka jadąca konno, boć to był zwykły sposób podróżowania. Podróżowano też zwykle wczesnym bardzo rankiem i od zachodu słonka do późnej nocy, dając wśród dnia wypoczynek koniom i ludziom. Trzymano się brzegów Wisły, boć to była droga najpewniejsza, wiodąca prosto do Krakowa. Nie doznawano też żadnych przygód ani przeszkód i szczęśliwie, na kilka dni przed 1 lipca, poczet stanął w Krakowie.

Tam nie szukano żadnej gospody, bo Sala miała ją u swego opiekuna, Jaśka Tarnowskiego. Ze zwykłą sobie śmiałością kazała się prowadzić do komnat niewieścich.

Wielmożna kasztelanowa, z domu Spytkówna, dowiedziawszy się, kto na jej dwór zjechał, zaraz ją do swej komnaty przez jedną z dworek zaprosiła, co było niezwykłą łaską ze strony dostojnej matrony.

Sala oddała od progu należny ukłon, a ośmielona wdzięcznym uśmiechem i przyjaznym skinieniem głowy, zbliżyła się i objąwszy nisko za kolana, do stóp jej się schyliła.

— Szczerym sercem i miłym wejrzeniem witamy cię na naszym dworze, miła dzieweczko — rzekła kasztelanowa, kładąc dłoń na głowie sieroty i gładząc jej lice ogorzałe od słońca.

Grzeczność, Obyczaje

Sala, nie znając dobrze dworskiej etykiety, złożyła na jej ręce pocałunek.

Taka poufałość dozwolona była na dworze kasztelanowej jeno wybranym. Cofnęła też wprędce rękę, uśmiechnęła się, ale już zgoła inaczej rzekła:

— Cóż waćpannę w nasze progi sprowadza?

Sala odczuła chłód w jej głosie, a nie wiedząc, czemu to przypisać, stropiła się nieco. Wprędce wszakże przyszła do siebie i kłaniając się powtórnie, mówiła:

— Do jaśnie wielmożnego kasztelana, a mego opiekuna przybywam.

Kasztelanowa, przypomniawszy sobie o smutnym losie sierot z Bobrownik, miększym już nieco głosem rzekła:

— Sierotami ja się opiekuję. Polecę cię ochmistrzyni i na niczym ci w domu naszym zbywać nie będzie.

To mówiąc, srebrnym młotkiem uderzyła w kowadełko stojące przy niej na stole.

Dźwięk donośny rozległ się po komnacie, Sala zaś nie czekając, aż się kto ukaże, przyśpieszonym głosem mówiła:

— Do samego wielmożnego kasztelana mam nie cierpiącą zwłoki sprawę i rzecz tę muszę mu zaraz wyłuszczyć.

Kasztelanowa spojrzała z góry na mówiącą i znów chłodnym swym głosem wyrzekła:

— Do jaśnie wielmożnego niełatwo z byle jakąś prywatną sprawą przystępować.

— Jest to rzecz wielkiej wagi... — poczęła Sala.

— Polecam opiece waćpani imci pannę Bobrownicką! — ozwała się kasztelanowa do ochmistrzyni, która stawiła się na głos dzwonka.

I wstawszy, majestatycznym krokiem wyszła z komnaty.

— Proszę za mną — ozwała się ochmistrzyni wyniosłym głosem.

Sala ze ściśniętym sercem za nią podążała, myśląc wszakże:

„Muszę przecież dotrzeć do kasztelana, muszę".

I układała rozmaite plany. Trudno byłoby jej je wykonać. Parę izb w lewym skrzydle zamku Tarnowskich oddane było na mieszkanie ochmistrzyni i dworek. Przylegały one do komnat kasztelanowej, nie miały wszakże najmniejszej łączności z komnatami kasztelana. Były one tak oddzielone, że nikogo z jego dworu, mieszczącego się w prawym skrzydle, spotkać nie można było.

Sala nie wiedziała o tym i wszelkie podjęte przez nią trudy byłyby nie osiągnęły celu, i wszelkie plany byłyby nie doszły do skutku, jak nie dochodziły promienie słońca do wąskiego korytarza, którym ochmistrzyni wiodła nową dworkę.

Gwar młodych głosów uciszył się za wejściem ochmistrzyni i Sala ujrzała kilkanaście młodych główek pochylonych nad krosnami, które ukradkiem zerkały na przybyłą. Ochmistrzyni nie zatrzymała się na ten raz przy pracujących, lecz skierowała się do bokówki i otworzywszy drzwi, rzekła do Sali:

— Omyj się, waćpanna, z podróżnego pyłu. Przyślę ci tu ubranie, jakie wszystkie dworki noszą. Nie wiem nawet, kto ci wskazał drogę i jakeś śmiała tak jak jesteś przedstawić się jaśnie wielmożnej kasztelanowej.

To mówiąc wyszła zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Mimo widnej, czystej izby, obwieszonej ręcznikami i zastawionej cebrzykami z wodą, zdawało się Sali, że ją ktoś wepchnął do więzienia. Nie była jednakże z tych, co to łatwo się zniechęcają i odstępują od raz powziętego zamiaru.

Sala nie tylko się nie zniechęcała, ale nie mogła zostawać bezczynnie. Skorzystała więc z cebrzyka wody i, zrzuciwszy zwierzchnie odzienie, poczęła się oblewać.

Zaledwie zdążyła się umyć i narzucić na siebie bieliznę, gdy ta sama ochmistrzyni ukazała się w drzwiach, jeno nie tych, którymi weszła, lecz w przeciwnej ścianie, i zdyszanym głosem rzekła:

— Prędko, prędko skończ, waćpanna, te ablucje. Zarzuć na siebie te oto szaty i pójdź ze mną.

To mówiąc odebrała od stojącej pode drzwiami służebnej przyniesiony strój dworki i własnoręcznie pomagała Sali do przywdziania go. Wierna zaś swoim obowiązkom, pouczała:

— A wiedz, waćpanna, jak się ukłonić, niziutko, do kolan, a oczami po komnacie nie wodzić, nie podnosić ich, jeno skromnie, ze schyloną głową słuchać, co do niej mówić będą! Boć nie lada honor waćpannę spotyka!

I poprzedziła zdziwioną dziewczynę, prowadząc ją tymże samym korytarzem, którym wprowadziła, a nawet przez tęż samą komnatę, w której przed chwilą stała przed kasztelanową, jeno że w niej nikogo nie było. Tutaj, odrzuciwszy zasłonę maskującą drzwi, rzekła z wdzięcznym uśmiechem i wdzięczniejszym jeszcze ukłonem do oczekującego pana Marka:

— Oddaję pod opiekę waszmości co tylko przybyłą na nasz dwór pannę Bobrownicką.

Marek nic nie odpowiedział, jeno z wielkim uszanowaniem ukłonił się Sali i rzekł:

— Jaśnie wielmożny kasztelan oczekuje.

Sala śpiesznie poszła za swoim przewodnikiem. Jemu też była winna, że opiekun dowiedział się o jej przybyciu.

Gdy bowiem stawił się przed kasztelanem, wyłuszczając powody, dlaczego dotarł jeno do Bobrownik, ten nie tylko nie zburczał go za niespełnienie rozkazów, lecz uśmiechnąwszy się z zadowoleniem, zawołał:

— Dobrze, dobrze! Prosić natychmiast pannę Bobrownicką!

Zrobił się też niemały alarm przy szukaniu, a potem huczek, co to za panna, którą jaśnie wielmożny kasztelan wezwał do siebie. Gdy zaś wróciła z pokojów, wskazano jej osobną izbę, z której wszakże niedługo korzystała.

Dodać też trzeba, że na drugi dzień kasztelanowa wezwała ją do siebie, bardzo łaskawie rozmawiała i nie tylko pozwoliła pocałować się w rękę, lecz przytuliła do piersi jej główkę, mówiąc:

— Niech cię Bóg ma w swojej opiece i dopomaga twoim zamiarom. — A wniósłszy oczy ku niebu, dodała jakby do siebie: — Niezbadane są wyroki Opatrzności!

WOJNA!

W niewielkiej komnacie wawelskiego zamku, przeznaczonej na poufne narady z otaczającymi króla panami, przechadzał się Jagiełło. Znać myśl jakaś głęboka zajmowała jego umysł, bo na wyniosłym czole osiadły zmarszczki. Podnosił też często w górę brwi siwiejące, targał niecierpliwie rzadki zarost, a kroki jego oznaczały wewnętrzne wzburzenie. Stawał na chwilę, patrzył przed siebie, liczył coś na palcach i znów nierównym krokiem mierzył komnatę.

Dwa wielkie czarne psy towarzyszyły mu w tej przechadzce, z początku łasiły się i skowytem oznajmiały swoją obecność, widząc wszakże, że pan nie zwraca na nie uwagi, chodziły z nim równomiernie, poglądając od czasu do czasu rozumnymi oczyma, jakby podzielały troskę czy zamyślenie pana. Wtem ukazał się w drzwiach dworzanin, oznajmiając:

— Jan z Tarnowa, kasztelan krakowski!

Król rozpogodził nieco oblicze, skinął głową na znak, że pozwala, i siadł na wywyższeniu za stołem.

Psy, korzystając z rozpogodzonej twarzy pana, poczęły mu się łasić, a Pajks skoczył mu na piersi. Lecz Jagiełło nie pogłaskał ulubieńca, owszem, trzepnął po łbie, czym zawstydzony pies, spuściwszy łeb, odszedł, a potem ułożył się u stóp monarchy wraz z towarzyszem, Giwasem, zachowującym się mniej poufale.

W tej chwili wszedł Jan Tarnowski.

— Cóż mi przynosisz, kasztelanie? — rzekł król, nie czekając na ukłon.

— Same dobre wieści, najmiłościwszy panie — odrzekł przybyły z uśmiechem. — Książę Witold na czele Litwy ciągnie z czterdziestoma chorągwiami, prócz tego zwołał Tatarów, gotowych na każde jego skinienie; są też na zawołanie chorągwie czeskie pod dowództwem Jana Jenczyka Morawca, w którego zastępach jest dzielny wojownik, Żyżka; zaś Zyndram z Maszkowic, miecznik krakowski, staje na czele pięćdziesięciu jednej chorągwi.

— Pięknie, pięknie — przerwał z zadowoleniem monarcha.

— Mazowsze całe z ziemią płocką nieszpetne wiedzie szyki, nie licząc Kaliszan, Sieradzan i wszystkich ziem, gotowych do walki z Zakonem — mówił dalej rozradowanym głosem Tarnowski, spoglądając na króla.

Jagiełło słuchał z uwagą i, jak to miał zwyczaj, przebierał palcami to prawej, to lewej ręki, jak gdyby na nich liczył wypowiadane przez swego doradcę zastępy. Twarz jego wszakże nie wyrażała tej radości, jakiej się spodziewał kasztelan. Owszem, w głębokim zamyśleniu przyjmował przyniesione wieści. Po chwili zaś rzekł:

— Tak, tak, wojna z Zakonem nieunikniona. Nawet ta święta pani a zmarła małżonka nasza, królowa Jadwiga, ten przelew krwi przebaczy.

— Świętej pamięci królowa, widząc krzywdy całego narodu, widząc dzieci zabierane przez Zakon, niemczenie onych, przyuczanie do posług wrogich dla ojczystego kraju, do wyrzeczenia się mowy ojców, błogosławić będzie naszym chorągwiom — odparł gorąco Tarnowski.

— A nie dodałeś, mości kasztelanie, że mimo zawartego rozejmu napadają na Żmudź, że nękają Litwę, że wysłane przez nas 47 łasztów[13] żyta na Żmudź pochwycili na morzu, przy samym brzegu, a podrzuciwszy jakieś stare miecze i blachy, utrzymują, że dostarczamy broni Żmudzi i Litwie do nowej z nimi walki.

— Jakżebym mógł o tym zapomnieć, a jeżeli nie wspomniałem, to jeno żeby nie rozdrażniać tym jego królewskiej mości.

— Och, rozdrażnić mnie przeciw tym obłudnikom nic już więcej nie może — odparł Jagiełło. — A jakkolwiek boleję nad wyrządzonymi całemu narodowi krzywdami, owo zajęcie zboża i posądzanie, że dostarczamy potajemnie broń, uważamy za uczynioną nam osobiście obrazę — dodał, usiłując przechadzaniem się po komnacie uciszyć wzburzenie. — Teraz żaden już ich wykręt nie odwiedzie nas od podjęcia walki, wszelkie przysyłanie memoriałów z ich strony nic nie pomoże! Gdybyśmy wojny nie podjęli, zohydziliby

[13] *łaszt* — daw. miara towarów sypkich, równa ok. 3000–3840 litrów. [przypis edytorski]

nas jeszcze więcej przed zachodnimi państwami, a przed papieżem oczernialiby dalej, że sprzyjamy pogaństwu, nie pozwalając na rozszerzanie wiary świętej na Żmudzi — rzucił na zakończenie.

— O, tak, oni tam rozszerzają, ale zdzierstwa i gwałty, na których wspomnienie człowiek drętwieje — mówił przyciszonym głosem kasztelan.

Król westchnął i rzekł:

— Tak, wojna być musi, musi być zaraz, nieodwołalnie!

— Mistrz Ulryk sprosił, słyszę, wszystkich znakomitszych rycerzy z całych Niemiec, wzbogacił się też uroczystym przyjęciem do Zakonu Karola, księcia Niderlandów i Fryzlandii, a z nim jego ziem nadmorskich — począł Tarnowski.

— Skąd wiesz o tym? — spytał król ciekawie.

— Przyniesiono mi dziś wieści, a z nimi i tę, że mistrz wysłał już przednie straże, a i sam dotąd zapewne już ze wzmożonymi przez obce rycerstwo zastępami ku Polsce wyruszył.

— Co?! — Zerwał się gwałtownie Jagiełło, kopnąwszy leżące u nóg psy, które żałośnie zaskowyczały.

— Książę Witold jest już zapewne w drodze od wschodu — mówił spokojnie kasztelan.

— Ale my, my?! — przerwał mu król.

— Najmiłościwszy monarcho, wszelkie rycerstwo czeka jeno waszych ostatecznych rozkazów.

— Rozesłać wici do tych, którzy nie są jeszcze na stanowiskach, by jak najprędzej ze wszystkich stron ruszali brzegiem Wisły ku północy. My jutro, najdalej pojutrze staniemy na czele, dopędzimy ich. Ubieżymy Witolda, spotkamy wroga, a potem co Bóg da! — wołał Jagiełło.

Wojna, Przywódca

Kasztelan skłonił się i wyszedł, widząc, że wzburzenie monarchy nie pozwala na spokojne, z rozwagą obrady. Niezwłocznie też wysłał wici. Zaufanych ludzi ku niesieniu rozkazów miał w pogotowiu.

Jagiełło po wyjściu kasztelana siadł znów na swym miejscu i począł w myśli liczyć:

„Nasze wojska wynoszą 52 chorągwie po 300 konnych, to 15 000; Witoldowych 40 chorągwi po 200 konnych, to 8 000; prócz tego Tatarzy, posiłki czeskie..."

Zamyślił się.

— Nieszpetne siły — rzekł półgłosem.

I nieco uspokojony wyszedł sposobić się do natychmiastowego wymarszu.

I oto, nim dobiegł koniec czerwca, a słońce wstąpiwszy w znak Raka jedną trzecią już drogi w wędrówce swojej na spotkanie Raka dobieżało, z Krakowa, jak i z innych stron Polski i Litwy, kroczyła niezwykle wielka moc rycerstwa.

Jagiełło nie dał się wyprzedzić. Jechał na czele swoich hufców, dzieląc z nimi trudy i niewygody podróży.

Zda się, że od chwili, gdy zapadło ostatnie postanowienie, tak z oblicza króla, jak i całego rycerstwa, wyzierała wojna.

— Wojna — powtarzały wszystkie piersi.

Wojna, Patriota, Ojczyzna

— Wojna! — zdawały się wołać w każdym parsknięciu konie.

— Wojna! — wołały zwinięte do drogi chorągwie.

— Wojna!... — szumiały lasy.

— Wojna! — przywtarzały wartko płynące rzeki.

A echo na wszystkie strony wołało donośnym głosem:

— Wojna! Wojna!

POD DĄBROWNEM

Posuwanie się tak olbrzymich sił, jakimi były zastępy Jagiełły, nie było rzeczą łatwą, ile że im bliżej było środkowej Drwęcy, tym więcej trzeba było zwracać uwagę na wysłańców krzyżackich, którzy, suto przez nich opłacani, mieli donosić o każdym ruszeniu się wojsk polskich.

Ale jeżeli Krzyżacy mieli swoich donosicieli, miały ich i wojska polskie, i litewskie. A jeżeli Krzyżacy siłą pieniędzy zdobywali sobie wierne służki, wierniejszych miała Litwa

Szpieg, Patriota

i Polska. Tu bowiem nie za pieniądze podpatrywano ruchy Krzyżaków, nie za pieniądze wsłuchiwano się w każdy oddźwięk ich myśli i zamiarów, lecz z prawdziwej miłości dla tej ziemi udręczonej przez chciwych zaboru nieprzyjaciół.

Tak Polska, jak Litwa, miała całe zastępy doskonale zorganizowanych wywiadowców, a pomiędzy nimi nierzadko się trafiały mężne, z wielkim poświęceniem kobiety, jakeśmy to widzieli w Sali i Sienisze.

I teraz obie nie zaprzestały swej pracy, lecz każda inaczej.

Sala uprosiła Jana Tarnowskiego, że jej pozwolił jechać na wozach z ludźmi i rekwizytami potrzebnymi do opatrywania rannych. Dwie jej służebne nie odstąpiły swej pani, mówiąc:

— Jeżeli nasza dzieweczka może podejmować tyle trudów, czemuż byśmy i my nie miały służyć naszym wojakom?

Jechała więc Sala z całym taborem, bacząc pilnie i nasłuchując, czy z gęstwy lasów nie wychyli się jaki podjazd krzyżacki. Z pobytu swego pod Malborkiem, z tego, co słyszała od Sienichy, co jej brat szepnął kilkakrotnie, wiedziała o ich umiejętności zjawiania się tam, gdzie ich najmniej można się było spodziewać.

Co do Sienichy, ta nie zaprzestała udawać czarownicy lub obłąkanej. To jej pozwalało dosłyszeć nieraz to, czego by inaczej nie podpatrzyła i nie usłyszała. Usłyszawszy więc, że Żmudź i Litwa ciągnie od wschodu, w tamtą stronę wszystkie swoje starania skierowała. Sienicha bowiem była Żmudzinką. Dzieckiem jeszcze, podczas wspólnych niejednokrotnych napadów, dostała się aż nad Wisłę. W Bobrownikach wychowana, zżyła się z jej mieszkańcami. Najazdy krzyżackie, ich gwałty i rabunki przywodziły jej na pamięć te, które z lat najrańszych majaczyły w jej pamięci.

„Jednaka nam dola — mówiła nieraz w sobie — choć tutaj są już chrześcijany, a na Żmudzi Krzyżactwo gwoli[14] chrześcijaństwa tak nas nękało".

Teraz ozwała się w niej jakaś tęsknota do rodzinnego kraju, do ludzi, których pragnęła obaczyć i którym postanowiła służyć.

— Wypłaciłam się wiernie w Bobrownikach. Sala da sobie radę. Toć służąc tym, między którymi się urodziłam, służyć będę wszystkim. Boć jednaka nam dola.

Odtąd koło wysłanych wojsk krzyżackich zjawiała się na poły obłąkana żebraczka. Przyprowadzona do dowódcy, wznosiła rękę do góry, wołając wielkim głosem:

— A siłą sprawiedliwych jest Ten, co sprawiedliwość czyni, a z wielkim orężem jest wielkie zwycięstwo!

Przyjmowano tę przepowiednię na swoją korzyść, obdarzano i puszczano ją wolno.

— A weźcież mnie z sobą, pozwólcie, niech nasycę wzrok waszą wielkością! — wołała.

Tym więc sposobem dowiadywała się wielu rzeczy i odtąd siły żmudzkie i litewskie jak najbardziej szczegółowe miały wieści o każdym ruszeniu Krzyżaków.

Ale miał je i Jagiełło. Prawie w każdej wiosce przychodzili do obozu ludzie z prośbą, aby nie odrzucano ich usług.

— I ja, choć bronią robić nie umiem, chcę iść na Krzyżaka! — mówili młodzi.

— Niemało krzywd od nich zniosłem, niemało też krwi ich utoczyłem, a teraz gdym już za słaby do miecza, mogę się przecie na coś przydać! — mówili starzy.

Dowódcy pilnie badali jednych i drugich i co zdatniejszych, sprytniejszych wysyłali na zwiady.

A król kazał sobie o każdej wieści donosić, a gdy było coś ważniejszego, i wywiadowcę przed siebie stawić. Aż oto gdy król zatrzymał się dnia 10 lipca z przybocznym oddziałem około Kurzętnik, nie opodal Drwęcy, przybieżał Wojtek Krzywda, nie mający jak lat piętnaście, wołając:

— Gdy nasi poili konie, Krzyżacy wyskoczyli z zarośli po drugiej stronie rzeki, odczepili ukryte łodzie i nim nasi się spostrzegli i pościągali pławiące się konie, prawie wszystkich, co do nogi wysiekli!

Stawiono go przed króla.

— Wysłać na pomoc pięćdziesięciu najsprawniejszych! — rozkazał tenże, wysłuchawszy opowiadania.

— Nie dogonią! Krzyżacy już są za rzeką — wtrącił Wojtek.

---

[14]*gwoli* (daw.) — z powodu, w celu. [przypis edytorski]

— Za rzeką? — zdziwił się król.

— Tak, zaraz wsiedli na łodzie i plusk, plusk, ani ich oko — mówił zdyszany chłopak.

— Przez straże nasze porozstawiane i nikt ich nigdzie nie widział — rzekł król niedowierzająco.

— Ba, toć tam gęstwa lasu, trudno z dala dopatrzeć! Ale tam dalej, dużo dalej, wzdłuż Drwęcy, rozesłała się moc Krzyżaków. Jak okiem sięgnąć, oni i oni!

— Po drugiej stronie rzeki? — spytał Jagiełło.

— Po drugiej, ale z dala, bardzo z dala — mówił Wojtek, zachęcony łaskawością monarchy. — A prócz rycerzy na koniach jest moc pieszych w blachach i z ogromnie długimi dzidami. A prowadzą takie wielkie skrzynki, a te skrzynki mają takie długie gardziele, a jak podsypią jakiś czarny proszek i podpalą, to z onych gardzieli wylatują wielkie okrągłe kamienie. I dym także, i ogień. A śmierdzi tak, że w gardle drapie i w nosie kręci — dodał chłopak, wstrząsając się cały.

— Jakżeś to wszystko spenetrował? — zdziwił się król, nie dowierzając opowiadaniu.

— Toćem był tam, w zaroślach, Boga mi! Potem buchnąłem do rzeki, ledwom nie utonął, alem dopłynął — dodał chwiejąc się.

Teraz dopiero spostrzeżono, że chłopak był ociekły wodą i tak zmęczony, że ledwo mógł się utrzymać na nogach. Uwierzono więc. Uwierzono tym więcej, że już poprzednio dochodziły wieści, iż Krzyżacy wiodą z sobą jakieś maszyny piekielne, dotąd zgoła nie znane.

— Opatrzyć chłopaka i trzymać pod strażą! — rozkazał król. A zamyśliwszy się chwilkę, wydał znów rozkaz: — Wezwać Jana z Tarnowa!

Ten, nie czekając wezwania, był już przed namiotem królewskim.

— Słyszałeś, mości kasztelanie? — spytał monarcha.

— Słyszałem wieści o ukrytych Krzyżakach po drugiej stronie rzeki.

— Hm — odrzekł król w zamyśleniu. — Zwołać radę! — rzucił stanowczym głosem.

Kasztelan wydał stosowne polecenie. Nie ubiegło i trzech pacierzy, przybył Witold, wielki książę litewski, Ziemowit, książę mazowiecki, i kilku innych.

Jan z Tarnowa, kasztelan krakowski, jako główny doradca, stanął tuż przy monarsze.

— Wieści o Krzyżakach po drugiej stronie rzeki coraz gęstsze — począł król powolnym głosem, jak to miał zwyczaj przy początku obrad. I wejrzenie skierował na Witolda. A ten począł:

— Mistrz Ulryk rozłożył się z główną swoją chorągwią, a tuż są maszyny piekielne, które z wielkich gardzieli wypluwają kule żelazne.

— Skąd wiesz o tym, miłościwy książę? — przerwał król.

— Od tych, których wysyłam na zwiady! — rzucił Witold na poły urażonym głosem.

— Więc to prawda? — spytał król gorąco.

— Umiem prawdę odróżnić od fałszu, a wątpliwych wieści nie śmiałbym jego królewskiej mości donosić.

A kasztelan krakowski, widząc, że się rozmowa zaognia, jak to często między braćmi bywało, ozwał się zaraz:

— Chętliwym wielce uchem najmiłościwszy pan słucha z waszych książęcych ust potwierdzenia, bo przed chwilą przyniósł je chłopak, co wpław rzekę przepłynął.

— Dzielny to jakiś chłopak, można mu wierzyć — przerwał Witold.

— Ku temu zwołałem was, miły bracie, i was, panowie radni, aby postanowić, co dalej czynić — ozwał się król, poglądając po zebranych.

— Nie czekać, aż się zbiorą, jeno uderzyć! — zawołał gorąco Ziemowit.

Król się uśmiechnął na tę gorącość młodego jeszcze księcia, a Witold zaraz tę gorącość poparł:

— Wszelkie układy na nic się nie zdadzą, wyczekiwanie jeno ducha w naszych osłabi.

— Więc niezwłocznie walka! — zawołał Jagiełło.

I czarne niewielkie oczy tak mu zabłysły, jak zwykle, gdy w piersi jego ogień bitwy się rozpalał.

— Niezwłocznie!

— Nie czekając! — zawołali inni z wielką gorącością.

I poczęto się zaraz naradzać, a naradzano się w tajemnicy, z wielką oględnością, żeby jaki szpieg krzyżacki pod namiot się podsunąwszy, narad ich nie podsłuchał.

Głównym naczelnikiem tej rady był Witold. Król zaś, oddając dowództwo oddziałów w ręce Zyndrama z Maszkowic, zwanego Słońcem, że znak ten w herbie swym nosił, Zawiszy Czarnego z Garbowa, Floriana Jelitczyka, Jaxy Lisa, Skarbka z Góry, Staszka Sulimy i wielu innych znanych z męstwa i wielkiej przytomności umysłu rycerzy, sam objął główne dowództwo. Co do Witolda, ten prowadząc Żmudź, Litwę, Ruś i najemnych Tatarów, sam poszczególnych wodzów mianował i sam główne dowództwo miał nad nimi.

Nie chcąc swoich zastępów narażać na pociski Krzyżaków przy przeprawie przez rzekę, cofnięto się zaraz dnia następnego do źródeł Drwęcy, gdzie woda, wysuszona prawie promieniami lipcowego słońca, dawała zastępom naszym łatwe, z dala od czujnego oka nieprzyjaciół, przejście.

I zaraz oto 13 lipca zdobyto Dąbrowno po drugiej stronie Drwęcy.

Kilka tysięcy krzyżackich najemników i rycerzy wzięto do niewoli, a też moc wozów z żywnością i wielką ilość koni prowadzonych luzem przez Krzyżaków.

Wziętych do niewoli Jagiełło wspaniałomyślnie obdarował wolnością, była wszakże moc poległych i rannych, którzy na placu boju zostali.

Wśród krzyżackich szeregów, wierny danej przysiędze, walczył z całym młodzieńczym zapałem Karol niderlandzki. Wkrótce też został ranny.

Sala, zbierając rannych na pobojowisku, kazała go przenieść do przeznaczonej ku temu w pobliskiej wiosce chaty, a widząc go wielce cierpiącego, nie pytała, kto zacz, lecz pilnie się nim zajęła.

ZWYCIĘSTWO

Mistrz Jungingen, dowiedziawszy się o zdobyciu Dąbrowna, zawrzał gniewem.

— Jak on śmiał, ten litewsko-polski poganin, ten lis chrześcijańską skórą powleczony coś podobnego uczynić! — wołał w uniesieniu.

Najwięcej go to bolało, iż był pewien, że Jagiełło, zląkłszy się jego potęgi i prowadzonych maszyn piekielnych, cofnął się ku swojej granicy.

— Byłem pewien, że się ukorzy, że przyśle prosić o pokój, że bez narażania się na straty posiędę nowy szmat ziemi, a ten...

I splunął, nie znajdując dość dosadnego wyrazu na wypowiedzenie swego gniewu.

— Poległ także Karol niderlandzki — rzekł Frydrych von Ulmen, który, jako marszałek, nie odstępował mistrza.

— Co?! — zawołał tenże.

— Tak, obdarowani wolnością jeńcy widzieli go na placu boju — odrzekł marszałek.

— Mogli go zabrać, choćby nieżywego, kiedy ten głupi królik kazał im wracać. — Zaśmiał się ironicznie i rzekł: — Po co się ten śmierdziel rwał do wojny, po co?

W duszy zaś myślał sobie:

„Dobrze, że poległ, prędzej jego ziemię posiądziemy!"

— Zresztą, mniejsza o niego — dodał głośno. — Zapłacisz ty mi, mysi królu, i ty, przewrotny Witoldzie, za wszystkich! Noga z waszych pachołków, co ich nazywacie rycerzami, nie zostanie! Po wiek wieków będą opłakiwać wasze niewiasty poległych i niewolników! Jeno tych dwóch, Jagiełłę i Witolda, muszę mieć w swoich rękach! Tych mi oszczędzać!...

I wydawał rozkazy do niezwłocznego marszu ku Lubawie.

— Nie spodziejesz się, ty przechero, jak ci zmiotę twoje potężne wojsko, a z głowy zedrę koronę! — odgrażał się dalej.

I 14 lipca, pewny zwycięstwa, zjawił się niespodziewanie z olbrzymimi siłami naprzeciw wojsk Jagiełłowych.

— Mieć w pogotowiu kajdany! — wołał Jungingen.

Przywódca

I z nadzwyczajną sprawnością i pośpiechem sam objeżdżał wszystkie główniejsze chorągwie, tak że cudzoziemscy rycerze mówili:

— Ten urodzony na wodza!

— Pod takim łacno zwyciężyć!

— A choćby głowę położyć, też sława — dodawali inni.

Jagiełło inaczej zupełnie przyjął wieść tak o zwycięstwie pod Dąbrównem, jak i o nagłym zjawieniu się wojsk nieprzyjacielskich. Niechętny zrazu do walki, teraz, po pierw-

szym zwycięstwie, rozgorzały niepohamowaną jej żądzą, powstrzymywał jeno przyrodzoną swą ku niej gorącość.

— Nim ją rozpocznę, trzeba podziękować Najwyższemu za zwycięstwo i o dalsze błagać — rzekł i do wysłuchania mszy świętej o świcie 15 lipca się sposobił.

— Uderzyć nie zwlekając! Uderzyć, nim się nieprzyjaciel opatrzy! — wołał Witold.

A król, skinąwszy ręką, rzekł:

— Sposobić się do boju. Nim wszystko będzie gotowe, ja oddam siebie, ziemię tę i naród w opiekę Najwyższego.

Słuchał więc z pobożnością ofiary, a świt poranny promieniami zorzy oświecał purpurą modlącego się króla i jego niezliczone szeregi.

A Zyndram z Maszkowic sprawiał wojska koronne i ustawiał je w szyki. A Witold toż samo czynił z litewskimi i ruskimi. Czyniono to z wielkim pośpiechem, jednak nim wszystko doprowadzono do należytego porządku, słońce już wzbiło się ku górze. Wzbiło się, lecz jakimś zasmuconym, jakby mgłą przysłoniętym okiem na świat poglądało.

A król po wysłuchaniu mszy świętej z nieodstępnym pocztem oddalił się na pagórek między lasami położony i z zadowoleniem poglądał na ustawione w bojowym szyku szeregi. A jednocześnie przez wielką lunetę, otrzymaną w darze od mistrza Jungingena, kiedy to chciał zawrzeć ugodę, poglądał w dal na pola.

Teraz przez ową lunetę dojrzał Jagiełło, że tenże sam mistrz rozłożył się ze swymi wielkimi wojskami między wsią Grunwaldem a Tannenbergiem. Zapałały więc królowi oczy jeszcze większym ogniem, a w piersi zakołatała jeszcze większa żądza natychmiastowego boju. Ale przedtem jeszcze rozdawał rycerskie pasy, co było jakby mianowaniem młodzieniaszków na rycerzy. Pierwszy raz szli oni na nieprzyjaciela, a król zachęcał ich, mówiąc:

— Polecić się Bogu, nacierać śmiało! Bitwa, to najpiękniejsza chwila w życiu wojaka.

I błogosławił ich jako ojciec.

Ale Witold stojąc na uboczu, gotowy do walki, dowiedziawszy się, czym się król zajmuje, szemrał:

— Właśnie też czas na takie zabawy!

I niecierpliwił się coraz więcej. A król począł wdziewać zbroję i sposobić się, aby stanąć na czele. Miał złocistym hełmem okryć głowę, gdy dano mu znać, że dwaj krzyżaccy heroldowie proszą o posłuchanie.

— Niechaj się stawią! — rozkazał Jagiełło.

A przez myśl mu przebiegło:

„Zwycięstwo pod Dąbrównem przekonało ich, że nie dla zabawy przyszliśmy tutaj! Chcą pewnie zgody, ale... ”

Myśl tę przerwało wejście posłów krzyżackich. Prócz mieczów, które mieli przy boku, każdy z nich dźwigał jeszcze miecz wielki, ciężki, z skórzanej pochwy sterczący.

Jagiełło zmierzył ich badawczym wzrokiem, a starszy z przybyłych nie zwlekając począł:

— Najmiłościwszy nasz mistrz, Ulryk von Jungingen, przysyła te oto dwa miecze, jeden dla ciebie, najmiłościwszy monarcho, drugi dla Witolda, wielkiego księcia litewskiego, abyście się mieli czym bronić... Broń

Krew zawrzała w Jagielle na to urągowisko, oczy zabłysły, zdało się, że iskry z nich sypną, powstrzymał się jednak, a obróciwszy się do otaczających go dostojników i porozumiawszy z nimi wzrokiem, spokojnym rzekł głosem:

— Mieczów u nas dostatnio, przyjmujemy wszakże dar z wdzięcznością. Zdadzą się na wasze karki.

Po czym odwrócił się plecami, a posłowie wynieśli się, nic już nie mówiąc. Przyprowadzono ich w milczeniu aż pod sam ich obóz, nie pozwalając rozglądać się wśród ustawionych szeregów, podejrzewając, iż przyszli przepatrzeć nasze siły, co bodaj z tego wszystkiego najpewniejsze.

Jagiełło, zacisnąwszy zęby aż zgrzytnęły, uspokoił się wreszcie i począł dawać rozkazy do bitwy.

Siadł też na cisawego konia, przedniej okazałości i wielkiej cnoty rumaka, i chciał stanąć na czele. Wtedy zaczęto mu przedkładać:

— Najmiłościwszy monarcho, owi dwaj heroldowie krzyżaccy nie po co innego przyszli, jeno żeby przyjrzeć się waszemu obliczu, a potem na was wszelkie swoje siły skierować.

— A bodaj żywcem mistrzowi dostawić — dodawano.

Długo nie chciał król ustąpić i chciał iść osobiście na czele, gdy jednak czas ubiegał, a wojsko z niecierpliwością oczekiwało na znak bitwy, król dał się ubłagać i z oddziałem, w którym był pisarz nadworny, młody Zbyszko z Oleśnicy, i wielu innych, stanął na wzgórzu, skąd wszelkie ruchy i obroty walki mógł widzieć jak na dłoni. I oto zabrzmiała pieśń:

Bogurodzica, Dziewica,
Bogiem sławiona Maryja...

I pieśń tę jedna chorągiew podawała drugiej, a z tysiąca piersi płynął jeden zgodny dźwięk. I zdawało się, że całe przestworze pieśń tę powtarza, a głos jej płynie tam, w górę, ku niebu. A chorągwi tych była moc wielka, a szły jakby nie do boju, lecz na jakąś wielką uroczystość.

Aż oto ozwało się hasło. Trębacze królewscy je głosili. A za nimi powtórzyli trębacze wszystkich chorągwi. I szedł ów głos z lewego skrzydła, którym dowodził Zyndram z Maszkowic, do prawego, gdzie Witold stał na czele swych litewskich i ruskich hufców. A stamtąd zwrócił się odgłos trąb do środkowych chorągwi z Ziemowitem, księciem mazowieckim, na czele. Trębacze powtórzywszy hasło, krótkim, urywanym dźwiękiem je zakończyli. Umilkły dźwięki, echo rozniosło je w najodleglejsze szeregi.

I zrobiła się cisza. Cisza, jaka zwykle bywa przed burzą.

Odwaga

Wtem nagle z obozu nieprzyjacielskiego rozległ się huk tak straszny, jakiego dotąd nikt nie słyszał. I oto przestworze nagle zakryło się dymem, zakrywając słońce, które w czwartej części dnia wyjrzało na świat ciekawie. Dym dziwnie smrodliwy napełnił przestworze i mimo wielkiej odległości doszedł do Jagiełłowego obozu. Był to huk nie znanych dotąd armat, którymi Krzyżacy chcieli przestraszyć naszych wojowników. Lecz, o dziwo, konie miasto[15] z lękiem się cofnąć, leciały naprzód jak szalone. Wojownicy z podniesionym mieczem i okrzykiem: „Bóg z nami", rzucili się bez pamięci na pierwsze szeregi nieprzyjacielskie. Zrobił się szczęk, zgrzyt, szum, łoskot. Zwierz przestraszony krył się w najciaśniejsze nory swego legowiska. Ptaki przelękłe unosiły się w górę lub oszołomione padały na ziemię. Drzewa zdziwione hukiem i łoskotem, dotąd nie znanym, zamilkły wstrzymując szum swych gałęzi.

Zawrzała walka. Walka tak straszna, jak gdyby nie ludzie, lecz obdarzone nadzwyczajną siłą bajeczne olbrzymy ją wiodły. Rycerz z rycerzem się zmagał, pierś o pierś uderzała, szczęk mieczów, huk toporów, świst, łamanie pancerzy, dzid i włóczni mieszały się z okrzykami i wymysłami wzajemnymi, z jękiem rannych, rżeniem i charczeniem koni. Padał jeden zastęp, wyrastał z obu stron drugi jakby spod ziemi.

Król, stojąc na uboczu, wielkim głosem zachęcał do walki, dawał rozkazy.

Witold z podniesionym do góry mieczem, z obnażoną z hełmu głową z nadzwyczajną szybkością przelatywał przed szeregami. Z rozwichrzonym włosem, z pałającymi oczyma, w fioletowoczerwonej szacie kryjącej pod sobą zbroję był jako nadziemskie zjawisko. Żmudzini, którzy oblicza jego nie znali, mówili:

— Perkun[16], sam Perkun stanął do wojny.

I choć niektórzy pierwszy raz stawali na polu walki, choć piersi ich i ramiona miasto[17] zbroi okryte były jeno włochatą skórą zwierza, szli jednak do boju z wielką zaciętością, innym nie ustępując. Lecz natarcie krzyżackie było zbyt umiejętne i gwałtowne. Szerzyli oni wśród nieprzywykłych do boju straszne zniszczenie.

Padł pierwszy szereg. I oto nagle nieszczęśliwych opanował jakiś niebywały lęk.

— Litwa ucieka! — zabrzmiał jakiś głos złowrogi.

— Żmudź pierzchnęła! — powtórzyli inni.

---

[15] *miasto* (tu daw.) — zamiast. [przypis edytorski]
[16] *Perkun* (mit. bałtyjska) — bóg ognia i pioruna, czczony przez daw. Litwinów. [przypis edytorski]
[17] *miasto* (tu daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

Głos ten doszedł Witolda, doszedł wytrawnych wodzów. Witold w zapamiętaniu chciał biec za nimi, zawrócić, od sromu[18] uchronić. Jedno wszakże spojrzenie, jeden rzut oka na pozostałe szeregi opamiętał go wkrótce. Pozostał dając dalsze rozkazy.

A Krzyżacy puścili się za uciekającymi, siekąc, bijąc, zabierając w niewolę.

Opamiętali się uciekający.

— Mamy ginąć, gińmy jako rycerze! — rzucił ktoś z uciekających.

I zwracać się poczęli.

A oto po jednej złej wieści nadchodziła druga. Chorągiew z białym orłem w ręku Krzyżaków. Honor

— Co, chorągiew?! — zawołano głosem rozpaczy.

I jak wicher rzucono się ku jej obronie. Nie! Chorągiew nie dostała się jeszcze w ręce nieprzyjaciół. Wytrącono ją jeno z rąk Marcina Wrocimowskiego, chorążego krakowskiego.

Sam król, ujrzawszy ze wzgórza zniknięcie godła narodowego, zakrył oczy, a jednocześnie całą siłą swych potężnych piersi wołał:

— Bronić! Bronić!

Bronili jej bez tego rozkazu.

Chorąży krakowski, pod którym konia zabito, zdołał ją pochwycić, a dosiadłszy konia, z którego zrzucił Krzyżaka, podniósł ją w górę z okrzykiem radości. Okrzyk ten wszystkie piersi powtórzyły.

— Boże, niechaj ci będą dzięki za uratowanie czci naszej! — zawołał w uniesieniu Jagiełło.

I oto po tej smutnej chwili nadchodzić zaczęła radosna.

Bój wrzał gwałtowny. Zda się, ostatek sił każdy oddawał. Wtem wśród niebywałych tumanów kurzu, wznoszącym się spod kopyt końskich, pojawiać się zaczynały białe płachty w przestworzu. To wicher bitwy unosił strzępy krzyżackich płaszczy. Po takichże szmatach stąpały konie rycerzy, pławiąc się jednocześnie we krwi szeroko rozlanej. Deszcz drobny ochładzać począł powietrze, rozpraszać tumany kurzu, dając swobodniejszy oddech znużonym piersiom. Strój

Zwycięstwo przechylało się na naszą stronę.

Wtem nowy okrzyk zgrozy rozległ się od strony wzgórza, gdzie król z niewielkim oddziałem się znajdował.

Dojrzano Jagiełłę z obozu nieprzyjacielskiego. Znakomity jeden rycerz niemiecki, Dyppold Kekeritz, w otoczeniu kilkunastu ludzi wdarł się na wzgórze i pochyliwszy włócznię, pędził wprost na króla.

Król z podniesioną włócznią czekał na niego spokojnie, ale nim rycerz dotarł, młody pisarz kancelarii królewskiej, Zbyszko z Oleśnicy, odłamem drzewca z włóczni, który trzymał w ręku, ugodził w bok Niemca i zwalił go z konia. Rycerstwo otaczające monarchę rozsiekło śmiałka.

Gdy Jagiełło pojrzał na główne pole walki, już ujrzał inny obraz. Całe pole zasłane trupami krzyżackimi. Zyndram, Witold i wielu innych dowódców dokazuje cudów. Najmłodsi rycerze nie pozwalają się wyprzedzić. Nawet pospolitaki walczą z najwyższą, nie dającą się opisać zaciętością. Nikt na nic nie zważa, dąży jeno do pokonania nieprzyjaciół. Szyk bojowy złamany, bezład, ale walka wre, kipi i wśród onego nieładu zwycięża. Ciała krzyżackie padają jak rażone gromem. To grom wylatujący z dłoni naszych rycerzy. Poległych i rannych polskich rycerzy stosunkowo niewielu.

— Wielki mistrz zabity! — wołają rozpaczliwe głosy krzyżackich zastępów.

I poddają się, nie widząc już dla siebie nic prócz pogromu.

Ziemowit, książę mazowiecki, spojrzawszy na wielkiego mistrza, z pogardliwym politowaniem kazał go podjąć z ziemi. Ale inni dostojnicy tarzają się we krwi własnej, charkocząc śmiercią straszliwie.

— Markward, komandor brandenburski, sromotnie arkanem[19] ściągnięty z konia!

— Zygfryd, dowódca roty, ma odciętą głowę! — wołają w największym lęku niedobitki krzyżackie.

---

[18] *srom* (daw.) — wstyd. [przypis edytorski]

[19] *arkan* — bicz, sznur, używany przez Tatarów do walki; lasso. [przypis edytorski]

I tak dalej, i dalej.

Popłoch wśród Krzyżaków ogólny. Ci, co nie polegli, zabrani do niewoli.

— Klęska! Klęska! — powtarzają zdławionym głosem.

I garstka niedobitków ucieka. Na polu, jak okiem sięgnąć, krzyżackich ciał mnóstwo. W niewoli tysiące.

— Zwycięstwo! — głoszą piersi naszych wojowników.

Wino

A byli i tacy, co znużeni bitwą, dostawszy się do obozu krzyżackiego, poczęli chwytać łupy, chłodząc się winem przywiezionym w mnogich beczkach przez pewnych zwycięstwa Krzyżaków.

— Kto wyciągnie dłoń po łup lub pokosztuje krzyżackiego wina, śmierć temu! — wydał rozkaz Jagiełło wzburzonym głosem. — Roztrzaskać beczki, niech wino wraz z ich krwią użyźni nam ziemię! — rozkazał dalej. I upojony znojnym, lecz szczęśliwie kończącym się dniem, wołał rozpromienionym głosem:

— Zwycięstwo! Zwycięstwo!

A Witold, uznojony walką, w pokrwawionej szacie, w blaskach zachodu wyglądał jak prawdziwy bóg wojny. Nie wołał wprawdzie głosem, lecz każde drgnienie jego twarzy, każdy włos rozwiany, każdy błysk oczu wyrażał: zwycięstwo, zwycięstwo!

I wszyscy dowódcy, każdy wojownik, aż do ciurów obozowych, wołali pełną piersią:

— Zwycięstwo!

Zwycięstwo

Nawet ci, co legli na polu walki, gasnący wzrok podnosili ku niebu, szepcząc:

— Zwycięstwo...

Jeno Sala, jakkolwiek oczy jej świeciły blaskiem rozradowania, nie miała czasu radości tej objawiać. Do chat wieśniaczych znoszono rannych, a ona jak anioł pocieszyciel koiła ich cierpienia.

A słońce, które kilkakrotnie wśród dnia się wahało, czy ukazać swe promienne oblicze, teraz wielkim złotopurpurowym blaskiem oblewało uznojonych walką a upojonych zwycięstwem Jagiełłowych rycerzy. I tymiż samymi blaski przeglądało się w rozlanej krwi, rzucając ostatnie promienie zachodu na zasłane trupami obozowisko Krzyżaków.

ZWYCIĘŻENI I ZWYCIĘZCY

Miłościwy panie, ojcze! — wołał zdławionym głosem Hilt, wpadając do izby Henryka Leuchtera, który, jako obciążony wiekiem, pozostał w Malborku, nie biorąc udziału w wyprawie.

— Czego wrzeszczysz?! — zgromił go komtur, który właśnie oddawał się poobiedniej drzemce.

— Nasi wracają — wykrztusił zdławionym głosem knecht.

— Bić we wszystkie dzwony, głosić zwycięstwo! — porwał się starzec.

— Klęskę... — odrzekł Hilt przyciszonym głosem.

— Jak śmiesz podobne wymawiać słowo! — zawołał komtur, przystępując z podniesioną pięścią do niego.

— Nim jego miłość mnie uderzy, niech sam raczy zobaczyć.

Komtur wybiegł śpiesznym krokiem z komnaty. I oto na wielkim podwórcu uderzył go widok niespodziewany. Kilkunastu krzyżackich wojowników zbiedzonych, okrytych pyłem leżało pod murem.

Nie kazał żadnego wołać, sam podszedł ku leżącym. Podniósł jeden z nich głowę, spojrzał i odwrócił się, jak gdyby wzrok pytający komtura ból mu zadawał.

— Co zacz, co? — nalegał starzec.

I długo powtarzał pytanie, nim jeden z przybyłych powstał i chrapliwym wyrzucił głosem:

— Klęska!

— Co, jak, opowiadaj! — mówił trzęsącym się głosem komtur.

— Wielki mistrz zabity!

Leuchter podniósł ręce do góry i tak oniemiał, że długą chwilę słowa wyrzec nie mógł.

— Niepodobna, niepodobna! — zawołał wreszcie.

— A jednak zabity — powtórzył któryś z przybyłych.

— Mów, mów, jak to było? — nalegał komtur.

— Wielki mistrz do ostatniej chwili nie mógł uwierzyć, że to polskie mrowie tak nam na kark wsiądzie — począł Krzyżak — a gdy na wszystkie strony nas obiegło i nasi padali jak muchy, mistrz stanął na czele szesnastu chorągwi. Błagali go rycerze, aby z życiem uchodził, lecz Ulryk z gniewem wszystkich odsuwał, mówiąc: „Zwyciężę lub zginę!"

Groza przebiegła wszystkich, opowiadający zamilkł na chwilę, wzruszenie nie pozwalało mu mówić. Wreszcie, zaczerpnąwszy powietrza, począł:

— I zginął. Litwini, których część w pierwszej chwili pierzchnęła przed naszym naciskiem, mścili się teraz za chwilową porażkę. Witold nimi dowodził, a wiemy, co to za wojak. Otoczyli ze wszech stron mistrza, wiatr skłębił mu płaszcz nad głową, zdawało się, że go uratuje. Gdzie tam! Jakiś Litwin pchnął go sulicą w szyję, drugi ciął w ramię, inny przeszył piersi... Spadł z konia. Głowa już się wtedy jeno trochę na karku trzymała...

— I to Jungingen, Jungingen — westchnął Leuchter.

— Tak, wielki mistrz Jungingen tarzał się teraz we krwi swoich własnych rycerzy — mówił dalej Krzyżak — a te litewskie psy walczyły dalej, rąbiąc, kłując, wżerając się w krzyżackie ciała jak sępy.

— Znam ja ich — mruknął Hilt, chwytając się za skrzywione kolano, jak gdyby go w tej chwili otrzymana kiedyś od Litwinów rana nagle zabolała.

— Ze śmiercią mistrza wszystko się skończyło. Kto mógł, chronił się, uciekał. Pędzili za nami noc całą, chwytając jak dzikiego zwierza na długie sznury... Ledwie nam się oto z życiem ujść udało — kończył znów jakiś niedobitek.

— A inni, inni? — wołał komtur.

— Tam — wskazał ktoś ręką w stronę Grunwaldu.

— Gadaj wyraźnie, biją się?! — wrzeszczał Leuchter.

— Kto?! — zawołał z urągowiskiem opowiadający i dziko się roześmiał.

A zaraz któryś znów podjął:

— Jedni, posiekani, leżą między Grunwaldem a Tannenbergiem, inni w niewoli, garstka poranionych, wzięta przez tych miłosiernych Polaków do opatrunku, wyje z ran i hańby.

— Niepodobna, niepodobna! — wołał komtur, chwytając się za głowę.

A Hilt, wykrzywiwszy twarz jakimś nieokreślonym wyrazem, przestępował z nogi na nogę i mruczał:

— Wszystko dlatego, że mnie tam nie było.

— Hańba! — dał się słyszeć głos zdławiony.

I każdy ze zgrozą one wyrazy powtarzał. Jeden tylko z przybyłych nie rzekł ni słowa, jeno rozpatrując się bacznym okiem po wszystkim, uparcie milczał. Ale inni, jeden po drugim dźwigali się, wstawali i patrząc błędnym okiem, powtarzali:

— Hańba! Klęska!

I naraz w obszernym podwórcu malborskiego zamku słychać było jeno:

— Klęska! Hańba!

Wyrazy te, wypowiadane grobowym głosem, rozlegały się głuchym echem, przylegały do grubych murów, a echo roznosiło je po innych podwórcach i zaułkach.

I oto nim księżyc zdołał twarz swą pyzatą ukazać, którą poglądał na wychodzące pewne zwycięstwa zastępy Jungingena, w tychże samych podwórcach, przepełnionych głośną wrzawą rycerską i rycerską pieśnią, teraz brzmiały jeno ponure słowa:

— Klęska! Hańba!

A Henryk Leuchter wołał wciąż bezprzytomnie:

— Niepodobna, niepodobna! — Aż opamiętał się wreszcie i rozkazł: — Przeprowadzić przybyłych do komnat w lewym skrzydle, pożywić, niech wypoczną! — I zaraz dodał: — Po wypoczynku inaczej może tę rzecz przedstawią?

A w myśli mówił:

„Ale mistrz Jungingen! Mistrz Jungingen!... Zaraz sobie myślałem, że ta przewrócona ława i strzaskany puchar niedobrze wróżą".

— Czyżby to już być miały jeno zgliszcza Zakonu?! — rzucił zdławionym głosem.

I wolnym, chwiejącym się krokiem powlókł się do swej komnaty, powtarzając ciągle: — Niepodobna, niepodobna!

Jednocześnie w obozie polskim upojeni zwycięstwem rycerze składali przed monarchą zdobyte chorągwie. A była ich taka moc, że wielką przestrzeń wzdłuż i wszerz nimi założyli.

Przyprowadzono też znakomitszych jeńców krzyżackich, a między innymi księcia Kazimierza szczecińskiego, który niedawno przyjaźń Polsce przysięgał. Teraz nie śmiał oczu podnieść na Jagiełłę, odwracał głowę, sromając[20] się, a może i lękając, że za niedotrzymanie przysięgi sroższa go czeka kara. Lecz król spojrzał jeno na niego przenikliwym wzrokiem i rzekł:

— Bóg zawsze sprawiedliwy.

I odwrócił się, by innym jeńcom się przyjrzeć. Przebierał przy tym, według swego zwyczaju, palcami lewej to prawej ręki, jakby chciał onych policzyć. Aleć i palców nie stawało, a coraz innych przed oblicze królewskie stawiano.

Aż oto i poległych znamienitszych Krzyżaków u stóp monarszych składać poczęto.

Więc byli tam między wieloma i Dyppold Kekeritz, ów, co to na życie króla godził; i Henryk komtur, jeden z najdumniejszych i najzaciętszych wrogów Polski; i Markward, komandor brandenburski, z przewróconymi w straszliwy sposób oczyma, ów, co go to ściągnął Tatar z konia arkanem; i wielki skarbnik, Tomasz Mercheim; i Fryderyk Wallenrod, marszałek Zakonu, i wielu, wielu innych, których i zliczyć trudno, a którzy, przybywszy z rozmaitych narodów na wezwanie wielkiego mistrza, miasto[21] sławy i bogactw śmierć znaleźli.

Oto Litwini przywlekli i samego sprawcę tej wielkiej wojny, dumnego Ulryka von Jungingena. Oblany posoką, skąpany w krwi i błocie, z poszarpanym płaszczem, podziurawiony jak sito, z trzymającą się na kawałku skóry, zwisającą głową, leżał teraz gorzej niż niektóry z najostatniejszych knechtów albo i zwierz powalony oszczepem. A Jagiełło, spojrzawszy nań, westchnął i rzekł:

— Ten wielekroć obietnice łamał, dziś rano puszył się jeszcze nadzwyczajną potęgą, a oto sprawiedliwość Najwyższego nad nim zawisła. — I odwróciwszy wzrok od tego wstrętnego widowiska, rozkazał: — Obmyć i odnieść ciało do krzyżackiej stolicy. — I ręką wskazał w stronę Malborka.

Deszcz rzęsisty, który kilkakrotnie siał mgłą podczas bitwy, lunął teraz całym strumieniem. Ochłodził on uznojonych rycerzy i zakończył dzień 15 lipca 1410 roku tak pamiętny w dziejach nie tylko krzyżackich i polskich, lecz bodaj całego świata. I ukoił do snu uznojonych pracą całego dnia rycerzy.

Jeno książę Witold nie mógł zasnąć. Dziwne uczucia nim miotały.

„Mnie to się należy cześć za główne zwycięstwo, a tamtemu ją składają" — myślał. To znów: „Z potęgą Polski wzniesie się potęga Litwy i Żmudzi. Tak, ale ja zawsze będę jeno drugi, nie pierwszy".

I przewracał się z boku na bok na łożu z mchu, pod zdobytym na wielkim mistrzu namiotem.

— Pomściłem się za wszelkie hańby i okrucieństwa. Powinienem się tym nasycić... — starał się uspokoić.

— A jednak... — szeptał mu znów głos jakiś.

Aż i jego sen dobroczynny ukołysał.

I cisza się zrobiła. Słychać było jeno oddech śpiących, a przy zapalonych pod rozłożonymi namiotami pochodniach pisarze królewscy spisywali wypadki dnia, ażeby im nic nie wyszło z pamięci.

A tam, nad pobojowiskiem, krążyła moc żarłocznego ptactwa, aż spadła wielką czarną chmurą, sprawiając sobie wielką ucztę z ciał poległych.

Świt zapowiadał dzień pogodny. Rumiane zorze rozsyłały purpurowe promienie, aż i złotofioletowe słońce wstawać poczęło. Z nim poczęło się budzić życie w całym obozie. Ten i ów przecierał oczy i głośnym ziewnięciem przyprowadzał do porządku uśpione spoczynkiem myśli.

Król najpierwszy był na nogach. Kazał też zaraz gotować się do dziękczynnej ofiary. Z wielką okazałością, na ustawionych wojennych bębnach i zdobytym na Krzyżakach

[20] *sromać się* (daw.) — wstydzić się. [przypis edytorski]
[21] *miasto* (tu daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

rynsztunku, zbudowano ołtarz. Chorągwie zdobyte nad nim powiewały. Arcybiskup Mikołaj Trąba odprawiał mszę świętą. Cały obóz z królem, księciem Witoldem i przedniejszymi wodzami na czele słuchał jej w wielkim skupieniu. Na zakończenie arcybiskup zaintonował *Święty Boże*.

— *Święty mocny, święty a nieśmiertelny* — powtórzyli za nim niżej będący. Aż wreszcie ze wszystkich piersi buchnęło: — *Zmiłuj się nad nami*!

I echo pieśń tę rozniosło po polach i gajach, podzwaniając ją w najodleglejsze strony.

Po rannym posiłku, który się wiernie należał wygłodzonym wczorajszego dnia żołądkom, król zawołał:

— Godzi się wszystkie ciała, tak nasze, jako i nieprzyjacielskie, uczciwie pogrześć[22]!

— Boga mi, godzi! — ozwali się wszyscy panowie radni.

I oto na cmentarzu w Tannenbergu poczęto kopać wielkie mogiły.

W pracy tej ciurom i sługom obozowym dopomagał lud okoliczny, nasłuchując, czy dłoń zwycięzców nie będzie tak groźna, jak krzyżacka. Uspokajano ich, mówiąc:

— Pod rządami króla Władysława Jagiełły nikt ucisku nie doznaje.

Niezwłocznie też król do Krakowa, do królowej Anny Cylejskiej, co to była wnuczką Kazimierza Wielkiego, jako też do państw sąsiednich wysłał gońców z oznajmieniem o odniesionym zwycięstwie.

Uczta, Jedzenie

Pod wieczór, na zbitych ze ściętych drzew stołach, zastawiono ucztę. Ucztę, która się zwycięzcom słusznie należała. Nie miano kłopotu z gromadzeniem chleba, mięsa i rozmaitych przysmaków. Dostarczyły ich wozy, przez Krzyżaków przyprowadzone.

Prowadziłyć z sobą i wojska Jagiełłowe, i zastępy Witolda zapasy żywności i na czas wojny byłoby ich wystarczyło, ale o takich przysmakach, jakie poległy wielki mistrz kazał prowadzić, nikomu się nawet nie śniło. Ba, toć i przybywający do Malborka ze wszystkich stron zachodniej i południowej Europy rycerze wieźli też z sobą specjały używane wyłącznie w ich krajach.

Nie brakło więc ani olbrzymich ryb solonych i wędzonych, ani też malusieńkich, w oliwie pływających, których maleńkości wydziwić się nasi rycerze nie mogli. Nie brakło i wielkich udźców ze zwierza, w ogóle nad Wisłą nieznanego, ani też owoców w wielkich beczkach ugniecionych, a tak słodkich, iż niejednemu aż ta słodycz niemiła się wydawała. A chociaż wiele beczek wina w krew wylano, ostałoć jeszcze kilkanaście z dala za obozem trzymanych, a najprzedniejszego, snadź dla samego wielkiego mistrza i czoła gości przeznaczonego. A na ucztę tę zaprosił zabranych do niewoli: Kazimierza, księcia szczecińskiego, i Konrada Białego, księcia na Oleśnicy.

Ci, jako przyuczeni do zbytku w jadle i napojach w Malborku, niczemu się zgoła nie dziwowali wiedząc, jak się wziąć do podawanych potraw. Nasi rycerze tymczasem nie tylko z podziwem i nieufnością na niektóre dania poglądali, lecz nie wiedzieli nawet, jak się do jadła zabrać. Jeno z małmazją każdy wiedział, jak sobie poczynać. A podczas uczty Jagiełło rzekł:

— Jakośmy z Kazimierzem, księciem na Szczecinie, a toż z Konradem, księciem na Oleśnicy, chleb połamali i puchar wychylili, nie godzi się ich jako niewolników zatrzymywać.

Spojrzano po sobie, wielu z panów radnych niechętnie tej przemowy słuchało, a Witold zwrócił nawet groźne, ponure wejrzenie w stronę monarchy. Lecz Jagiełło, raz co postanowiwszy, nie ustępował, nie ustąpił więc i teraz, a dodał:

— Książę Kazimierzu na Szczecinie i Konradzie na Oleśnicy, wolni jesteście!

Wtedy Kazimierz podniósł napełniony puchar i zawołał:

— Szlachetność Władysława Jagiełły, króla polskiego, niechaj po wiek wieków słynie!

I wychyliwszy puchar, ostatnią kroplę wysączył na paznokieć dużego palca, spił ją, pucharem zaś uderzył się trzykrotnie w głowę i rzucił go na ziemię. A książę Biały, toż samo uczyniwszy, nie wyrzekł i słowa, jeno westchnął z całej piersi.

Witold zaś szepnął w sobie:

„Dobrze, że nie dodał ten przechera:

»I wielki książę litewski«, byłbym mu wielkiego księcia mieczem w gardło wpakował".

[22]*pogrześć* (daw.) — pogrzebać. [przypis edytorski]

A Jagiełło, chcąc ułagodzić ponure wejrzenie stryjecznego[23], rzekł:

— Bracie, tobie się cały hołd za zwycięstwo należy, w twoje więc ręce piję za zdrowie wszystkich dzielnych, niestrudzonych rycerzy.

I dotknąwszy ustami nalanego pucharu, co oznaczało cześć, oddał go własnoręcznie Witoldowi.

Udobruchało to nieco nachmurzone oblicze księcia i uczta zwycięzców żadnym zatargiem zakłócona nie została.

— Spisać wszystkich znakomitszych jeńców! — rozkazał monarcha.

— Już uczynione! — ozwał się młodziutki pisarz nadworny, Zbyszko z Oleśnicy.

I zbliżywszy się z należytym ukłonem, podał królowi pergamin.

— Przeczytaj! — rozkazał Jagiełło.

Długi to był szereg, długa też upłynęła chwila nim wszystkich Zbyszko wyczytał.

Nie dłużyło się wszakże nikomu czytanie. Owszem, wodzowie z wielką lubością słuchali wymienianych nazwisk najznakomitszych wszelkich krajów rycerzy. Pochlebiało im to, że za ich przyczyną tyle jest zacnego niewolnika.

— Wziąć od nich rycerskie słowo, że na święty Marcin powrócą, niech jadą dla załatwienia spraw swoich! — rozkazał król.

I to nie bardzo było po myśli panów radnych, nie oponowali jednak, choć niejeden pomyślał:

„Rozporządza się, jak gdyby sam wszystkich do niewoli zabierał".

— Prócz tych, co nie są zbytnio pocięci i sami się poddawali — mówił dalej Zbyszko — jest jeszcze wielu znakomitych tak szpetnie pociętych, że ruszyć się nie mogą.

— Ci są pod opieką służby opatrunkowej, nad którą ma pieczę Sala z Bobrownik — ozwał się z pewną chlubą Jan z Tarnowa.

Król uśmiechnął się i rzekł:

— Dzięki ci, kasztelanie, żeś o tym pomyślał.

Jednocześnie przy dalszych stołach posilał się cały zastęp dzielnych wojowników, wynagradzając sobie post i trudy dnia wczorajszego.

A na wszystkich czołach było rozradowanie, a na wszystkich obliczach pooranych trudami walki, począwszy od dowódców, rycerzy, wojaków, a skończywszy na ciurach obozowych, jaśniał uśmiech zadowolenia i wielkie słowo: zwycięstwo.

— Zwycięstwo! — powtarzali nawet ci, co szpetnie posiekani, leżąc na wozach lub w chatach wieśniaczych, nie wiedzieli, czy drugiego świtu będzie im dożyć sądzone.

TO CI BESTIA

Ranni jeńcy pod opieką licznej wykwalifikowanej służby zdrowia, nad którą miała pieczę Sala i jej dwie służebne, rozmieszczeni na wozach i po chatach wieśniaczych, nie mogli się skarżyć na brak właściwych starań. Gdy jednak doszła do nich wieść o poniesionej klęsce, byli tacy, co kryli twarz, przysłaniali uszy, nie chcąc słyszeć radosnych szeptów swych towarzyszy-zwycięzców, a byli i tacy, co usiłowali zerwać opatrunek, aby nie stanąć twarzą w twarz z hańbą, jaka wojska krzyżackie spotkała.

Jeno Karol von Leuwarden, książę Fryzlandii, leżąc bezprzytomnie, uśmiechał się do jakichś wizji, które mu się snadź w gorączce przedstawiały. U wezgłowia siedział wierny Bonifacjusz, który własnymi rękami uniósł z pola bitwy swego ukochanego wychowańca, oddając się wraz z nim w niewolę.

Sala, dzieląc starania między wszystkich, często zatrzymywała się nad młodziutkim księciem, przynosząc mu jakiś napój chłodzący lub badając, czy głowa jego szpetnie posiekana nie potrzebuje nowego opatrunku. Bonifacjusz, patrząc na nią z wdzięcznością, mówił sobie:

— Zaliż w Polsce miasto[24] dziewek anioły mieszkają?

Sala zaś, spełniając swe obowiązki, biegła myślą do brata, do ukochanego Kuby. Szukała go między jeńcami wziętymi do niewoli i rannymi na polu walki, nigdzie go ani oko.

---

[23] *stryjeczny* — brat stryjeczny, kuzyn. [przypis edytorski]

[24] *miasto* (tu daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

„Może go nie wołali na wojnę? Może zginął? O knechta nikt się nie troszczy" — myślała.

I do Sienichy myśl jej również często się zwracała.

— Co się z nią dzieje? Gdzie się obraca? — Lecz na te pytania wicher nawet nie odpowiadał.

I Sienicha toż samo pytanie sobie powtarzała.

Dziwić by się bodaj należało, jak jej sił starczyło. Kręcąc się wciąż koło obozów krzyżackich, miała jednak czas donosić o każdym ich obrocie dowódcom żmudzkim i litewskim.

Gdy ludzie podczas walk padali jako drzewa leśne podcięte siekierą, starała się im przyjść z pomocą, wlokąc nieraz rannych o kilka staj[25], do pierwszej lepszej chaty, gdzie lud okoliczny, jakkolwiek słuchający z lękiem odgłosów walki, chętnie rannym dawał schronienie.

Najwięcej jednak przebywała między krzyżackim taborem. — Długie nieraz wiodła z knechtami rozmowy w niemieckim języku, którego wyuczyła się podczas pobytu w malborskim zamku. Omijała jeno skrzętnie znanego nam Jakuba, wstręt mu okazując. Jeżeli zaś przystąpiła do niego, to zawżdy z podniesioną pięścią i groźnymi wyrazy. Lecz między te groźby umiała zawsze wpleść przyciszone jakieś słowo, które jeno ona i Jakub rozumieli.

Inni patrząc na te zatargi między Jakubem a Hexą[26], jak ją nazywano, śmieli się, mówiąc:

— Jakub nie ma łask u Hexy, bodaj czy go w dziewkę albo i co gorszego nie zmieni.

Gdy klęska była już widoczna, a rozbite szeregi i wielu z taboru rzuciło się do ucieczki, zbliżyła się do Jakuba, a poczęstowawszy go kułakiem, szepnęła jakieś słowo, na co wyszczerzeniem białych zębów i podniesioną pięścią odpowiedział. W onej chwili mogli sobie nie zadawać nawet trudu udawania, każdy bowiem był tak zajęty ocaleniem własnej skóry, że nikt na to, co go otaczało, nie zważał. To pewna, że Jakub w ucieczce swej wszelkich używał sposobów, żeby nie być schwytanym. Aż oto dostał się za mury malborskiego zamku.

Słowa dobadać się z niego nie można było, lecz temu nikt się nie dziwił, boć wszyscy byli zgnębieni i mimo wypoczynku jedno mieli tylko słowo: hańba, klęska!

Ale i tego młody knecht nie powtarzał.

A stary komtur, snując się po komnatach i podwórcach zamkowych, wciąż powtarzał:

— Tak, to są jeno zgliszcza Zakonu. — A potem na pociechę wołał: — Niepodobna! Niepodobna!

Coraz to jakiś zgłodzony, błąkający się rozbitek krzyżacki przynosił wieści coraz groźniejsze. Więc jeden doniósł:

— Polacy zajęli Morąg w pruskiej marchii. A też i Dzierzgów!

A inni wołali:

— Miasto Elbląg wysłało z hołdem do Jagiełły, oddając mu się ze wszystkimi bogactwami w opiekę!

— A także Toruń, Kwidzyń, Królewiec, a nawet pobliski nam Gdańsk!

Że zaś wieści te przynosili rycerze, nierzadko i dowódca świadomy rzeczy, można im było wierzyć. Rozpacz i przygnębienie osiadało w malborskim zamku jako ona mgła gęsta jesienna, poza którą żadna gwiazda błyskiem swoim ciemności rozjaśnić nie mogła. Aż oto w dziesięć dni po klęsce pod Grunwaldem doniesiono:

— Jagiełło z nieprzeliczonym wojskiem, a też i Witold na czele Litwinów i pogańskich Żmudzinów, zbliża się pod zamek!

Wtedy już nie tylko stary komtur, lecz ile tylko było piersi, z wielkim jękiem powtórzyło:

— Teraz już tylko zgliszcza Zakonu!

Aż naraz z wieżycy czatownik zatrąbił radośniejszym głosem. Jednocześnie do bramy zakołatano gwałtownie.

— Polacy pod bramą! — ozwał się jakiś głos przelękły.

---

[25] *staja*, *staje* a. *stajanie* — daw. miara długości, w różnych okresach i okolicach licząca od 100 do 1000 m. [przypis edytorski]

[26] *Hexe* (niem.) — czarownica. [przypis autorski]

— Witold w mury taranem uderza! — powtórzył ktoś naznaczony litewską sulicą[27].

I padł strach na wszystkich. Jedni kryli się po zaułkach i lochach zamku, inni doradzali:

— Poddać się!

— Poddać się, uratować życie!

— I tak są to już tylko zgliszcza Zakonu — mówił Leuchter, były komtur Kwidzynia, kręcąc się bezładnie.

— Przecie radośnie zatrąbiono z czatowni — ozwał się Hilt.

Spojrzano ze zdziwieniem na knechta, chwytając się słów tych jak zbawienia. Wtem brama się rozwarła i Henryk von Plauen, komtur ze Świecia, wkroczył z oddziałem kilkuset zbrojnych, zebranych ze swej komandorii.

— Klęska!

— Hańba!

— Jeno zgliszcza wielkiego Zakonu! — rozpaczliwie wołano sądząc, że i on ze swoim oddziałem uchodzi jako rozbitek.

— Cicho! — wrzasnął Plauen potężnym głosem. — Cicho! Jak kto powtórzy te słowa, śmierć! — wrzasnął jeszcze groźniej.

Nagle zrobiła się cisza. Jednym oczy zabłysły, inni machnęli ręką, inni byli tak przygnębieni, że nie odczuwali nawet najmniejszej nadziei, bo po tym, co widzieli, czego doznali, nie wyobrażali sobie, żeby mogła się jaka znaleźć. Jeden tylko knecht, ów milczący i ponury, z wielkim zdziwieniem zwrócił wzrok w stronę przybyłego komtura i cały w słuch się zamienił, chwytając też każdy ruch, każde słowo Plauena. A ten zsiadłszy z konia, rozkazywał głosem dowódcy:

— Ilu was jest, pod broń!

Spojrzano zdziwionymi oczyma. Nikt się nie ruszył.

— Opatrywać broń, szykować się do obrony zamku! — rozkazywał.

— Anton Ludwigsburg! — wrzasnął.

Ten zbliżył się leniwym krokiem.

— Weźmiesz, bracie, wielebny komturze, ludzi, pójdziesz do okolicznych wiosek nie zajętych jeszcze przez nieprzyjaciela, zbierzesz, ile się da wołów, baranów, świń i rozmaitej żywiny, a też krup, zboża, mąki.

Słuchano tych rozkazów z niedowierzaniem i zdziwieniem.

— W tej chwili ruszać! — rozkazał. — Wszystko pakować na wozy, prowadzić za mury! — dokończył.

— Ale skąd wozów? — spytał nieśmiało Anton.

— Mało ich we wsiach okolicznych?! — wrzasnął zniecierpliwionym głosem Plauen.

I rozglądał się, jakby kogoś szukając. Wzrok jego padł na Hilta.

— Ty, kulasie, jak ci tam?!

— Hilt, starszy knecht z dziesiątego podwórca, do usług jego miłości.

— Weźmiesz, ilu jest knechtów, zwołasz pospolitaków i robotników z miasta, pogłębicie fosy i zrobicie jak najwyższe koło murów nasypy!

— Będzie spełnione według rozkazu waszej miłości — odrzekł Hilt, uważając się za wielce ważną w tej chwili osobę.

— Nasypy muszą być skończone do świtu! — rozkazał Plauen. I znów spojrzał po patrzących na niego ze zdziwieniem. — A, Michel z Gołuba! Właśnie mi cię, bracie, potrzeba! — zawołał na jednego z Krzyżaków, który zdołał schronić się przed pogonią. — Pójdziesz do miasta, zbierzesz co silniejszych, umiejących robić bronią mieszczan i sprowadzisz ich do zamku.

W zgnębionego Michela wstąpiła jakaś otucha, rozglądał się za ludźmi, których miał wziąć do pomocy.

A Plauen rzekł jakby do siebie:

— I z tych opasłych mieszczuchów zrobię obrońców zamku, niech jeno ich dostanę.

Po niejakiej chwili Anton Ludwigsburg z trzema innymi wychodził za bramę.

Hilt na czele kilkunastu z łopatami i szpadlami w ręku zabierał się do odejścia.

---

[27] *sulica* (daw.) — włócznia. [przypis edytorski]

— Jakub! — krzyknął Hilt głosem dowódcy do wsłuchującego się w dalsze rozkazy Plauena. — Nie słyszałeś, co nowy mistrz rozkazał?

— Nowy mistrz? — spytał tenże zdziwiony.

— Przemówiłeś nareszcie! — roześmiał się Hilt. — Ale cóż się dziwisz? Tamtego uśmiercili Litwini czy Polacy, toć Zakon nie obejdzie się bez następcy — mówił głosem świadomego wszelkich spraw Zakonu. — Nie obejdzie się też bez Hilta, oho! — dodał z wielką chełpliwością, kuśtykając na skrzywionej nodze.

W tej chwili trębacz ogłosił nowo przybywających. Trąba ozwała się miarowo, poważnie, z odcieniem radości, jak zwykle, gdy witano gości.

Plauen zatarł ręce. To jeden z uformowanych przez niego po wszystkich komandoriach oddział ciągnął do zamku.

Hilt wstrzymał się ze swoimi, jakby chciał wzrok nasycić widokiem przybywających.

Przypatrywał się im i Jakub. Przypatrywał nader ciekawie, oglądając nie tylko ludzi, lecz ich uzbrojenie i rumaki. Zdołał też uchwycić, że z Prus, gdzie wojna nie dosięgła, nadciągnie jeszcze wielu rycerzy na obronę Malborka. Po chwili, wielce zamyślony, udał się za Hiltem, który z miną dowódcy zebranych ludzi boczną furtą wyprowadził za mury.

Hilt przyśpieszał robotę i jak było nakazane, wschód słońca oświecił świeżo narzucone nasypy i pogłębione fosy. Nie mieli nawet zbyt wiele do czynienia, bo zamek, oblany z jednej strony odnogą Wisły, z dawna był doskonale obwarowany i tylko niektóre nasypy trzeba było poprawić. Wracał więc Hilt ze swoimi z triumfującą miną, ale gdy się rozejrzał, młodego knechta nigdzie nie było. Brakowało też pary szczudeł do poglądania z ich wysokości na okolicę.

— Gdzie się ten psia noga podział? — pytał robotników.

Ale nikt go przy nasypach nie widział.

— Urwipołć, nicpoń, pasibrzuch, dawniej do roboty był jedyny, teraz, jak powąchał wojny i Polacy przyłożyli mu parą płazów na skórę, zmyka od wszystkiego i kuli się jak pies, gdy go wodą obleją! — krzyczał rozgniewany kulas. — Ale ja mu dam, pozna, co to Hilt znaczy — zakończył.

Nie mógł wszakże pogróżki swej spełnić, bo Jakuba nigdzie nie było. Zresztą, nikt nie miał czasu troszczyć się o niego. We wszystkich podwórcach zamku kipiało gorączkowym przygotowaniem do odparcia spodziewanego oblężenia przez wojska Jagiełłowe.

I słusznie mogli się tego spodziewać. Jagiełło bowiem po uczcie zebrał radę wojenną, złożoną z najżyczliwszych i najwaleczniejszych rycerzy. Byli więc: Zyndram z Maszkowic; Ziemko i Kazimierz, książęta mazowieccy; wytrawny doradca, Jaśko z Tarnowa, kasztelan krakowski; Skarbek Habdank z Góry; Mikołaj Nałęcz; a przed wszystkimi Witold, książę litewski.

Otoczyli oni ciasnym kołem króla i przyciszonym głosem, miarkując wewnętrzne podniecenie, radzili:

— Zaliż skończymy walkę na tym szczęśliwym zwycięstwie? — zapytał monarcha.

— Nie, nie!

— Boga mi, nie! — odpowiedziano jednogłośnie z zapałem.

— Gdybyśmy wilkowi ostawili główne jego legowisko, łacno by się w nim rozrodził — rzekł poważnie Witold.

— Na Malbork! Na Malbork! — wyrzucono ze wszystkich piersi.

Król z zadowoleniem pogłaskał skąpy zarost i rzekł:

— Z rozkoszą słyszę wasz zapał, mili panowie. Słowa wasze są jeno powtórzeniem tego, co w moim sercu kołacze.

I po jednodniowym wypoczynku wyruszono ku krzyżackiej stolicy.

Odniesione po drodze zwycięstwa, posłowie od poddających się miast jeszcze większy budzili zapał. Niepokoiło jednak Jagiełłę, że nie wiedział, jakie są siły w Malborku.

Aż oto nie opodal zajętego co tylko Dzierzgowa, o trzy dni jeszcze od Malborka, przyprowadzono do obozu młodego chłopca w ubraniu żebraczym. Wspierał się na kulach, twarz miał wykrzywioną, a całą postać skuloną.

— Ważne przynoszę wieści — rzekł do tych, którzy go przytrzymali.

— Krzyżacy cię może na zwiady przysłali! — wrzasnął ktoś z zapalczywszych.

Był nawet ktoś, co go widział wśród uciekających Krzyżaków.

— Na gałąź z nim! — zawołano.

— Dobrze, pójdę i na gałąź, pierwej jednak stawcie mnie choćby przed samym monarchą.

To mówiąc rzucił kule, wyprostował się, stanął na obu nogach, wykrzywioną szpetnie twarz doprowadził do porządku, a oczy zapałały mu jak u młodego żbika. Śmiałość i nagłe przeobrażenie się w dorodnego młodzieńca stropiły wszystkich. Nagle ozwał się głos:

— Ho, ho, ho!

I wysoka postać Sienichy, podpierającej się długim kosturem, ukazała się tuż przy gromadce otaczającej przybyłego.

— Ho, ho, ho! — wołała coraz donośniej.

A zbliżywszy się, rzekła: — Byłam w chacie przy rannych, gdy mi się mignął jakiś pokraka. Chciałabym zbadać, co zacz.

Rozstąpili się wszyscy, boć znali ją dobrze i w wielkim mieli poszanowaniu.

— To ty, byłam pewna, że nie kto inny! — zawołała spojrzawszy na młodzieńca. — Setnego z siebie zrobiłeś dziwotwora — mówiła wesoło. — Dobrze, dobrze, ale cóż przynosisz?

— Leciałem dzień i noc, a tu chcieli mnie wziąć na gałąź. Niech ta, ale pierw muszę wypowiedzieć to, z czym przyszedłem, choćby samemu królowi. — To mówiąc, schylił się do nóg Sienichy. Ta z lubością położyła dłoń na jego głowie, a potem rzekła:

— Prowadźcie go, prowadźcie! A potem pożywcie. To nasz, nasz!

Położywszy raz jeszcze dłoń na jego ramieniu, ruszyła z powrotem.

Teraz zupełnie inaczej spojrzano na przybyłego. Niebawem stawiono go przed królem.

— Co rzekniesz? — spytał monarcha.

— Plauen, komtur ze Świecia, przybył trzy dni temu do Malborka, z nim liczny oddział rycerzy. Wkrótce nadciągnęło więcej, będzie ich ze trzy tysiące. Kazał jeszcze i z miasta ludzi do zamku zwołać, i żywności jak najwięcej sprowadzić, i szańce poprawiać, a ja od tych szańców uciekłem, żeby wam, najmiłościwszy królu, o wszystkim donieść — mówił jednym tchem były knecht krzyżacki.

— Hm, hm — powtarzał Jagiełło, słuchając tej opowieści. — A coś ty za jeden? — zapytał nagle.

— Jakub Bobrownicki, brat Sali, porwany ongi przez Krzyżaków, w ich zamku wychowany, a przez Sienichę od zagłady uchroniony — mówił chłopak tak śmiało, jakby do równego sobie.

— Niezbadane wyroki boskie! — rzucił król, który od kasztelana krakowskiego słyszał o Sali, a i o uprowadzeniu jej brata jakoś sobie przypomniał. — Powtórzysz to wszystko raz jeszcze — rzekł monarcha.

I wydał rozkaz, żeby się niezwłocznie przyboczna rada zebrała.

Jakub schylił się do nóg królewskich, a stanąwszy na uboczu, widział przybywających na naradę rycerzy. Gdy ujrzał Witolda, oczy mu zaświeciły i o mało nie wyskoczył ku niemu, tak mu wielka radość w piersiach się rozparła. Widział go bowiem podczas bitwy i wielkie umiłowanie ku niemu powziął.

Na rozkaz królewski powtórzył wszystko, co już poprzednio mówił.

Król dał rozkaz, żeby Jakubem się zajęto, a panowie poczęli się naradzać.

— Zamek to wielce mocny — mówili niektórzy.

— Trudno mu będzie poradzić, ile że żywności nagromadzili — dodawali inni.

— A jednak go zdobędziemy! — zawołał król.

— Tak, musimy zdobyć! — powtórzył Witold.

Obu oczy zabłysły.

— Trzeba jeno pośpieszać, by zbytnio w siłę nie urośli — dodał Jan z Tarnowa.

A inni widząc, że król i Witold nie tracą otuchy, nabrali jakoś serca.

— Przed północą wyruszymy! — rozkazał Jagiełło.

A że słońce już dogasało, każdy szedł do swoich chorągwi, ażeby dawać rozkazy i do marszu się sposobić.

Niebo wyiskrzone gwiazdami i jasny księżyc przyświecały przygotowaniom.

Mimo to nie wszyscy mieli ochotę na dalszą wyprawę.

— Trudna to będzie z nimi sprawa — szepnął ktoś, komu już wojaczka dojadła i rad by był choćby przed siewami do domu wrócić.

— Co za trudna! — huknął Zyndram z Maszkowic. — Mamy przecie maszyny piekielne, na Krzyżakach zdobyte! — dodał.

— Mamyć, ale kto tam wie, jak z nimi począć? — ozwał się jakiś głos wątpiący.

— Ja! — dało się słyszeć z ubocza.

I Jakub wysunął się z ukrycia.

— Ktoś ty?! — poczęto gniewnie pytać.

Lecz Zyndram pojrzawszy poznał w nim tego, co przed chwilą w obliczu samego monarchy śmiało zdawał sprawę o siłach malborskiego zamku, zwrócił więc wzrok badawczy ku niemu i zapytał:

— Potrafisz?

— O, wa! Niepróżnom przecie jadł chleb krzyżacki! — zaśmiał się były knecht.

— A nie zdradzisz? — ozwał sią głos jakiś.

— Co, ja?! Bobrownicki, syn tego, którego Krzyżacy usiekli! — zawołał chłopak z oburzeniem.

I poprowadzony do owych piekielnych maszyn, z wielkim sprytem, a też i ostrożnością, pokazywał, jak się brać do nich.

Rozochoceni śmiałością wojacy przyswajali sobie jego objaśnienia, a przyswajając mówili:

— To ci bestia!

GOŁĘBICE

Wojsko Jagiełłowe raźno się posuwało. Wątpiący nabrali otuchy albo też nie odzywali się z chęcią powrotu, wlokąc się za innymi. Wieczory, części nocy i ranki widziały ich w pochodzie, południe — na wypoczynku.

Aż kiedy już byli o jedną tylko dobę od siedziby krzyżackiej, wśród ciemnej nocy ujrzeli wielkie krwawe smugi na niebie.

— To znaki krwawe, by dalej nie chodzić — rzekł ktoś z szeregów Witolda.

A tenże, jakby przeczuwając, że owe znaki mogą przestraszyć zabobonnych, objeżdżał wszystkie szeregi, mówiąc:

— Albo łuna pożaru, przez Krzyżaków dla strachu wzniecona, albo znaki, że krwią zalejemy ich zamek.

A w obozie polskim Jędrzej Półkozic mówił:

— Czasu wojny nieraz już były takie ostrzegające przepowiednie.

Lecz jeszcze nie dokończył onych przepowiedni, gdy całe niebo okryło się wielką czerwoną łuną. Czasami na tej czerwieni ukazywały sią jakieś złotawofioletowe płomienie i zlewając się z czerwienią, obejmowały coraz większy krąg nieba.

— Krzyżacy nas się zlękli i zamek swój podpalili! — zawołał tenże Jędrzej Półkozic z taką pewnością, jakby wprost z Malborka otrzymał wieści.

Słowa jego poszły między szeregi jak wicher. I jak poprzednio zwątpieniem, tak teraz wielką radością wszystkich przejęły.

— Zlękli się naszych toporów!

— Dobra nasza!

— Zajrzymy im w oczy!

— Obaczymy, kto mocniejszy! — powtarzano butnie.

A łuna coraz większe obejmowała kręgi i zdawało się, że całe niebo krwią płynęło.

Witold nie cieszył się z tej łuny, mówiąc:

— Jeżeli mury wedle zamku podpalili, nie będziemy mieli co do roboty. Za łaską bożą dostałoby się nam ich gniazdo bez wielkiego rozlewu.

W miarę jednak jak się zbliżali, nie mogli wymiarkować, skąd ten pożar. Szedł ci on bowiem nie z góry, gdzie stał zamek, lecz jakoby z ubocza.

Dopiero gdy się zbliżyli, poznali całą przebiegłość i nie przewidziane plany krzyżackie.

To Plauen, usunąwszy mieszkańców, kazał miasto podpalić, by tym sposobem utrudnić pochód nieprzyjaciela. Że zaś wicher zerwał się od północy, żar idącym od południa zasypywał drogę, nie dając wolnego dostępu. I oto wojska Jagiełłowe, tak pełne przed chwilą otuchy, teraz musiały się wstrzymać. Konie się strachały, a ludzie dusili się od

dymu. Trzeba było dobę całą przeczekać, a potem naddawać drogi, by od drugiej strony dostać się pod zamek.

Była to nie tylko mitręga, ale i trudność wielka, bo zamek właśnie od strony południowo-wschodniej najlepiej był obwarowany.

Stąd dopiero o zachodzie słońca, 25 lipca, wojska Jagiełłowe stanęły pod malborskim zamkiem, zostawiając piekielne maszyny po drugiej stronie Wisły, ale skierowane tak, że ich wielkie gardziele patrzyły na mury zamku.

Tutaj stał pilnie Jakub, dawny knecht krzyżacki, i z młodzieńczym zapałem, a doświadczeniem męża, dawał wskazówki co do obchodzenia się z onymi piekielnymi maszynami. Starsi i doświadczeni nie sromali się uczyć od niego, mówiąc:

— Jak Najwyższy zrządzi, i w niewoli u najsroższego wroga można się coś pożytecznego nauczyć.

A inni dodawali:

— Byle jeno udało się ten pożytek do swoich przynieść.

Jednocześnie też gdy mniejsze maszyny oblężnicze jak kusze poczęły bić w mury taranami, a z podprowadzonych oblężniczych wieżyc rzucano pociski, z drugiej strony, zza Wisły, niegdyś krzyżackie armaty plwały[28] ogniem i wielkimi kulami ze swych potężnych gardzieli. Kule te, uderzając o grube mury, wprawdzie nie robiły wyłomów, ale rozpryskując się wydawały smrodliwy odór i rozrzucały grad maleńkich żelaznych siekańców, tak że ci, co byli na murach, porażeni nimi, spadali w głąb obszernych podwórców malborskiego zamku, utrudniając swymi ciałami przystęp następnym szeregom.

Od strony spalonego miasta po niejakim czasie również zdołano się przedrzeć. Tlejące jeszcze zgliszcza posłużyły oblegającym jako pociski.

Kazimierz, książę mazowiecki, spojrzawszy na rozwalone, ziejące dymem, nie dopalone szczątki, zawołał:

— Brać w kusze gorące jeszcze cegły, popiół i walić nimi na tych, co tam, na murach!

Rozkaz ten podobał się wielu. Zasypywano więc oblężonych ich własnymi zgliszczami.

— Tlejące kawały drew z tkwiącym w nich żelastwem rzucać na tych wilków! — rozkazał z kolei Marcin Wrocimowski.

Napełniono zaraz maszyny oblężnicze, a pociski te wielką szkodę czyniły Krzyżakom. Wielu z nich było oślepionych, inni, szpetnie poranieni, nie mogli stawać skutecznie do walki. Szeregi Plauena z każdym dniem się przerzedzały, z każdym też dniem ubywało żywności, lecz mury dokoła zamku były nienaruszone.

Księżyc już powtórnie spojrzał pełnym swoim obliczem i zawsze widział krzyżackie mury jednako ponure i jednako z wielkim spokojem patrzące.

Henryk von Plauen marszczył brwi, patrząc na ubywające zapasy, ale nie okazywał niepokoju, jaki nim miotał. Owszem, im mniejszą miał nadzieję wytrzymania oblężenia, tym więcej dodawał otuchy upadającej częstokroć załodze.

I w Jagiełłowych, i w Witoldowych szeregach wielki był ubytek w ludziach. Pociski Krzyżaków, rzucane z murów, setnie ich raziły. Pojawiać się też poczynały choroby powstające ze złego powietrza, z ciał nie pogrzebanych a gnijących po zaułkach. Wojsko zaś, nie przyzwyczajone do tego rodzaju walki, w wielu razach okazywało nieudolność w wykonywaniu rozkazów.

Niejednokrotnie dawało się słyszeć szemranie:

— Jensza[29] w otwartym polu, siłą zmogę każdego! — mówił jakiś Mazur.

— On mnie łbem i mój nie z ciasta! — wołali z zaciętością Litwini.

— Choćby miał bary jak niedźwiedź, to mnie i z takim nie pierwszyzna się potykać! — chwalił się Półkozic.

— Ba, jensza z człekiem, choćby Krzyżakiem, a jensza ze ścianą. Nie odpowie, a stoi nietknięta — narzekano.

— Żeby choć wiedzieć, na jak długo mają żywności — mówił król do swych przybocznych.

— Żebyć jak najwięcej, musi w końcu zabraknąć — ozwał się Jan z Tarnowa.

— Tak, ale i nam nie przybywa — rzucił Mikołaj Nałęcz.

---

[28] *plwać* (daw.) — pluć. [przypis edytorski]

[29] *jensza* (gw.) — insza, co innego. [przypis edytorski]

— Owszem, przybywa — odrzekł poważnie arcybiskup Trąba.

Pojrzano nań ze zdziwieniem.

— Jużci wielkich delicji nie mamy, ale może kto powiedzieć, że był głodny? — spytał arcybiskup.

— Co to, to nie — ozwano się — ale...

— Ale — pochwycił kapłan — jesteśmy w okolicy, gdzie każdy wre na pięść krzyżacką, a chcąc się od niej uchronić, dostarczy nam choćby spod ziemi jadła, ile wlezie.

Wtem stojący na straży urzędnik szepnął coś Zbyszkowi z Oleśnicy, a ten zbliżywszy się rzekł:

— Z Elbląga ciągnie trzydzieści wozów z żywnością!

Arcybiskup pojrzał triumfująco, w innych wstąpiła otucha.

— Byle nie te chłody nocne i nie choroby, można by ich długo jeszcze za murami potrzymać — ozwał się Witold. — Choć taka walka, to... — dodał i machnął ręką z lekceważeniem.

Postanowiono wszakże od murów nie odstępować.

— Nie orężem, to głodem ich zmusimy — mówił kasztelan krakowski.

— Ten i razu miecza nie podniósł, a nam każe czekać, aż krzyżackie kiszki poczną lament — mruknął Witold.

A w obozie krzyżackim psuło się jakoś.

Psuło się, lecz o tym nie miał kto oblegającym donieść.

Mury były tak strzeżone, że nikt się nie mógł w głąb przedostać ani też spoza nich wymknąć.

Wprawdzie wodzowie krzyżaccy, jak Anton Ludwigsburg, Henryk Leuchter, Michel z Gołuba i wielu innych, podczas przerw wojennych wychodzili za mury, witali się z wodzami naszymi i, według ówczesnego zwyczaju, częstowali się wzajem, pijąc z jednego pucharu, nikt jednak z nimi przecisnąć się nie zdołał, a w rozmowie tak jedni, jak drudzy, starannie unikali każdego słówka, co by mogło zdradzić tajemnice sił oblężonych lub oblegających.

Aż jednego dnia przy takiej rozmowie Anton Ludwigsburg, pijąc do Zyndrama z Maszkowic, wykrztusił swym nosowym głosem:

— My sobie poza bitwą jesteśmy równe człeki i w razie przyjacielstwo możemy zawrzeć, ale ciekawość, jakby też gadali taki na przykład Henryk von Plauen, który miejsce poległego wielkiego mistrza zajął, z takim wielkim wodzem, jak książę Witold albo i sam król Władysław Jagiełło.

— Hm — chrząknął obojętnie Zyndram.

— Za wasze zdrowie — rzekł Anton, wychylając puchar.

— Za wasze — odparł Zyndram, spełniając swoją kolej.

— Jak myślicie, mogliby się oni spotkać? — spytał Anton. Patriota

— Czemu nie, w bitwie, w polu pewnie jeden drugiemu pola dotrzyma — odparł Zyndram.

— Eh, o tym nie wątpię — mówił dalej Anton — znanyć nam Witold, jako rycerz nad rycerze, a król wasz Władysław nie próżno nosi nazwę Jagiełło, co z litewska znaczy: doskonały jeździec i doskonały wódz, ale gdyby oni tak ze sobą porozmawiali... Jak myślisz?

— Nic nie myślę, bo mi to nawet nie przyszło do głowy.

Anton widząc, że nic nie wskóra, skończył rozmowę.

Jednocześnie Michel z Gołuba z Geradajosem, dowódcą litewskiej chorągwi, świadczyli sobie godność, nie szczędząc napitku.

Niejednokrotnie spotykali się na polu walki, niejednokrotnie krwi sobie upuścili podczas krzyżackich napadów na Litwę, znajomość więc była godna, nie przeszkadzająca wszakże do wychylenia pucharu czasu chwilowego wypoczynku. Nie żałowali też sobie, a Michel mówił:

— Pamiętam ja wasze lasy, wasze zameczki, z was dobrzy *żmones*[30], a co u was dzieci!

— Niemało ich Krzyżacy do niewoli zabrali — westchnął Geradajos.

— Na wojnie, jak na wojnie, i wy byście brali, gdybyście u nas takie znaleźli — odparł Córka

[30] *żmones* (litewskie) — ludzie. [przypis autorski]

Michel.

— Ba — westchnął Geradajos. — Chłopaki, już jako chłopaki, toć jeszcze, ale na co zabierać dziewuchy?

— Toć służki się zdadzą, krzywdy nie mają, a wyuczone też będą w wierze świętej — odparł Michel.

Litwin machnął jeno ręką.

— I za dziewuchą też serce ojcowskie boli — szepnął.

— Kto by tam się spodziewał, że wam tak o dziewczęta chodzi — mówił miękkim głosem Michel. — Ale wiecie co, nam z nich niewiele. Plauen to zupełnie inny człowiek niż mistrz Ulryk. Jest tam u nas tego białego mrowia, żeby je tak wypuścił...

Geradajosowi oczy zabłysły. Spojrzał ciekawie na mówiącego, lecz milczał.

— Nie wiem, jak tam nasz nowy mistrz rozumuje, ale zda mi się, że mu nie chodzi o te białe myszki, co się tam, w naszym zamku, hodują, a zawsze waszemu Witoldowi do serca by to trafiło, gdyby je tak ujrzał za murami zamku, uwolnione.

Litwin pokiwał głową, znać, że uwolnienie dziewcząt litewskich radowałoby jego serce, ale nic nie rzekł.

— Byłby to nawet zadatek przyjacielstwa — dodał Michel i trącił się pucharem z Geradajosem.

Ten słuchał, popijał miód litewski, którym częstował Krzyżaka, i milczał uparcie.

Rozeszli się.

Litwin rozważał:

— Czemu ten wilk o tym gada? Czemu budzi nadzieję? Biedne, biedne gołębiczki! Tyle lat, tyle lat! — westchnął. — Trzeba o tym księciu donieść — zakończył.

Że jednak Witold wielce był zajęty przeglądaniem swoich chorągwi, a i Geradajos musiał stanąć przy swojej, nie mógł tego ranka przystąpić do księcia. A był to właśnie dzień wypoczynku i dopiero pod wieczór miano znów do rozbijania krzyżackich murów i do bitwy przystąpić. Aż tu zaraz z południa na murach malborskiego zamku poczęły się ukazywać w słońcu jakieś drobne białe postacie.

— Wywieszają białe szmaty, dopiekł im znać głód! — zawyrokował Jacek Półkozic.

— Hę? — zapytano się z wszech stron, poglądając ciekawie.

— Pomiarkowali, że z nami nie przelewki i chcą się poddać! — dokończył głosem wielce pewnym Półkozic.

Radość przeleciała jak błyskawica, zakołatała we wszystkich sercach nadzieją odwrotu. Poglądano ciekawie.

Białe postacie, zbite w gromadkę, stały teraz, nie ruszając się. Ale spuszczono z murów sznurową drabinę, po niej zaczął zstępować Henryk Leuchter, obecnie sekretarz Plauena. Jego płaszcz biały, rozwiewający szeroko, złudził samego nawet Jagiełłę i Witolda.

— Poddają się? — spytał monarcha.

— Dobrze, bo w moim obozie biegunka, coraz więcej chorych... — odparł ponuro Witold. Lecz gdy się przypatrzył, rzekł: —

— Nie, to coś innego.

I wskazał ręką na mury.

A oto po tejże samej drabinie za Leuchterem zstępowały białe dziewczęce postaci. W blasku promieni słonecznych wyglądały jak stado gołębi, które w przestrachu przysiadają ku ziemi.

— Co to zacz? — spytał Jagiełło, przysłaniając ręką oczy od słońca.

Witold podjął również dłoń swą szeroką do czoła.

— Co to za sztuczka krzyżacka? — mruknął.

A ostawiwszy dalszą rozmowę z królem, odszedł ku miejscu, gdzie się owo zjawisko ukazało.

Aż oto drabinę zabrano za mury, a owe gołębie zniknęły jako widziadło. Po niejakim dopiero czasie ukazał się Geradajos, za nim spora gromadka dziewcząt, w białe płótnianki z litewska odzianych. Za nimi kroczący poważnie w białym swym płaszczu Henryk Leuchter.

— Najmiłościwszy panie... — począł Geradajos, ujrzawszy Witolda.

Lecz sekretarz Plauena nie dał mu dokończyć, jeno wysunąwszy się naprzód, począł:

— Henryk von Plauen, przyszły mistrz Zakonu, prowadzący wszelkie w nim obecnie sprawy, odsyła te oto gołębice zabrane różnymi czasy w żmudzkiej i litewskiej ziemi, chcąc tym sposobem dać zadatek przyjaźni, w jaką chce wejść z waszą miłością, jako wielkim księciem Litwy.

Zaiskrzyły się ciemne źrenice Witolda, spojrzał przenikliwie na mówiącego, potem podniósł wzrok na gromadkę wylękłych dziewcząt. Widok ich przypomniał mu snadź litewskie zagrody. Serce wojaka zakołatało cieplejszym jakimś tętnem, pohamował jednak wzruszenie i rzucił suchym, obojętnym głosem:

— Wdzięczenem bardzo wielkiemu mistrzowi. — Potem, spojrzawszy na stadko przytulonych do siebie dziewcząt, dodał: — Odpłacimy hojnie, uwolnimy tyluż jeńców...

— Och! — odparł kładąc rękę na sercu Leuchter i zginając się w ukłonie.

— Geradajosie, wierny mój druhu! — zwrócił się książę do przypatrującego się tak ciekawie przybyłym, jakby każdą z osobna chciał zbadać.

Leuchter widząc, że Witold podziękowaniem zakończył z nim rozmowę, odszedł nie wyrzekłszy już i słowa.

A Witold, zamieniwszy poufnie kilka słów z Geradajosem, rzekł:

— Nie ma innej rady, jeno te gołębice trzeba zaraz do granicy litewskiej odstawić.

I począł osobiście przechodzić między wylęknionymi dziewczętami, nie wiedzącymi zgoła, co za los je czeka, po co je tu przysłano. A na pierwsze odezwanie się księcia patrzyły na niego z przestrachem i żadna ani słowa się nie ozwała.

I jakże się miały ozwać, kiedyć ojczystej swej mowy zupełnie zapomniały. Dopiero gdy w niemieckiej mowie począł je książę uspokajać, że nie tylko nic im się złego nie stanie, ale wrócą do domu, do rodziców, lica ich zaczęły się rozjaśniać i okrzyki radości wyrywały się z ich piersi. A nawet tu i tam dał się słyszeć okrzyk:

— *Motina*[31]!

— *Tews*[32]!

A pod tę chwilę Jagiełło, uwiadomiony już o wszystkim, szedł osobiście, jak to miał zwyczaj, gdy chodziło o rzeczy ważne, żeby się przekonać. Słuchał też z daleka zapytań Witolda i łzy mu w oczach zabłysły, gdy się dowiedział, że te gołębice mowy ojczystej w krzyżackiej niewoli zapomniały. Aż oto Witold stanął przed monarchą, a wskazując ręką na weselszą już teraz gromadkę, rzekł:

— Dar od nowego mistrza Zakonu!

Król westchnął. Po chwili zaś rzekł:

— Trzeba je jak najprędzej do dom odesłać.

— Poradziłem to już Geradajosowi — odparł Witold. I zaraz dodał: — Słusznie mu się to należy, ran nie zagojonych ma wiele, a bodaj ta najcięższa, że mu się przypomniała córka, którą mu przed laty dziecięciem zabrali.

Jagiełło, któremu może nie w smak było, że Witolda z pominięciem jego królewskiej osoby dar ten spotkał, teraz rozczulony widokiem tych krzyżackich branek, rzekł:

— Trzebaż wozów, by je jak najprędzej na Litwę odstawić.

I obaj z Witoldem dawali ku temu właściwe rozporządzenia. I oto pod wieczór wozy w otoczeniu kilkunastu jeźdźców, pod przewodnictwem Geradajosa, ciągnęły na północny wschód. A z każdego wozu wyglądały ciekawie rozglądające się oczy uwolnionych branek krzyżackich.

Niejeden biegł za nimi myślą, wzrokiem i westchnieniem, a Półkozic rzekł:

— Znać w obozie krzyżackim mało jadła, to i wyzbyto się paruset gąb. Chociaż to jeno dziewki, zawszeć jadła potrzebują — dodał i westchnął.

Lecz westchnienie jego w inną zgoła, bo więcej ku południowej stronie było, hen, ku Mazowszu wysłane.

POSEŁ KRZYŻACKI

Witold i Jagiełło naradzali się poufnie, nawet przyboczni i sekretarze nie byli tej narady świadkami.

---

[31] *motina* (litewskie) — matka. [przypis autorski]

[32] *tews* (litewskie) — ojciec. [przypis autorski]

— W tym krzyżackim darze bodaj czy nie mieści się jakiś podstęp — mówił Jagiełło, pozierając przenikliwym wzrokiem na Witolda.

— Chcą nas sobie zjednać, to widoczne, a bodaj może i prawda to, co po obozach gadają — odrzekł tenże.

— Jakoż? — spytał król ciekawie.

— Że za murami żywności mało i wyzbyto się paru setek gąb — odparł Witold.

— U nas jadła nie braknie — uśmiechnął się król z zadowoleniem.

— Gdyby nie ta biegunka i jakaś gorączka, co trapi moich, można by ich wziąć głodem — mówił Witold, namyślając się nad każdym wyrazem.

— Chyba dziś nie rozpoczniemy szturmu. Damy im folgę noc całą. Niech myślą, żeśmy usnęli, a jutro o świcie, znienacka... — ozwał się Jagiełło.

— I nasi lepiej też wypoczną — odrzekł Witold będący w tej chwili w dziwnie zgodnym usposobieniu.

Wtem zapukano dyskretnie do namiotu. Król klasnął w ręce. Wszedł urzędnik będący na straży i rzekł:

— Sekretarz z kancelarii najmiłościwszego pana, Zbyszko z Oleśnicy, ma coś pilnego do zameldowania.

Król skinął głową.

Niezwłocznie wszedł Zbyszko, a po zwykłym ukłonie zbliżył się do króla i mówił przyciszonym głosem:

— Jego miłość kasztelan krakowski wysłał mnie z opowieścią, iż przybył poseł krzyżacki i prosi najmiłościwszego pana o posłuchanie.

Król spojrzał na Witolda porozumiewająco. Obaj chcieli się wzrokiem przeniknąć. Obaj, podejrzliwi z natury, radzi byli jeden drugiego do głębi przejrzeć. Był to jeden mig jeno, z którego żaden nie mógł nic wyrozumieć. Po czym król rzucił:

— Niech wejdzie!

Witold w tejże chwili podniósł się do wyjścia. Lecz Jagiełło rzekł:

— Ostań, bracie. Co by rzekł ów poseł, obu nas jednako obchodzi.

Siadł więc książę na dawnym swym miejscu. Chwila przeszła w milczeniu. Król i książę rozważali coś w sobie. Wkrótce uchylił opony przyboczny urzędnik, ukazał się sekretarz królewski i rzekł oznajmiając:

— Kasztelan krakowski, Jan z Tarnowa.

W tejże chwili ukazała się wyniosła postać kasztelana, szeroko wszakże rozwarta opona namiotu pozwoliła jednocześnie wkroczyć posłowi krzyżackiemu. Stanęli obaj przy drzwiach namiotu. Krzyżak skłonił się nisko, a kasztelan rzekł:

— Henryk Leuchter, marszałek Zakonu, sekretarz Henryka von Plauena, zastępującego w obecnej chwili osobę wielkiego mistrza.

A zaraz ów marszałek, postąpiwszy dwa kroki ku królowi, skłonił się raz jeszcze i rzekł:.

— Najmiłościwszy monarcho, potężny królu Polski, Litwy, Rusi i wszech ziem pod berłem Polski będących, Henryk von Plauen, dzierżący tymczasową władzę w malborskim zamku, przysyła przez niegodnego swego sługę pozdrowienie i cześć należną, jako wielkiemu wojownikowi, znanemu nie tylko Zakonowi, lecz i innym państwom, z nieustraszonego męstwa.

Tu złożył znów ukłon najpierw Jagielle, potem Witoldowi.

Król skłonił lekko głową, Witold spojrzał jeno przenikliwie i uśmiech przebiegł po jego ogorzałym licu.

Leuchter zaś, nabrawszy powietrza w płuca, tak dalej mówił:

— Henryk von Plauen pragnie żyć w największej zgodzie tak z Polską, jak i Litwą, jako też wszystkimi ludami, w skład obu tych państw wchodzącymi.

Teraz już nie tylko po licu Witolda, lecz i króla, uśmiech przeleciał. Nie uszło to uwagi bystrego oka Krzyżaka, lecz odchrząknąwszy mówił dalej:

— Wiadomo tak najmiłościwszemu królowi polskiemu, wszechpotężnemu Władysławowi Jagielle, jako i wielkiemu księciu Witoldowi, że Zakon bez wielkiego mistrza ostać się nie może. Ten bowiem stojąc na czele, sam jeno mocen jest ze wszystkimi są-

siednimi państwami sprawy załatwiać. Otóż najpilniejszą dla Zakonu rzeczą jest obrać wielkiego mistrza i głosy padły na Henryka von Plauena, komtura ze Świecia.

Jagiełło milczał nie dając znać żadnym ruchem twarzy, jakie mowa Krzyżacka na nim czyni wrażenie. Witold wciąż patrzał na mówiącego, chcąc jego ukryte myśli przeniknąć. Leuchter ciągnął dalej:

— Lecz Henryk von Plauen nie chce przyjąć naszego wyboru, a nawet nie pozwala się wielkim mistrzem wołać, póki nie otrzyma pozwolenia od obu najmiłościwszych panów. W tym celu zanoszą do nich prośbę tak od całego Zakonu, jako i od Henryka von Plauena, tymczasowo zawiadującego malborskim zamkiem, i o rezolucję upraszam.

Na to Jagiełło rzekł obojętnym głosem:

— Obiór wielkiego mistrza jest rzeczą przewidzianą i słuszną. Z naszej strony Plauen nie dozna przeszkody, a że sąsiednie państwa zwykle w takich razach są zawiadamiane, przyjmuję wasze słowa do wiadomości.

A spojrzawszy na stojącego na uboczu Jana z Tarnowa, z którym podczas mowy Krzyżaka wzrokiem się porozumiewał, dodał:

— Was, mości kasztelanie krakowski, świadkiem moich słów czynię.

Krzyżak zwrócił wzrok na Witolda.

Ten położeniem szerokiej dłoni na stole i skinieniem głowy dał znak przyzwalający i dodał:

— Niechże kasztelan krakowski i mnie świadkiem być zechce.

Jaśko z Tarnowa skłonił się w milczeniu. A król, zwracając się do Zbyszka z Oleśnicy, zawołał:

— Wpisać rzecz całą!

Zdawałoby się, że po tym zakończeniu Krzyżak powinien się skłonić i odnieść rezultat swego poselstwa. Lecz Henryk Leuchter ani myślał odchodzić. Dnia tego kilkakrotnie spełniał rozmaite misje, a to dla braku ludzi w Zakonie obeznanych z jego sprawami, jako też dla braku tych, którzy by w języku polskim i litewskim wymowni byli, mimo to był wprost niestrudzony i poselstwo swoje do końca chciał przeprowadzić. Odchrząknąwszy więc, począł:

— Uzyskawszy sankcję najmiłościwszych panów co do obioru wielkiego mistrza, przede wszystkim składam im za tę łaskawość najpokorniejsze dzięki. — Przyłożywszy znów rękę do serca, zgiął się w ukłonie i mówił dalej: — Otóż uważam ową sankcję jako dobry omen przyszłego sojuszu między Zakonem a wszechpotężnym królem Polski i wielkim księciem litewskim. Lecz aby ten sojusz mógł być zawarty, pragnę wiedzieć ostatnie słowo co do losów naszej siedziby, malborskiego zamku...

I zatrzymał się czekając odpowiedzi.

Jagiełło bystro spojrzał i rzekł:

— Zakon bronić się, my zdobywać będziemy.

Krzyżak podniósł wzrok na Witolda. Ten milcząc wytrzymał spojrzenie. Więc Leuchter ciągnął znów swoje:

— Mistrz Henryk von Plauen zgodzi się na odstąpienie Pomorza oraz chełmińskiej i michałowskiej ziemi, byleby jeno pokój mógł być zawarty.

— I Malborka — dodał Jagiełło.

— Nie mam prawa o tym mówić — począł znów Leuchter — lecz Malbork jest źrenicą oka Zakonu, jedynym zakątkiem, z którego spokojnie Plauen mógłby misję nawracania ludów prowadzić.

— Znamy gorliwość Zakonu! — przerwał urągliwie Witold.

— Ludy są nawrócone! — rzucił Jagiełło.

— Za cenę wyżej wymienionych ziem chcielibyśmy uzyskać odstąpienie wojsk polskich i litewskich spod murów naszego zamku.

— Co?! — zawołał król groźnie i odwrócił się od mówiącego.

— Cóż mam donieść wielkiemu mistrzowi? — zapytał układnym głosem Krzyżak, nie zrażając się ani głosem, ani ruchem Jagiełły.

— Rzekłem! — rzucił król niedbale i zwrócił wzrok na Jana z Tarnowa, dając znak, żeby mówił.

— Warunki pokoju omawiane są zwykle przez obustronnie wybrane ku temu osoby — wycedził wymijająco kasztelan.

— Ku temu prosiłbym o zawieszenie broni i o pozwolenie wejścia za mury komturom Bałgi, Brandenburga, Osterode i Samlandu wraz z ich pocztem dla omówienia warunków pokoju, które jego królewskiej mości, najmiłościwszemu panu, jako i wielkiemu księciu przedstawione zostaną — rzekł Krzyżak do kasztelana, widząc, że po ostatnim: „Co?" próżno by do króla przemawiał.

— Wasza królewska mość, najmiłościwszy panie? — zwrócił się kasztelan do Jagiełły.

— Niechaj! — rzucił Jagiełło.

— Zawieszenie broni? — spytał znów kasztelan.

Król otworzył już usta, żeby coś wyrzec, zamknął je wszakże i nachyliwszy się ku siedzącemu z drugiej strony Witoldowi, kilka słów z nim zamienił.

— Na dwie niedziele! — rzucił wreszcie Jagiełło.

— Do 29 septembra — dorzucił Witold.

Krzyżak po wyjściu otarł pot z czoła, a zarzuciwszy róg płaszcza na głowę, śpiesznie się oddalał.

Jagiełło, pozostawszy w swym otoczeniu, wstał i nie mówiąc słowa, począł się po namiocie przechadzać. Nikt nie śmiał przerwać milczenia. Każdy pozostawał na swoim miejscu, lecz Witold bystrym okiem śledził ruchy stryjecznego. Wreszcie Jagiełło stanął przed nim i rzekł:

— Mamy jeno mitręgę...

— Wojsko odpocznie — odparł Witold.

Jagiełło machnął ręką i westchnął.

— Uniżenie się Plauena jest rzeczą bardzo ważną i na przyszłość wielce rokującą — ozwał się Jan z Tarnowa.

— Brak im jadła! — rzucił król. — Pilnować, żeby się z komturami i ich pocztem jakie zapasy nie dostały! — dorzucił.

I klasnął w dłonie. Zjawił się urzędnik oczekujący przy namiocie rozkazów.

— Wezwać marszałków czuwających nad żywnością! — rozkazał król.

I znów cisza zaległa.

— Moi im nie użyczą i wozów z żywnością nie przepuszczą — ozwał się Witold. — Wycieńczeni biegunką sobie by ostawili — mruknął jakby do siebie.

— Kogo najmiłościwszy pan do układów z Zakonem przeznacza? — zapytał kasztelan.

— Czterech jeno ów Krzyżak wymienił, a pewnie i sam będzie, i szósty się znajdzie, nam tyleż osób postawić trzeba — mówił król. — Więc ty, bracie, obok mnie — zwrócił się do Witolda. — Ty, mości kasztelanie, jako nasz główny doradca, a dalej ci, co najwięcej do zwycięstwa się przyczynili. — I zmarszczywszy brwi, chwilkę się zastanowił, a potem mówił zastanawiając się nad każdym: — Zyndram z Maszkowic. Zawisza Czarny Sulimczyk. Florian Jelitczyk. Dzielny Farurej, a też i Habdank Skarbek. Ba, i Jan Nałęcz. Dobrze by i Lisa z Targowiska, i wielu innych, aleć trudno wszystkich tych dzielnych rycerzy... Ba, a przede wszystkim Ziemka i Kazimierza, książąt mazowieckich.

— Jest już dziesięciu — ozwał się Zbyszko, który z rozkazu króla wymienionych spisywał.

— Farurej, Skarbek i Jaśko Nałęcz z rozkazu najmiłościwszego pana zostali w zajętych grodach, a Florian Jelitczyk w pięćdziesiąt człeka odstawił do granicy uwolnione branki krzyżackie. Bo to i sam, jako wielce poturbowany, potrzebował wypoczynku — mówił kasztelan.

— To iluż tam? — spytał król.

— Sześciu ostało — odrzekł Zbyszko, policzywszy.

A oto weszli właśnie wołani oboźni, a król dawał osobiście rozkazy, żeby rozstawili straże i dawali baczenie, iżby z tymi, co mają szczególne pozwolenie, żaden wóz z żywnością za mury Malborka się nie dostał, a też i konie żeby nie były objuczone.

— Baczyć, żeby bodaj ptak w dziobie żywności im nie doniósł — dodał żartobliwie.

Słuchający pilnie rozkazów urzędnicy skłonili się i odeszli, a i Witold, i kasztelan krakowski po zamienieniu jeszcze kilku wyrazów namiot opuścili.

Tymczasem wieść o zawieszeniu broni w mig się po obozach rozeszła. Jednym sprawiła radość, drudzy sarkać zaczęli.

— Walić mury, to walić! — wołano.

— Człek odwyknie od tej psiej roboty, potem mu gorzej będzie — mówili niezadowoleni.

— Znać głód im po kiszkach harce wyprawia, kiedy się tak upokorzyli — mówili inni.

— Żeby aby od murów nie nakazano odwrotu! — rzucił Półkozic.

— Ee? — pytano na wszystkie strony.

— Odstąpić, to i odstąpić — westchnął ktoś, któremu nagle zapachniał dym z własnego komina i rzechotanie dzieci w uszach zagrało.

— Co, odstąpić?! — zawołał Półkozic. — Odstąpić nie zajrzawszy do wnętrza zamku, nie dowiedziawszy się, co te niemieckie bestie pod koniec żarły, nie przyjrzeć się, jak im brzuszyska opadły?!

Zaśmiano się, ale nikt nie dołożył konceptu, bo oto zgoła nowy widok oczom ich się przedstawił. Z dala zjeżdżały poczty niemieckie jeden po drugim i jeden po drugim meldowali się odstawionym ku temu wartom. Te, obejrzawszy od stóp do głów każdego, przepuszczały przez obóz. Odprowadzali ich nawet do murów klasztornych, bacząc pilnie, żeby jaki wóz albo i juki na koniach nie przedostały się za mury. Więc owym przyjezdnym nie dziwowano by się wielce, bo wieść o mających przybyć do zamku rycerzach i o bezpieczeństwie, jakim byli z rozkazu króla otoczeni w przejściu przez nasze obozy, wszystkim była wiadoma. Nie dziwowano by się więc, ale...

Rycerze owi byli tak dziwnie opaśli, a poczet nie ustępował im w niczym, iż można się było dziwić, skąd się wzięło tylu ludzi tak nadzwyczajnej tuszy.

— Niczym karmne woły — mówił spluwając Półkozic.

— Nie wieda, czy przez cały dzień jeden koń podoła takiego nosić — mówiono.

— Spadnie z nich to cielsko, spadnie!

— Zostaną jak patyki na wikcie zamkowym! — śmiano się dokoła.

Wtem ozwało się gwałtowne szczekanie i nie wiedzieć skąd, moc psów poczęła lecieć za onymi Niemcami. Szczekały, ujadały, rzucały się do koni, robiąc taki harmider, że w najdalszych zakątkach wszystkich obozowisk się rozlegało.

— Psy takich grubych jeszcze nie widziały. Myślą, że wieprze, i chcą napocząć! — dowcipkowano.

Lecz ta nadzwyczajna psia muzyka wywołała ciekawych z najdalszych nawet obozowisk. Kto jeno żył, a ruszać się mógł, nawet chorzy się wychylili. Przybieżał też Jakub, były knecht krzyżacki, który od chwili jak go odstawiono do obsługi owych piekielnych maszyn, tak się w nich rozmiłował, że go oderwać od nich nie można było. Każde kółko, każdą śrubkę w nich oglądał, a czyścił, a smarował, że świeciły się nawet w ciemności. Ale teraz ujadanie psów i jego wywabiło. Biegł w stronę, w której ten hałas się rozlegał, przybieżał też zdyszany, kiedy już ostatnie poczty w rozwartą bramę zamku wjeżdżały.

— Przypatrz się! — zawołał ktoś, wskazując grubasów.

— Bójcie się Boga, toć każdy z nich okręcony kilkakrotnie kiełbasą, a bodaj i połcie słoniny, i mięsa na sobie wiozą! — zawołał z przerażeniem.

— Co ty gadasz?! — ozwano się na wszystkie strony.

— To, co słyszycie! Małom się napatrzył, jak wyjeżdżali z zamku?! — Niejednemu sam musiałem pomagać do wtłoczenia się w odzienie albo i w zbroję, gdy się cały mięsiwem obłożył — dodał.

— To ci juchy!

— To psubraty!

— Ba, Niemiec przemyślny.

— Na żarcie też łasy.

— Obawiali się głodu, to się zaopatrzyli! — wołano.

— Każdemu bodaj na dwie niedziele starczy — mruknął Jakub.

I zgnębiony odszedł do swoich maszyn. Lecz nie zdołał jeszcze zabrać się do nich, gdy go wezwano do króla. Wieść bowiem, jak wieść, leci prędzej niż błyskawica, a że król jegomość, zdziwiony nadzwyczajnym psów szczekaniem, wysłał na zwiady, przyniesiono mu więc i ozwanie się młodego puszkarza.

— Coś ty gadał o kiełbasach? — zapytał król, gdy Kuba przed nim stanął.

Młodzieniec tak był zgnębiony tym, że Niemcy tyle żywności z sobą za mury wnieśli, iż na chwilę zapomniał, gdzie się znajduje. Zawołał więc:

— A tak, te psubraty przynajmniej na dwie niedziele mają co żreć!

— Skąd ci to przyszło do głowy? — badał Jagiełło.

— Znam ich zwyczaje! Ci byli tak grubi, że ślepy mógł namacać, że się obładowali. Psy też od razu kiełbasę zwęszyły.

Potem opowiadał o zwyczajach rycerzy niemieckich, król słuchał pilnie, potem chrząknął: — Hm. — I wielce się zamyślił.

Skinął wszakże ręką, że nie ma nic do powiedzenia.

Kuba oddalił się, a tak był zły i markotny, że na pytania, czego król chciał od niego, odpowiadał jeno machnięciem ręki.

Król zaś myślał:

„Źle się stało, aleć tych kilkudziesięciu, choćby nie wiem jak objuczonych, nie wyżywi kilku tysięcy. Ale zawsze mitręga".

Chciał nawet przywołać straże, które wpuszczały przybyłych, i dać im surowe napomnienie albo i ukarać, ale w czas sobie przypomniał, że nie dawał polecenia, żeby baczyli na rycerzy, jeno na konie, czy juk nie wiozą, i sam sobie winę musiał przypisać.

— Źle się stało — szepnął — ale któż się mógł takiego podstępu i chytrości spodziewać?

Zgryzło go to jednak niemało.

„Będą nam jeszcze urągali" — mówił w sobie. I trzaskając palcami, chodził po namiocie wielce markotny.

A Witold dowiedziawszy się o wszystkim, zaklął siarczyście, a potem urągliwie się uśmiechnął, dodając w myśli:

„Zawsze to nieoględność i nieumiejętność przy dawaniu rozkazów".

A w obozie rosła bajka coraz potworniejsza o owych kiełbasach, śmiano się, dowcipkowano i dodawano:

— Jeno psy zwęszyły.

MATKA I CÓRKA

Florian Jelitczyk z Korytnicy, odprowadziwszy do samego Niemna owo stadko gołębic, rzekł:

— Mości Geradajosie, tobie już ostawiam wszelki nad tym stadkiem starunek[33], wylizałem się nieco z ran podczas podróży, nie przystoi mi dłużej się pieścić, dziewczętom choćby i najzacniejszym się wysługiwać, kiedy inni walą w krzyżackie mury.

Geradajos spojrzał na niego i mruknął:

— Damyć już sobie radę.

— Ostawić ci co z mojego pocztu? — zapytał Jelitczyk.

— I... Mam kilku swoich, a na Żmudzi, kiedyć Krzyżaków nie ma, to już każdy nam brat — odparł Litwin. Po chwili zaś dodał: — I ja bym rad jeszcze jakiego Krzyżaka na włócznię nadziać, aleć wiecie, co mi na sercu.

— Wiem, wiem. Ostańcież, a między tymi gołębicami, Bóg da, i waszą znajdziecie — odparł rycerz, mrugnąwszy jednym okiem, boć drugie na polach grunwaldzkich zostało.

Podali sobie dłonie. Po czym Jelitczyk podchodził od jednego stadka do drugiego, bo właśnie na wypoczynek nocny się zabierały, pośmiał się jeszcze do nich i pobaraszkował jako ojciec i zabierał się ruszyć w swoją drogę wraz z szesnastoma jezdnymi, których miał z sobą. Aleć z tymi miał nieco kłopotu. Byli to ludzie młodzi, a podczas podróży nadto one dziewczęta polubili. A że prócz drobiazgu były i takie, co choćby i dziś do ołtarza, niejednemu więc serce goręcej zakołatało. Radzi byliby i dalej je prowadzić, a może i na zawsze pozostać. Ale pan Florian huknął:

— Cóżeście to za jedni, czymżeście się ojczyźnie zasłużyli, że już wam amory w głowie! Tfu! Do biesa, miałbym taką za niegodną dziewki imienia, która by amory takiego przyjęła, co jeszcze i jedną głową, zdjętą z karku wroga, pochwalić się nie może!

---

[33] *starunek* (daw.) — opieka, staranie. [przypis edytorski]

Więc owi młodzieńcy przycichli jak trusie i nic już nie mówiąc, a jeno w myśli sobie sumując słowa zasłużonego rycerza, wnet się zebrali. I oto nim księżyc się ukazał na niebie, wraz z Jelitczykiem od Niemna się oddalali, w drogę ku obozom Jagiełły pośpieszając.

Geradajos zaś miał zupełną słuszność, że od chwili jak na wielkich promach przebyli rzekę, co się Niemnem zwie, granicę między Żmudzią, Litwą a ziemiami polskimi stanowiąc, byli już jak w domu. Toć zaraz w pierwszej wiosce, Dregnasach, zbiegło się tyle ludzi, ilu ich w onej żyło. A każdy wypytywał, a każdy przechodził od jednej dziewczyny do drugiej, a każdy rad był poznać swoją, boć niejednemu po częstych napadach krzyżackich brakło dzieciątka. Ale Geradajos niełacno je oddawał, mówiąc:

— Radzi byście się przyznać, aleć pomnijcie, że takich matek i ojców, co im dziewuchy zabrano, w całej Żmudzi i Litwie jest moc.

Że zaś po napadzie zeszłorocznym i z pogranicznych wiosek Krzyżacy wyłowili niemało dziewcząt i lat pięciu nie mających, łatwo jakoś przyszło do porozumienia.

Matki poznały swoje, a i dziewczątka, głos ich usłyszawszy, szczebiotać poczęły:

— *Motina, motina*!

Tak się załatwiwszy w Dregnasach, ciągnął dalej, boć mu pilno było do Geradajosów, gdzie żonę ostawił na nieszpetnym dworze i gospodarstwo.

— Trudnoć mnie po dziesięciu latach moją Uagę poznać, dzieckiem była, nie więcej niż pięciolatką, ale matka najdzie na to sposób — pocieszał się wojak.

Niemniej co dzień przechodził między onymi gołębicami, a przypatrując się co starszym, w wieku jego Uagi będącym, wywoływał je tym imieniem. Lecz na wołanie wiele dziewcząt wychodziło, boć imię to nie było rzadkością na Żmudzi i Litwie, jako oznaczające leśną jagodę.

Przez czas drogi, trwającej przeszło trzy niedziele, dawne branki krzyżackie przypomniały sobie mowę ojczystą, a choć je tam, za murami, innymi imionami przezwano, wprędce sobie przybaczyły te, jakimi na nie niegdyś ojcowie wołali.

Im głębiej wjeżdżali w ojczystą ziemię, tym więcej ludu się zbierało. Rozeszła się bowiem wieść, że branki krzyżackie wracają, biegli więc ojcowie i matki, ba, nawet ci, którym nie zabrano dzieci. Każdy chciał widzieć powrócone, dowiedzieć się o niedoli, jaką przecierpiały, i radować się z ich powrotu. A wystraszone z początku dziewczęta, teraz stanąwszy na rodzinnej ziemi, nabierały śmiałości i świergotały jako wróble, kiedy się w podwórcu zbiorą albo też pod strzechą dobrze napełnionej stodoły. Wiele było takich, co poznawały rodziców i domowe progi, ale i wiele takich, które kręciły głową, mówiąc:

— *Ne buwau cze*[34]...

— *Ne primit sau*[35]!

A jeżeli ktoś upierał się powtarzając:

— Maleńka była, jakże może sobie przypomnieć? — a potem domagał się, żeby mu dziewczynę oddano, Geradajos mówił:

— Dobrze, weźcie, ale pamiętajcie, gdybyście się przekonali, że to nie wasza, a prawdziwi rodzice się znaleźli, oddajcie!

Gwaru też i radości, i łez, i zaklinań było co niemiara. Zwierzęta domowe rżeniem, rykiem, kwikiem, a kury gdakaniem gwar ten powiększały. Wystraszone ptaki z lasów zbiegały się krążąc nad głowami ludzi i dziwiły się, co to tak zwykłą ciszę zakłóciło, a może i radując się z uradowanymi.

Geradajos najwięcej wzbraniał się oddawać każdą, w wieku jego Uagi będącą, a każdą też Uagę, choćby maleńką, serdecznym żegnał westchnieniem. A takiej też pozwolił jeno odejść, za którą ze wszystkimi szczegółami rodzice się opowiadali, a ona i ich, i ich dom poznawała.

I tak oto się stało, że do swoich Geradajosów dowiózł jeno kilka dziewczynek. Jedna tylko w wieku jego Uagi była, a też i Uaga się wołała. Geradajosowie, czterech dorodnych synów w walce z Krzyżakami straciwszy, mieli jeno najmłodsze dziewczątko; gdy i tę Krzyżacy pochwycili, oboje nie mogli się z żalu utulić. Geradajos chodził na wszelkie wyprawy i troskę, co go żarła, w bitwie, na karkach wrogów uśmierzał. Ale żona jego, Skruzda, ostając w pustym domu, każdy kąt, a również i przędzę łzami rzewnymi oblewała.

---

[34]*ne buwau cze* (litewskie) — nie byłam tu. [przypis autorski]

[35]*ne primit sau* (litewskie) — nie przypominam sobie. [przypis autorski]

Chowała też wszystkie szatki, choćby najmniejszy płateczek, i co dzień je oglądając, do służby mówiła:

— To wszystko, co mi ostało po Uadze...

— Wróci jeszcze i ona, wróci — pocieszała Peleda, stara, zaufana sługa.

— Eh... — odpowiadała strapiona matka, nie dowierzając jej słowom.

A że w nieszczęściu każdy chwyta choćby niteczkę nadziei, więc i Skruzda powtarzała sobie:

— Peleda nie na próżno mądrego ptaka imię nosi, może jej co duchy nocne objawiły?

Z początku wychodziła na szeroką drogę, patrzyła, czy gdzie utracone dziecko się nie ukaże, to znów razem z Peledą szły w głąb lasu, szukały w zaroślach, a Geradajosowa mówiła:

— Żebyć ją ostawili, a zwierz poszarpał, toćby choć szmateczki ostały.

A jako zaraz po zniknięciu dziecka czyniła owe poszukiwania, tak niepomna lat, które biegły, czyniła to, ile razy ból więcej w jej sercu wzbierał.

— Gdybyć ją śmierć zabrała, nie tyle by mi serce pękało. Miałabym chocia mogiłkę i kosteczki jej użyźniłyby ziemię, a duszyczka byłaby z nami i w każdej jagódce co wiosnę by się odrodziła — żaliła się nieszczęśliwa matka.

— Nie płaczcie, kiej nie zmarła, toć ona z nami przebywa, a także i wrócić może — pocieszała po swojemu Peleda.

— Wiesz? Duchy ci mówiły?

— Nie mówiły, aleć one wiedzą — odparła stara.

— Krzyżacy ją zabrali... Co oni z niej zrobią? Choćby wróciła, nie będzie już tą samą, nie będzie nasza — wzdychała matka.

Teraz gdy się rozeszła wieść o wracających brankach, Geradajosowej nie można było utrzymać w domu. Wybiegała o świcie i do późnej nocy błąkała się wypatrując ukochanej córki.

Pewnego dnia znużoną i spłakaną przyniesiono do domu. Leżała bez ruchu, bez skargi, przyjmowała wszelkie starania, nie mówiąc i słowa, nie odpowiadając na pytania, z oczyma skierowanymi na drzwi, jakby spodziewała się wejścia ukochanego dziecięcia.

Tak przeszło niedziel kilka.

Peleda nie odstępowała prawie swej pani, pozwalając jeno od czasu do czasu wejść dwom jeszcze zaufanym służebnym i przez nie na chwilę się zastąpić. Aż pewnego dnia, gdy słonko wrześniowe kryć się już za las poczęło chora zerwała się nagle, wołając:

— Jadą!

I nim Peleda opatrzeć się zdołała, Geradajosowa wyskoczyła z łóżka i ku drzwiom się skierowała.

Peleda już od niejakiego czasu słyszała jakieś przyciszone gwary koło domostwa, nie szła jednak dowiedzieć się, co by to było, nie chcąc przerywać spokoju swej pani, która, jak zwykle, z zamkniętymi oczyma leżała. Teraz, widząc ją biegnącą, zarzuciła na nią futrzaną jubkę i wraz z nią wybiegła. W tejże chwili właśnie zajechał wóz i towarzyszący mu jezdni. Otoczyli go słudzy, pomagając wysiąść dwom małym, a trzeciej wysokiej, doskonale rozrosłej dziewczynie.

Geradajosowa spojrzała obojętnie na dwie małe, a onej dorosłej rzuciła się z krzykiem na szyję.

— Uaga, Uaga! Córko moja!

Geradajos, zsiadłszy z konia, poglądał na to powitanie, a nie przerywając uścisków, ukradkiem łzy cisnące się do oczu ocierał, mówiąc:

— Taki wiedziałem, że matka pozna!

Geradajosowa nie wypuszczała przybyłej z objęć, odsunęła ją jeno nieco i przypatrywała się jej hożemu, kwitnącemu zdrowiem licu.

Wszyscy byli wielce wzruszeni, lecz nikt nie przerywał powitania. Nawet ojciec sam, Geradajos, nie zbliżał się, jeno patrzył.

„Jak dwie krople wody podobna. Taką była Skruzda, gdym ją pod dach mój wprowadził" — myślał z wielkim rozrzewnieniem, patrząc na matkę i córkę.

Rzeczywiście, trudno było o większe podobieństwo. Tenże sam wzrost, ten sam nos, owal twarzy, też same niezabudki w oczach. Jeno że Uagi wzrok jaśniał młodo-

ścią, a Skruzda miała oczy wypłakane. Lecz w tej chwili źrenice jej błyszczały, a cała wychudzona twarz jaśniała radością i stała się jakby nagle odmłodniałą.

Nikt też nie wątpił, że przybyła jest tą ukochaną, długo opłakiwaną Uagą.

Wreszcie Geradajos zbliżył się do żony, a ona, jakby przypomniawszy sobie w tej chwili jego istnienie, schyliła mu się do kolan, a obejmując, wołała:

— *O, pon's mano, o, wir's mano*[36]! — I nic więcej wymówić nie mogła.

Więc Geradajos wziął ją jak dzieciątko na ręce i wniósł do komnaty, jakby jej radość i swoją przed wzrokiem ludzkim chciał ukryć.

A pozostali kiwając głowami, mówili:

— *Dinos es didelis*[37]!

Lecz Uaga stała patrząc obojętnym okiem dokoła, a jej młodziutkie lico nie okazywało ani wzruszenia, ani zdziwienia. Więc Peleda zbliżyła się do niej i wziąwszy za rękę, śpiewnym głosem rzekła:

— *Swejkił, mergajtu*[38]!

I za rękę wiodła do komnat w głąb domu.

Lecz Uaga, jak pierwej, tak i teraz, nic nie rzekła i żadnego wzruszenia nie okazała. Dała się prowadzić i tyle. Wtedy dwa małe dziewczątka uczepiły się ręki Peledy, wołając:

— *E mano, Żwajżgde*[39]!

— *E mano, Kregżde*[40]!

Więc Peleda przytuliła je do siebie i głaszcząc, serdecznym rzekła głosem:

— Mano Zwajżgde[41]!

— Mano Kregżde[42]!

A Żwajżgda i Kregżda całowały jej rękę, owijały się rąbkiem jej zapaski, skakały jako te jaskółki, gdy się cieszą, że pod strzechę znajomą wchodzą. Pozostali zaś nie mogli się wszystkiemu dość wydziwić.

— Że to Uaga nic się nie raduje.

— Stoi jak oniemiała...

— Jakby nie czuła, że do matki, do ojca przyszła — mówiono.

— Bo jużci że oniemiała z wielkiego szczęścia! — ozwał się Skida, jeden ze starszej służby w Geradajosach.

— A może i niewiele z tego rozumie? — dodał inny.

— Ee? — pytano.

— Przecie, boć i mowy naszej zapomniała — tłumaczył Skida.

— Ee? — znów pytano.

— Jużci, u Krzyżaków jej nie słyszała — dodał.

— Rozumieć, to ona rozumie — ozwał się Ukwata, jeden z przybocznych Geradajosa, który z nim drogę odbywał. — Jeno znać już taka nic nie dziwująca się i nie kochająca dziewka — dodał.

— No, no — ktoś mruknął.

— Gdyby nie to podobieństwo ze starą, można by sobie i tak, i owak myśleć... — rzucił ktoś pod nosem.

— A te dwie maluśkie to takie przylipne.

— Prawdziwe Żwajżgde i Kregżde!

— Ciekawość, czy też znajdą ojców — mówiono.

— Znajdą, znajdą! — pocieszali inni.

— Toż to będą mieli z takich pociechę!

I tak gwarząc, a szczególniej zastanawiając się nad Uagą, zabierali wozy, konie i każdy szedł do swoich zajęć.

---

[36] *O, pon's mano, o, wir's mano* (litewskie) — o, panie mój, o, mężu mój. [przypis autorski]

[37] *dinos es didelis* (litewskie) — bóg jest wielki. [przypis autorski]

[38] *swejkit, mergajtu* (litewskie) — witaj, dziewczę. [przypis autorski]

[39] *e mano, Żwajżgde* (litewskie) — i mnie, Gwiazdę. [przypis autorski]

[40] *e mano, Kregżd*e (litewskie) — i mnie, Jaskółkę. [przypis autorski]

[41] *mano Zwajżgde* (litewskie) — moja Gwiazda. [przypis autorski]

[42] *mano Kregżde* (litewskie) — moja Jaskółka. [przypis autorski]

ODWRÓT

Florian Jelitczyk, zawróciwszy od Niemna, chciałby był lotem ptaka dostać się do obozowisk pod Malbork. Cniło mu się bez bitwy i wiadomości, co tam robią.

— Może już są za murami? — mówił do swoich przybocznych.

— Może.

— Szkoda, żeśmy nie byli przy wejściu — ozwał się któryś.

— Ba! — rzucił Jelitczyk.

I westchnął. Serce mu się bowiem ścisnęło, że nie był przy tej uroczystości.

Spojrzał wszakże z lubością na mówiącego i mruknął do siebie:

— Z tego będzie pociecha!

Spieszył się i dłużej nad jedną dobę co dni kilka wypoczynku ni sobie, ni koniom i ludziom nie dawał. Wszelako, jako doświadczony żołnierz, wiedział, że zbyteczny pośpiech, to podwójna mitręga[43]. Przy każdym więc postoju mówił, jakby tłumacząc się sam przed sobą:

— Co nagle, to po diable!

Mimo tej ostrożności musiał raz coś cztery doby w miejscu pozostać, bo konie były odsednione, trzeba im było dać folgę i z siodeł uwolnić.

— Pośpieszymy, gdy się wyliżą! — pocieszał się oglądając co dzień konie.

Z tym wszystkim mitręga była mitręgą i chociaż znad Niemna wyruszył w pierwszej połowie września, już dobrze było po drugiej połowie, gdy stanął na granicy Warmii.

Warmia była posiadłością krzyżacką, ale gdy przeprawiali przez nią wypuszczone branki, ludność, a nawet wójtowie witali ich chętnie, dostarczając żywności i przyjmując po chatach i dworach. Teraz ci sami, z którymi się poprzednio zaznajomili, na powracających kosym okiem poglądali. O żywność trudno się było doprosić, nawet za drogie pieniądze, a paszę dla koni z trudnością mogli zdobywać. Na uprzejme, żartobliwe pozdrowienie pana Jelitczyka ledwo odpowiadano niewyraźnym mruknięciem, udając, że mowy ich nie rozumieją, choć doskonale rozumieli kilka niedziel temu, jako że ludność była mieszana, składająca się z niedawno przez Krzyżaków nawróconych Prusaków i Mazurów znad Wisły, przeprowadzonych tutaj przez tychże samych Krzyżaków.

— Ki diabeł w nich wlazł? — pytał swojego pocztu Jelitczyk.

— A może i wlazł, boć to wiadomo — odmieńce.

— Albo i mieszańce — odpowiadano.

Niemniej podróż była utrudniona. Aż kiedy już wyjechali za Lidzbark, co to nad Łyną się rozsiadł, jakiś Prusak, sprzyjaźniony znać z Krzyżaki, rzucił urągliwie:

— Pośpieszajcie, bo nie dogonicie waszego Jagiełły.

— Jakoże? — spytał zdziwiony Jelitczyk.

— Zląkł się potęgi krzyżackiej, murów nie nadgryzł i zabrawszy swoje niedobitki, do dom wrócił.

— Co waść gadasz?! — krzyknął oburzony Jelitczyk.

— To, co waść słyszysz!

I odwróciwszy się, ów Prusak poszedł w swoją stronę.

A całe też jego szczęście, bo pan Florian, nie zważając na nic, byłby go za tę wieść płatnął po uchu, a może i głowę zdjął z karku. Krew wzburzona tak w nim grała, iż nie mogąc usiedzieć na miejscu, nie pozwolił koniom dojeść, kazał w torby obrok zabrać i ruszył z kopyta. W drodze zaś myślał sobie:

„Ten przechera, diabli go wiedzą. To być nie może. Ale zawsze nie wadzi pośpieszać".

W drodze, kiedy z konieczności musiał dać folgę koniom, tu i ówdzie jakieś go półsłówka dolatywały. Kiedy zaś był już jeno o trzy doby od obozowisk, a to było już w końcu września, spotkał ciągnące wozy, w nich chorych i rannych pod opieką Sienichy.

— Co to? Co się stało? — spytał widząc wozy nie ku Malborkowi, lecz w przeciwną stronę skierowane.

Na pierwszym wozie ktoś machnął ręką i jęknął, nic mu nie odrzekłszy. Zły i zgryziony szukał Sienichy. Jakoż znalazł ją na jednym z wozów, przy najciężej chorych.

— Babo, co się dzieje?! — począł z miejsca.

---

[43] *mitręga* (daw.) — opóźnienie. [przypis edytorski]

Sienicha wzrok smutny na niego podniosła, lecz poznawszy, kto zacz, poweselała jakoś i ze zwykłym sobie humorem rzekła:

— Ano, wracamy, boć nowy mistrz krzyżacki o zgodę przysyłał.

— Co?! Zgoda z tymi wilkami?! — wrzasnął Jelitczyk.

— Nie będzie zgody, to będzie wojna, a jak drugi raz będzie Grunwald, a mistrza Plauena jak Ulryka na stryczek wezmą, odechce im się leźć w nasze granice.

— Babo, czy aby mówicie prawdę?! — pytał zrozpaczonym głosem Jelitczyk.

— Godny z was rycerz, zaś bym takiego śmiała tumanić?

— Więc mi nie wracać pod Malbork?

— Na cóż? Chyba na urągowisko — rzekła Sienicha.

— Więc mi taka dola! Na hańbę jak ułomek jaki albo niedołęga z chorymi wlec się będę?

— Nie gadajcie tak, nie gadajcie, cny rycerzu — przerwała baba — nie żadna to hańba iść z tymi, którzy gdy się wyliżą, chwycą znów wilka za bary.

W duszy zaś myślała:

„Hańba to tym, którzy nie doczekawszy końca, Jagiełłę i jego wojska opuścili".

A myśląc tak, miała na pamięci Witolda, który nie doczekawszy żadnych rokowań, 18 września ze swoimi chorągwiami od oblężenia odstąpił. Nie rzekła wszakże nic o tym do rycerza Jelitczyka, jeno z głębi serca westchnęła.

Jelitczyk też już nie wypytywał.

Król odstąpił od Malborka i wraca! To było dość dla niego. Przyłączył się ze swoim pocztem do taboru Sienichy i każde z nich w ciszy przeżuwało smutne wieści, a przełknąć ich nie mogło.

Sienicha też wciąż myślała sobie:

„Ach, ten Witold, Witold, szczery Litwin, niepomny na krzywdy, jakie te psy jego ziemi zadały, zniósł się z Krzyżaki potajemnie... Prowadził konszachty za plecami Jagiełły. Musieli mu dużo obiecać... Może, że mu pomogą do ogłoszenia się udzielnym księciem Litwy? Boże, mój Boże!... A to wszystko na nowe nieszczęścia i kłótnie między braćmi... — wzdychała. — A ja tak myślałam, tak wierzyłam, że Witold się uspokoił, że przekonał się o chytrości Krzyżaków. Tak się cieszyłam, gdym go ujrzała w zapamiętaniu wojennym, kiedy jak wicher, jak sam Perkun miotał pociski pod Grunwaldem i w jasności błyskawic stał groźny, i rzucał pioruny".

I tak mieszając bóstwa pogańskie z wiarą w pomoc jedynego Boga, przechodziła myślą ubiegłe, pełne świetności chwile i ostatnią brzydką zdradę Witolda.

— Tak pragnęłam ujrzeć onego księcia, co się na Litwie, jako ja, urodził. Tak mu służyłam, a teraz...

I zakryła oczy, jakby je chciała od smutnego widoku i przykrych wspomnień uchronić. A westchnąwszy z głębi piersi, po chwili znów myślała:

„Zastawiał się, że w jego obozie biegunka, to i co? Byłabym im dała leki, gdybym była wiedziała. Mówił, że w jego obozie więcej chorych niż zdrowych... No, jużci prawda, zbiednieli, połowa zaledwie do swoich domów zdąży, aleć tak odstąpić od murów, tak odstąpić!" — biadała w sobie.

I z tymi myślami żyła od chwili opuszczenia obozowisk spod Malborka.

A obozowiska te płonęły rozlewając szeroką łunę i niejednego nieświadomego złudzić mogły, że zamek malborski płonie. Lecz nikt się nie łudził. Wieść bowiem o mających nastąpić układach i odstąpieniu Jagiełły spod Malborka 19 września rozbiegła się nader szybko po okolicy.

Jagiełło kazał podpalić resztki obozów, a ci, przez których ziemię przejeżdżał, doskonale wiedzieli już o tym. Podnosili nawet tak łacno głowy, jak łacno po pogromie grunwaldzkim je przed nim chylili.

Ba, nawet nie tylko te ziemie, przez które przejeżdżał, ale i miasta dalsze, jak Królewiec, Elbląg, Gdańsk, Brodnica, Ostróda, a nawet pograniczne Działdowo, złamały przysięgę daną królowi polskiemu i dowiedziawszy się o ustąpieniu jego spod Malborka, na powrót poddały się Krzyżakom.

Najwięcej zaś podnosił głowę Henryk von Plauen, on, co kilka niedziel temu korzył się przed królem, prosząc o pozwolenie, żeby go wielkim mistrzem obrano. I miał z czego się

puszyć i nadymać, boć zaraz po odstąpieniu polskich obozów spod Malborka dopełniono ceremoniału, jaki zwykle przy obiorze wielkiego mistrza miał miejsce.

— I czemu to wszystko przypisać, czemu? — pytał Jan z Tarnowa innych panów radnych, gdy na jakimś postoju po opuszczeniu Malborka razem się zebrali.

— Tajemne układy Witolda z komturami i samym Plauenem, odjazd wielkiego księcia z hufcami, oto przyczyna — mówił podkanclerzy Mikołaj, nie tając niechęci do Witolda.

— I jeszcze mu król dla bezpieczeństwa dał szesnaście chorągwi! — utyskiwał Habdank Skarbek.

Zwątpienie

— A przecie mogliśmy ich wziąć choćby głodem, boć nam na jadle zbywało — mówił Jędrzej z Brochocic.

— A oto za Witoldem zwinęli obóz książęta mazowieccy i precz odjechali — wtrącił ktoś inny.

— To też najwięcej zgryzło Jagiełłę — rzekł podkanclerzy. I zaraz dodał: — Przedstawiałem, prosiłem najmiłościwszego, że siły jeszcze mamy, że lada dzień muszą się poddać. Ale król jedno tylko powtarzał: wolę odwrót i układy, niż żeby wszyscy bez mego zezwolenia obóz opuścili.

— Tak, ogólne było zniechęcenie — westchnął Jan z Tarnowa.

Ze wszystkich piersi wydobyło się również westchnienie. Zaległa cisza.

— Najpierwszym błędem było pozwolenie na wejście onych komturów za mury! — rzucił Zyndram z Maszkowic.

I mimo woli stanęli wszystkim w oczach owi niezwykle grubi rycerze. Aż Jan z Tarnowa się ozwał:

— Nie czas nam teraz rozmyślać nad tym, co się stało, kiedy już obozy popalone, lecz czas, aby spodziewane układy jak największą korzyść przyniosły.

— Wiemy, jakie to będą układy! — Machnął ręką Zyndram.

— Krzyżak wszystko obieca, a nic nie dotrzyma — mruknął Habdank.

— Zawszeć nie będzie tak butny, jak wprzódy. Przecie gdy komu krwi upuszczą, nie jest taki skory do bitwy — ozwał się pan Jędrzej z Brochocic. — Ja sam niejednego pluchę na tamten świat wysłałem, krwią krzyżacką zasiliwszy pola pod Grunwaldem! — dodał z błyskiem rozradowania w oczach.

A inni też poczęli opowiadać o onej bitwie i wspomnieniem zwycięstwa jakoś się nieco rozradowali.

A po innych obozach rycerze, pospolitaki, a nawet ciury obozowe główną winę przypisywali wejściu owych obładowanych komturów, mówiąc:

— Póki im głód doskwierał, byli pokorni, byliby się bodaj poddali. Jak im przynieśli mięsiwa, jak się nażarli, zaraz na kieł wzięli...

— Szkoda, żeśmy się za mury nie dostali, byłoćby się tam czemu napatrzeć, a też i ucieszyć widokiem wygłodniałych Niemców.

— Co to zastawiają się imieniem Maryi i samego Pana Jezusa, a gorsze od najgorszych pogan — dodawano.

Ale byli i tacy, co niepomni na nic, cieszyli się z powrotu. Ci zaś mówili:

— Jużci, piękna byłaby rzecz za mury się dostać, a krwi niemieckiej jeszcze utoczyć, aleć już się i cniło niepomału... Noce i ranki chłodne, jeno patrzeć, jak się jesień rozhula, a tu człek w polu. A co tam w domu, to jeno Bogu wiadomo...

I na wspomnienie buchającego ogniem komina piersi tak się podnosiły i takie szły z nich odgłosy, jak z kowalskiego miecha, kiedy chłopak węgle rozżarza.

A król jegomość od chwili opuszczenia Malborka, choć legł pod namiotem, nie mógł sobie dać rady ze smutkiem, jaki wżerał się w niego. Często też siadał, głowę ręką podpierał i myślał:

„Żeby nie ten mój stryjeczny, byłoby się może za murami, ale ten zawsze mi okoniem staje. Coś on tam z Plauenem poszachrował... Ba, i Ziemko, i Kazik zaraz na swoje Mazowsze pociągnęli. Nie mogłem siedzieć dłużej, Boga mi, nie mogłem!

I bił się w piersi, aż po namiocie się rozlegało.

„Doszły też przecie wieści, jakoby Zygmunt Luksemburski, ten przechera, granice nam od południa najeżdżał — rozmyślał. — Nie, nie mogłem na to pozwolić".

Wreszcie klasnął w dłonie i kazał wezwać podkanclerzego Mikołaja, ażeby na jego łono swoje wątpliwości oddać i w mądrych jego słowach ukojenia szukać. A chociaż to już była

spóźniona pora, nikt jakoś do spoczynku się nie kwapił, bo im więcej od Malborka się oddalali, a wieści o miastach łamiących przysięgę dochodziły, tym więcej troska każdego żarła. Zjawił się więc zaraz podkanclerzy, a król począł:

— Nie mogę sobie dać rady z troską i smutkiem...

— Nie tylko najmiłościwszego pana troska pożera, aleć nas wszystkich, co jesteśmy mu wierni, a ziemię i naród miłujemy — westchnął Mikołaj.

Na chwilę obaj zamilkli.

— Nie mogłem dłużej pod Malborkiem mieszkać[44], wiecie już przyczyny, aleć nie mogę pozwolić, żeby się to Krzyżactwo znów rozpanoszyło — począł monarcha.

Podkanclerzy pojrzał nań, a nie spuszczając wzroku, badał twarz króla, jakby chciał wyczytać, jakie są jego zamiary. Lecz Jagiełło tak był zatopiony w myślach, że wzroku podkanclerzego na sobie nie czuł. Więc tenże począł:

— Najmiłościwszy pan każe przyboczną radę zwołać?

Król drgnął, jakby się z jakiegoś gnębiącego snu zbudził, i spytał:

— Zaliż jeszcze kto czuwa?

— Nikogo sen nie chce jakoś ukoić — odrzekł podkanclerzy.

— Niech przyjdą, razem jakoś nam raźniej będzie — rzekł Jagiełło.

I klasnął w dłonie.

Ukazał się Zbyszko z Oleśnicy.

— Nie śpisz? — rzucił król.

— Spisuję wszystko, jako przystało — odrzekł młodzieniec, uśmiechając się smutnie.

I zarumienił się cały. Król wydał rozkaz wezwania znaczniejszych panów.

— Kto tam jeszcze czuwa, niech pośpieszy — dodał.

Więc zaraz prócz Jana z Tarnowa i tych, którzy przed chwilą biadali nad odwrotem, przybył Zawisza Czarny i kilku jeszcze znakomitszych panów. A król ujrzawszy ich, uśmiechnął się i rzekł:

— Nie do snu nam i wypoczynku, póki znów walki nie rozpoczniemy.

— Nie, najmiłościwszy panie, nie, nikt spocząć nie może — westchnął Zawisza, a za nim wszyscy powtórzyli jednogłośnie:

— Nie, nie, Boga mi, nie!

I poczęli się naradzać. A król rzekł:

— Trzeba by ubiec tych Inflantczyków, co się sprzymierzyli z Krzyżactwem...

— Toć słyszę, ciągną pod Gołub — ozwał się Zawisza Czarny.

— I mnie ta wieść dochodzi. Więc zbieraj się i staw im, braciszku, czoło! — rozkazał Jagiełło.

— A też dobrze byłoby i w Nowej Marchii zabiec drogę Krzyżakom. Więc niechaj pan z Maszkowic przejdzie Wisłę — mówił dalej król.

— Niewielkać to rzecz, jesteśmy nie opodal Torunia, a tu Wisła nie tak szeroka — podchwycił Zyndram, a oczy mu poweselały.

I wszyscy jakoś poweseleli po tej naradzie. Król rozchmurzył czoło i mówił:

— Braciaszki, panowie radni, najmilsi rycerze, aż mi lżej po tej naradzie z wami!

I wszyscy jakoś nieco uspokojeni rozeszli się z myślą o nowej walce.

TABOR SALI

Po bitwie pod Grunwaldem tylu było rannych, zwłaszcza wziętych do niewoli Krzyżaków, że Sala z rozkazu Jana z Tarnowa musiała odjechać z nimi w głąb kraju.

— Szukaj jakiegoś bezpiecznego schronienia, posuń się ku dołowi Wisły. Tu ani jadła, ani wygody — mówił jej opiekun.

Sala byłaby rada dowiedzieć się czegoś o bracie i o Sienisze, lecz rozkazu trzeba było słuchać. Sama też wiedziała, że zwycięzcy nie potrzebują jej starań, a ranni żądni są bardzo wypoczynku.

„Gdzież może im być lepiej niż w Bobrownikach?" — pomyślała.

I rozkazała wozom, by się w tę stronę skierowały.

[44] *mieszkać* (tu daw.) — przebywać, zatrzymywać się. [przypis edytorski]

Wszyscy ranni, nie wyłączając jeńców krzyżackich, uważali ją za anioła opiekuńczego, najwięcej wszakże wdzięczność tę okazywał Karol, książę Fryzlandii. Od chwili jak przyszedł do przytomności, wypowiadał wyrazy podzięki, których wprawdzie Sala nie rozumiała, po sposobie jednak wyrażania, po głosie pełnym modlitewnego dźwięku, a przede wszystkim po spojrzeniu, domyślała się ich znaczenia. Nakazywała mu milczenie, które, jako ciężko choremu, koniecznie było potrzebne. Sama też unikała go i nieraz dzień cały nie zbliżała się do jego łoża. Wtedy Bonifacjusz, który nauczył się nieco mowy polskiej, zbliżał się i błagał, żeby choć na chwilę przyszła do jego wychowańca.

Tak książę, jak jego opiekun, między sobą rozmawiali w ojczystym swym języku, do porozumiewania się z otoczeniem i Salą używali mowy niemieckiej, której umyślnie się wyuczyli przed udaniem się do Malborka.

Sala przy częstych stosunkach z najeźdźcami z konieczności rozumiała tę mowę, starała się nawet o jej poznanie, mówiąc:

— Trzeba przecież wiedzieć, co oni między sobą szwargocą, jakie knują zamiary, aby łatwiej się od nich uchronić.

Od biedy mogła się nawet rozmówić niemiecką mową, używała jej jednak tylko z konieczności, a przy porozumieniu się tak z innymi, jak z księciem Fryzlandii, mówiła zawsze po polsku.

Po przybyciu do Bobrownik dała najlepszą, choć niewielką izdebkę dla Karola i Bonifacjusza.

— Najciężej chory, potrzebuje najlepszej wygody.

Więc chociaż sama nie zawsze się ukazywała, dbała, żeby gościom jej nie zbywało na niczym. A gości była moc. Zameczek bobrownicki nie mógł wszystkich pomieścić. Wielu umieściła w chatach chłopskich.

Przybora miał tyle do roboty, iż mimo całej czci, jaką nosił w sercu dla swej młodej pani, powtarzał:

— Jak dalej tak pójdzie, człowiekowi sił nie stanie! A mniejsza o siły, ale całe Bobrowniki pójdą na leki i jadło dla tych gości. Zjedzą je, ze szczętem zjedzą! I żeby to jeszcze swoi, aleć to Niemcy i zbieranina z całego świata, co nawet ludzkiej mowy nie rozumieją — dodawał.

Przy czym wykrzywiał się pociesznie, przekręcając jeszcze pocieszniej zasłyszane od onych obce wyrazy. Obawy wszakże, że całe Bobrowniki zjedzą owi goście, były płonne. Wieść bowiem o przybyciu całego obozu rannych rozeszła się po okolicy. Zaraz też z sąsiednich wiosek zaczęły się zgłaszać jejmoście, a która bogatsza, przewoziła do siebie po kilkunastu, inne zabierały choćby dwóch czy jednego, mówiąc:

— Jeżelić dziedziczka Bobrownik może mieć koło rannych staranie, pokażę, że i ja na Żabieńcu to samo potrafię!

A inne znów mówiły:

— Może tam mój syn, godnie pocięty, znajdzie u obcych opiekę...

— Albo i mój małżonek...

— Albo brat, ojciec — dodawały inne.

Boć przecie każda miała kogoś ze swoich bliskich na tej srogiej wojnie, na którą kto jeno mógł dźwignąć topór czy oszczep, pośpieszył, ostawiając na głowie niewiast starunek koło gospodarstwa i całego mienia.

Tak więc Drobin, Raciąż, Bieżuń aż po Wkrę z prawej strony do Raciąża i dalej, a za Wisłą po lewej stronie do Osięcin, a niżej za Duninowo, Gąbin aż do Wyszogrodu, wszędzie pełno było wylizujących się z ran swych chorych. Wszędzie doznawali gościnności i opieki. W niejednym z rannych poznawano krewniaka, a i wcale bliskiego sobie, wtedy nie było końca radości i wypytywaniu o przygody wojenne.

Swojacy, jak tylko mogli dźwignąć się o swoich siłach, pośpieszali do swoich siedzib, aleć było dużo Litwinów, którzy, jakkolwiek tęsknili do swoich lasów i domowych progów, nie mogli jeszcze tak od razu w tak daleką puszczać się drogę. Ile że listopad, nie czekając świętego Marcina, sypnął śniegiem, a i mrozem postraszał. Z konieczności musieli pozostać, a długie wieczory przy buchającym ogniem kominie nie cniły się nikomu.

Wierzenia

Niewiasty i dziewczęta przędły, przygodni goście opatrywali oszczepy, wiązali sieci, śpiewali pieśni, powiadali o wojnie, to o zwyczajach litewskich i nawzajem uczyli się, jak

też to żyją nad Wisłą. Żmudzini, że to jeszcze w pogaństwie żyli, nie mogli się wydziwić, że Bóg jeden, którego nad Wisłą wyznają, mocen jest nad wszystkich i wszystkiemu radę daje, kiedy u nich tyle bogów i do każdego trzeba się udawać, chcąc sobie jakąś łaskę wyprosić. Najwięcej zaś nie mogło im się pomieścić w głowie, że ten Bóg, wziąwszy na siebie postać człowieka, dał się umęczyć z wielkiej miłości dla ludzi i ludziom też wzajem kazał się miłować. I oto wśród tych gawęd padło pierwsze ziarno wiary, która potem z wielką gorliwością na całej Żmudzi się rozrodziła. A jak w pieśniach dziewczęta nie dały się wyprzedzić i ucząc się żmudzkich, pouczały swych gości tych, które nad Wisłą śpiewają, tak znów w opowiadaniu o świętej wierze starsze kobiety były niewyczerpane.

Po powrocie spod Malborka i ojcowie rodzin, i synowie ściągać do dom poczęli. Wielu się nie doliczono, ale przybyli upewniali, żeć ich widzieli żywych, jeno że albo się gdzie na Żmudź lub Litwę podczas odwrotu Witolda dostali, albo liżą się z ran jeszcze. Wtedy niewiasty z radością tego słuchały, pomnąc, iż mówiły:

— Może tam gdzie opiekę znajdzie...

I z większym jeszcze staraniem opiekę przygarniętym świadczyły. A tak owym obcym było dobrze, że niejeden, zwłaszcza z młodych Żmudzinów i Litwinów, myślał:

„Żebym sobie łaskę u ojców zaskarbił, może by mi córkę dali?... Ile że krzywym okiem na mnie nie patrzy..."

Spotkanie

— Dobrze by też taką żonkę na Żmudź przywieźć. Wiela by nauczyć mogła, a też dzieci inaczej wychowała — dodawano.

A ktoś z Litwinów myślał sobie:

„Jeżelić Jagiełło wziął sobie żonkę w Polsce i taką z niej miał świętą panią, czemuż bym i ja nie miał na taką trafić..."

I tak sobie myślano, i tak sobie dogadywano w ciszy, a owo przyjęcie pod dach chorych stało się zadatkiem połączenia rodzin polskich, litewskich, żmudzkich i zbrataniem dwóch sąsiednich, a jednakowo przez krzyżacką pięść nękanych narodów.

Święto, Obyczaje

A kiedy święta Bożego Narodzenia nadeszły w każdym dworze nakryto stół utkanym obrusem, podesłano sianem, w którym ukryto po kilka orzechów, goście wydziwić się temu nie mogli. Pytali więc każdego:

— Co to? Na co to?

— Obaczycie! — odpowiadały figlarnie dziewczęta, stawiając mak mielony z miodem, gotowane ulęgałki i pierniki staraniem ich upieczone.

Pan domu, jeżeli już przybył, albo dziadziuś stary, lub sama jejmość wziąwszy opłatek, z każdym go łamała, dodając życzenie:

— Obyśmy w dobrym zdrowiu za rok znowu się wszyscy naleźli...

Goście wtedy szeroko otwierali oczy i ze zdziwienia wyjść już nie mogli, bo takiego obyczaju zgoła jeszcze nie znali. Ale jakoś, patrząc na gospodarzy i domowników, na ich powagę i rozrzewnienie, wprędce się pomiarkowali, a do obyczaju się przystosowawszy, pięknie przy łamaniu opłatkiem wdzięczność swą wypowiadali. A zerkając na dziewczęta, z całego serca powtarzano:

— Obyśmy w dobrym zdrowiu za rok znowu wszyscy się naleźli!

Kiedy zaś poczęto stawiać misy ryb gotowanych i pieczonych, a pan domu nalawszy kubek miodem syconym, wychylając, zawołał:

— Za zdrowie moich gości! — goście, wznosząc napełnione kubki, łzami się zalewali i radości swej i rozrzewnienia nie mogli dość wypowiedzieć.

Nie tylko więc opowiadanie, ale i obyczaj do wiary świętej usposabiał, siejąc braterstwo między tymi znad Niemna a tymi, co nad Wisłą siedzieli.

W tym posiewie dopomogli wiela żaki[45], co ze szkółek podczas Bożego Narodzenia na wieś się zgłosiwszy, nie tylko kolędy śpiewali, ale też, przebrani stosownie, piękne opowiadania prowadzili.

Sala wraz z domownikami i gośćmi właśnie wieczerzę wigilijną kończyła, a sięgnąwszy pod obrus, wyjęła z siana garstkę orzechów.

— Co to, co to znaczy? — spytał Karol von Leuwarden.

Z chwilą bowiem wstąpienia do komnaty jadalnej i z całego wigilijnego obrządku rozumiał, że każdy ruch, każda czynność ma dziś w tym kraju symboliczne znaczenie.

[45] *żak* (daw.) — uczeń, student. [przypis edytorski]

Poetyczna jego wyobraźnia, podniecona jeszcze długą chorobą, przedstawiała sobie nie tylko Bobrowniki i ich właścicielkę, lecz wprost całą Polskę, cały naród jako w jakąś mistyczną szatę spowity.

„Kraj nasz może piękniejszy, bogatszy, ma ludzi uczonych, prowadzi handel z innymi narodami, ale w kraju naszym i wiara jest inna, choć niby taka sama, i rycerskość inna. A zwłaszcza Sala..." — myślał sobie.

Nic więc dziwnego, że widząc ową garstkę orzechów w ręku dziedziczki Bobrownik, z wielką skwapliwością po dwakroć zapytał:

— Co to znaczy?

— Wyjmijcie spod obrusa garstkę, jeżeli znajdziecie do pary, dola wasza będzie szczęśliwa — odrzekła Sala.

Omen, Smutek

Karol skwapliwie spełnił rozkaz. Przeliczył orzechy. Było ich siedemnaście. Posmutniał i westchnął. A Sala, widząc, że mu to przykrość sprawiło, przeliczyła szybko swoje orzechy i tęż samą liczbę znalazła. I ona jakoś posmutniała, a nawet lica jej nieco pobladły. Pokonała wszakże chwilowy smutek i odsuwając jeden ze swoich orzechów, rzekła:

Wzrok

— Weźcie ten jeszcze. Będziecie mieli do pary.

— I tak smutnej doli nie odwrócę — rzekł drżącym głosem Leuwarden. — Wezmę go jednak, nosić będę na sercu, jako dar z waszej ręki pochodzący.

Spojrzeli na siebie.

Oczy ich były smutne i tym smutkiem chwilę się porozumiewały. Sala pierwsza wzrok swój w inną skierowała stronę, a Karol, wyjąwszy z zanadrza duży złoty medalion wiszący na złotym łańcuchu, otworzył go i między włosy matki w nim będące dar Sali skwapliwie ukrył.

Wtem z podsienia ozwały się wesołe głosy. Byli to żacy z Lipna, ze szkółki przy kościele, oznajmiający, że z kolędą przybyli. Wprowadzono ich zaraz.

Obyczaje, Obrzędy

A oto trzech strojnych było w krasne szaty, z długimi brodami z konopi i przedstawiało trzech królów; trzech miało w ręku piszczałki; jeden zaś, najwyższy, dzierżył wielką tykę, na której w kształcie kuli obciągnięty był kawał wywoskowanego płótna, wewnątrz olejną lampką oświetlony. Migocąc ową kulą, niby gwiazdą, śpiewać poczęli:

Bóg się rodzi, moc truchleje[46],
Pan niebiosów obnażony.
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice Nieskończony...

Ocucony ze swego smutku Karol słuchał z zajęciem śpiewu i z dziwnym drżeniem i rozmarzony poglądał, gdy bogaci trzej królowie składali w ręce Sali jagody jałowcowe, kawałek bursztynu, znać z trudem wydostany z piasków znad Bałtyku, i kawałek kredy. A jeden z nich rzekł:

W kościele składane,
Godnie poświęcane,
Jeno złota tu brakuje,
Boć w twym sercu przemieszkuje ono.

Po wypowiedzeniu oracji żak wziął kredę i dość wprawną ręką na drzwiach wypisał: C. M. B. *anno* 1410.

Sala, przyjąwszy kadzidło, oddała je żonie Przybory, imci pani Benignie. Ta, wziąwszy węgli żarzących z komina w skorupkę, nasypała na nią jagód jałowcowych. Dym buchnął, ale i zapachem ostrym, leśnym napełnił komnatę. Po czym poszła w głąb dworzyszcza, następnie do obór, stajen i całego podwórca gospodarskiego, wszędzie wykadzając, ażeby wszelkie zło i choroby tak od dworu, jak i od dobytku odpędzić.

Żaków zabrano, ugoszczono, obdarzono chlebem, rybą suszoną, ulęgałkami, mięsiwem, a nawet dostało im się nieco i z odzieży, boć każdy na żaczków był łaskaw.

[46] *Bóg się rodzi, moc truchleje* — anachronizm: *Pieśń o Narodzeniu Pańskim*, napisana przez Franciszka Karpińskiego (1741–1825), nie mogła być śpiewana w 1410 r. [przypis edytorski]

Karol i Bonifacjusz, a także i Niemcy wylizujący się jeszcze z ran lub ostający w niewoli, w osłupieniu poglądali na to wszystko. A Karol rzekł, nachylając się do Sali:

— Dziwny kraj, dziwny naród, jak w cudownej bajce! A wy, jako królewna... I ja sprzysiągłem się z Krzyżakami i przeciw takiemu narodowi rękę podniosłem — westchnął i szczery żal poczuł w swym sercu.

I lice jego więcej jeszcze przybladło, a smutek coraz głębszy wżerał się w jego duszę.

Bonifacjusz, choć mu młody książę nic nie mówił, doskonale rozumiał, co się w jego duszy dzieje. Bolał srodze nad jego cierpieniem, rozmyślając:

„A gdyby tak ojca świętego o zwolnienie od przysięgi prosić, a zarazem o gwałtach krzyżackich, a pobożności i cnotach narodu powiedzieć?..."

NIEZADOWOLENIE

Wielki mistrz Plauen czuł, że dymiące zgliszcza Zakonu niełatwo do dawnej świetności powrócą. Pod Grunwaldem legło 18 000, w niewoli przeszło 40 000 i to najcelniejszych z całej środkowej i zachodniej Europy rycerzy. Z 700 braci zakonnych ocalało jeno 15.

— Klęska, klęska! — powtarzał sobie w chwilach zniechęcenia.

Wrodzona wszakże energia i chęć panowania nie pozwalały mu na smutne rozmyślania. Stawał więc na środku wielkiej komnaty, a wziąwszy się pod bok, w głos powtarzał:

— Nie myślcie, że to są zgliszcza Zakonu! Obaczycie, co na tych zgliszczach urośnie! — I wznosząc rękę, z groźbą dodawał: — Obaczysz, ty przechero Witoldzie i ty dumny Jagiełło! Ogłoszę przeciw wam krucjatę, jako niewiernym!

I słał po zamkach rycerskich całej Europy i do dworów panujących, i do papieża. Lecz papież, zajęty sprawami stolicy apostolskiej, nie dał żadnej odpowiedzi, dwory panujące uczyniły toż samo, a rycerze wprost orzekli:

— Nie widzimy dla siebie ni sławy, ni korzyści materialnej z tej rzekomej krucjaty.

Zgrzytnął zębami Plauen, nie wątpił wszakże, że mu coś szczęśliwszego przyjdzie do głowy.

— Mamy przecież dużo rycerstwa w niewoli, trzeba chwilowo zawrzeć rozejm; jeńców wypuści ten głupi królik.

A królik tymczasem otrzymał wieść, że pod Koronowem w Nowej Marchii 10 października odniesiono zwycięstwo, a dowódcę, Michała Kochmajstra, i wielu znaczniejszych rycerzy wzięto do niewoli. A zaraz potem doniesiono:

— Pod Gołubem nad Drwęcą do szczętu zniesiono Inflantczyków, którzy jakby spod ziemi wyrósłszy, przyszli w pomoc Krzyżakom.

Król zatarł ręce z zadowoleniem.

— Niewolnika dużo? — spytał.

— Będzie do dwóch tysięcy, i zacnego! — zawołał Jelitczyk, który po połączeniu się z wojskami Jagiełłowymi zaraz się do idących na wyprawę wprosił.

— Z tymi niewolnikami bieda — szepnął król.

— Co za bieda, każde dworzyszcze weźmie do chwili, póki najmiłościwszy pan coś z nimi nie postanowi, a okupu nieszpetnego nie naznaczy! — odparł pan Florian. I zaraz dodał: — Ci Inflantczycy to przewrotny i chytry naród niczym...

Chciał powiedzieć: niczym Litwini, ale się wprędce pomiarkował, żeć to i król z tego narodu pochodzi.

Jagiełło się uśmiechnął. Może się domyślił, ale nie badał. Kazał jeno zwołać radę i zaraz powołał pod broń Kujawy, Dobrzyńskie, Wielkopolskę, Sieradzkie, Łęczyckie. Tak że wielu, ledwo do dworzyszcz i chat wróciwszy, oszczepy a topory opatrywać musieli i na nową znów szli walkę. Nikt jednak nie utyskiwał. Przeciw Krzyżakom wielka była zawziętość, a niektórych i odwrót spod Malborka bolał setnie. Zwinął się też dzielny wódz, Sędziwój z Ostroroga, i nim słotny listopad się skończył, zdobył wiele miast na Pomorzu i z chorągwiami i zacnym łupem wracał. Zwycięstwo to tak królewskie, jak i panów koronnych oblicza rozpogodziło.

— Bóg wielki, sprawiedliwość czyniący, nie pozwoli tej krzyżackiej hydrze łba do góry podnosić! — powtarzano.

— I książę Witold powołał pod broń swoich, i gotów do walki pod Grodnem stoi — rzekł Jan z Tarnowa w jakiejś poufnej rozmowie z królem. — A i Żmudź gotowa choćby zaraz walkę rozpocząć. Przewodzi jej Geradajos, rycerz zacny.

— Geradajos? — powtórzył król. — Aha, to ten, co owe gołębice na Żmudź odstawiał.

— Tak, tak, najmiłościwszy panie — przyświadczył podkanclerzy Mikołaj.

A wszyscy się wielce dziwowali, że król przy tylu najrozmaitszych sprawach o odjeździe owych gołębic pamiętał. Lecz nie mniej był zdziwiony Plauen, gdy się o zbrojeniu Witolda dowiedział.

— Cóż to, mało obiecałem temu przecherze?! — wołał wzburzony.

Niemniej i zwycięstwa odniesione przez oddziały polskie, jako i zbrojenie Witolda, zaniepokoiły go jakoś. Niezwłocznie więc wysłał, prosząc o rozejm.

— Osobiście pragnąłbym się z królem polskim porozumieć — mówił do Leuchtera, pełniącego przy nim urząd sekretarza.

Leuchter zrozumiał, co te słowa znaczą, i podążywszy za obozem Jagiełły, spotkał go pod Raciążem. I póty używał swej olśniewającej wymowy, póki Jagiełło nie zgodził się na osobiste z wielkim mistrzem porozumienie.

Zjawił się też zaraz 8 grudnia Plauen w Raciążu, bo wyjechawszy jednocześnie ze swoim posłem, czekał jeno na jego wezwanie. Ksiądz podkanclerzy Mikołaj i Jan z Tarnowa oraz Zbigniew z Oleśnicy, jako rozumiejący mowę niemiecką, byli przy królu. A kiedy dwaj pierwsi z największą dokładnością powtarzali każdy wyraz wielkiego mistrza, Zbigniew zapisywał jeno całą rozmowę, ażeby ją dla potomności podać.

Z Plauenem był jeno Henryk Leuchter, jako znający mowę polską, Anton Ludwigsburg, jako pisarz i powaga Zakonu, i o dziwo, kulas Hilt.

Ten, chociaż jeno knecht, znał również mowę polską, potrzebny więc był do wysłuchania, co tam w obozie mówią, i do podpatrzenia, jaki duch w nim panuje. Hilt dumny był ogromnie z tej podróży. Wyjeżdżając mówił:

— I na głód, i na niewygody trzeba się narazić, gdy idzie o dobro Zakonu. A bez Hilta nic, nic! A może spotkam gdzie i Falsa, może do Polaków przystał, jeżeli go diabeł w tej grunwaldzkiej smole nie ugotował. Brrr! — Otrząsnął się i mrowie po nim przeszło. — Przecie bitwy nie będzie! — dodał dla dodania sobie odwagi.

Gość, Grzeczność

Falsa wprawdzie nie spotkał, ale też niewygód i głodu nie zaznał. Owszem, raczono go, ile wlazło, mówiąc:

— Pij, psiakrew, Niemcze, żebyś wiedział, że Polacy niczego gościom nie żałują!

— Nawet gorącej smoły nie pożałowalibyśmy takiemu!

— A czego nie zjesz, nie wypijesz, to ci choćby tym wtłoczymy w gardło! — dodawano ze śmiechem, pokazując miecz nieszpetny.

Hilt niby się bał, ale widząc, że jeno dla krotochwili tak mówią, śmiał się wraz z nimi. Był zaś pewien, że do żadnego gwałtu nie dojdzie, bo sumiennie wymiatał misy, a jeszcze sumienniej wysuszał dzbany. Łypał też na wszystkie strony oczyma jak wiewiórka, strzygł uszami jak zając, chwytał każde słówko, ażeby wielkiemu mistrzowi zanieść.

— Czego nie wyrozumiem, nie dosłyszę, nie dowidzę, to dodam, wymyślę. Od czegóż łeb na karku — mówił pukając się w cofnięte ku czaszce czoło.

Kiedy więc zawołano go, aby stał przy drzwiach za oponą podczas obrad prowadzonych na poły po polsku, na poły po niemiecku, a każde słowo doskonale pamiętał, nie był z tej godności zadowolony.

„Toć tam wielebny Anton Ludwigsburg wszystko spisuje..." — myślał sobie.

Stanął jednak. Ale i tu jakoś sobie radził. Idąc wziął pod opończę nieszpetną konew doskonałego, wystałego, chmielem zaprawnego piwa. Nie tylko mu tego nie broniono, lecz dodano jeszcze nieco starego miodu. Połykał więc, mlaskał językiem, głaskał się z lubością po piersiach i żołądku, łowiąc uchem, co tam panowie między sobą gadają. Ale naraz poczęło się wszystko kręcić koło niego, nie mógł się utrzymać na nogach, uderzył łbem o drzwi, otwierając je szeroko, i runął jak długi na ziemię.

Zerwał się wielki mistrz, zerwał się Henryk Leuchter, Anton zaś Ludwigsburg z wielkiego przestrachu wypuścił z rąk pióro, rozlewając na pergamin strugę inkaustu[47].

[47] *inkaust* (daw.) — atrament. [przypis edytorski]

Lecz Jagiełło i jego otoczenie spojrzeli jeno, nie drgnąwszy nawet. A oto oczom wszystkich ukazał się Hilt leżący jak długi na ziemi, ściskający mimo to konew, z której sączyło się jeszcze nieco brunatnego płynu.

Plauen, ujrzawszy knechta, stropił się jakoś, boć tym sposobem wychodziło na wierzch podsłuchiwanie. Spojrzeli na siebie panowie niemieccy, a Henryk Leuchter, chcąc ratować sytuację, rzekł:

— To nasz sługa, znać coś ważnego się stało, kiedy z wiadomością dotarł aż tutaj. Pozwoli najmiłościwszy monarcha i nasz mistrz wielki oraz prześwietne zgromadzenie, że o przyczynie się dowiem — mówił kłaniając się dokoła.

Jagiełło uśmiechnął się i skinął głową, Jan z Tarnowa i inni spojrzeli na siebie porozumiewająco, a Zbyszko, kryjąc śmiech w kułak, przy oddzielnym stole zapisywał całe zdarzenie.

Tymczasem straż, stojąca przy drzwiach, podnosiła kulasa. Ten szamotał się wołając:

— Kazał mi wielki mistrz, najdostojniejszy pan mój, stać tutaj, stoję! Czego chcecie?!

Dopiero gdy Leuchter dłoń swą ciężką położył mu na karku i popchnął, dał się wyprowadzić bełkocząc:

— Wielki mistrz kazał... Godny naród... Napitek... Ale konew...

Przerwane tym epizodem obrady rozpoczęto na nowo. Lecz czy kulas poplątał ich wątek, czy inna jakaś przyczyna, dość że nie doszło do porozumienia. Dopiero na drugi dzień zjechano się w Nieszawie. Przybyło jeszcze więcej panów polskich i niemieckich i uradzono pięcioniedzielny rozejm.

Przez ten czas obie strony miały rozważać podane warunki pokoju, a Henryk von Plauen tyle tylko skorzystał, że Jagiełło za niewielkim okupem, i to za znamienitszych rycerzy, wypuścił do 20 000 jeńców. Inni wprost nie chcieli wracać.

— Wygrana! — zawołał Plauen. — Mając tylu rycerzy, po miesiącu rozpoczniemy walkę!

Lecz Anton Ludwigsburg spuścił jeno głowę i szepnął w sobie:

„Próżno, toć to jeno zgliszcza Zakonu".

I miał poniekąd słuszność. Wielu rycerzy było tak okaleczonych, często bez ręki, nogi, oka albo i obydwóch, że mogli jeno zaświadczyć o pogromie pod Grunwaldem. Inni mówili:

— Nie czujemy się jeszcze na siłach, trzeba do siedzib swoich!

Mała jeno garstka awanturników przy Krzyżakach została. Ci, tak samo jak i inni, opowiadali o wielkiej gościnności Polaków, dodając:

— Wszelako oni barbarzyńcami nie są, owszem, grzeczny naród.

Jeno Karol, książę Niderlandów i Fryzlandii, nic nie opowiadał. I on bowiem wrócił, nie dając za siebie żadnego okupu, lecz serce, myśli, część siebie samego w Bobrownikach zostawił.

Sala z każdym dniem stawała mu się droższą. Lecz dziedziczka Bobrownik, spełniając prawa gościnności i obowiązek dozorczyni chorych, niczym nie dała poznać, że i on nie był jej obojętny.

— Jestem związany przysięgą zakonną — rzekł raz smutnie. — Nie znałem krzyżackiego zakonu, nie znałem polskiego narodu...

— Jesteście naszym nieprzyjacielem? — spytała Sala.

— Ja nieprzyjacielem najszlachetniejszego narodu?! — zawołał Karol.

— A jednak stanęliście przeciw nam z Krzyżaki!

— Stanąłem jako rycerz chrześcijański idący na krucjatę przeciw poganom...

— My poganie?! — krzyknęła Sala.

— Wy, wasz król jesteście prawdziwi wyznawcy Chrystusa. Powiedziano mi mylnie... Oszukano... Chcę szukać w Rzymie zwolnienia ze ślubów zakonnych, chcę zerwać z Krzyżaki!

Sala nic na to nie rzekła, spuściła jeno głowę. A książę począł:

— Ty, coś się mną tak opiekowała, Salo, ty jesteś aniołem... Polak, Anioł, Oświadczyny

— Nie, ja jestem Polką — przerwała podnosząc głowę.

— A jako Polka, czy złączysz swe losy z księciem Fryzlandii, gdy otrzyma od papieża zwolnienie z przysięgi?

Sala chwilkę milczała. Karol oczekiwał wyroku.

— Polką być nie przestanę, kraju mego nie opuszczę — rzekła wreszcie, siląc się na spokój.

— Wygnaniec z ojczystego księstwa, pragnę kraj twój za swój przyjąć, pragnę bezwiedną przeciw twemu narodowi winę nagrodzić...

Była długa chwila milczenia. Sala walczyła sama z sobą, ważyła swoje obowiązki i uczucie, jakie książę w niej wzbudził.

Karol po raz wtóry oczekiwał wyroku.

Wreszcie Sala podniosła głowę, a podając mu rękę, rzekła:

— Niech cię Bóg prowadzi, szukaj w Rzymie rozwiązania ślubów zakonnych.

— Salo, wracasz mnie powtórnie do życia! — zawołał książę.

I z sercem pełnym otuchy Bobrowniki wraz z Bonifacjuszem opuścił.

Uważał sobie za obowiązek wrócić do Malborka, opowiedzieć się wielkiemu mistrzowi, bo przecież na posłuszeństwo przysięgał. Wrócił więc milczący, w sobie zamknięty. Na wzmiankę jednak o wojnie rzekł:

— Najmiłościwiej proszę wielkiego mistrza o pozwolenie udania się do Rzymu... Ślub uczyniłem.

Plauen pojrzał na niego i nagle znać jakaś myśl mu błysnęła, rzekł więc przychylnie:

— Wszelkie śluby Zakon wielce szanuje i do szanowania onych stowarzyszonych skłania. Jedź więc, bracie miły, a że jesteś przykładnym synem Zakonu, dodamy ci na wet stosowne otoczenie, ażebyś mógł przed ojcem świętym godnie stanąć.

— Pragnę jako pielgrzym ubogi podróż tę odbyć — odparł przyciszonym głosem książę.

— Wysoko cenię twą pobożność, niemniej obowiązkiem naszym wysłać jednocześnie doświadczonych ludzi, którzy choć z dala będą nad twym bezpieczeństwem czuwali.

To rzekłszy, Plauen odwrócił się, czym dał znak, że dyskusję uważa za wyczerpaną.

Ten orszak, czuwający nad bezpieczeństwem młodego księcia, nie był dlań pożądany, zaś dla wielkiego mistrza był pod tę chwilę koniecznością, myślał bowiem:

„Na tego młokosa liczyć nic nie można. Słaba głowa. Oddany dewocji, ale ma stanowisko wśród dworów. To zawsze popłaca. Będzie kołkiem, ale w książęcej skórze. Sprzysiężony z Zakonem... Na prawdziwego przedstawiciela naszej sprawy trzeba wybrać... — Tu zamyślił się przebiegając myślą komturów i znakomitszych rycerzy Zakonu. — Henryk Leuchter byłby najodpowiedniejszy, ale ten na miejscu potrzebny... — Zamyślił się. — Prawda, Michał Kochmajster, którego głupi Jagiełło nawet miesiąca w niewoli nie trzymał, a bez okupu wypuścił..."

I uśmiechnął się drwiąco. A jako postanowił, tak zaraz wydał stosowne polecenie.

Prócz tego pchnął poselstwo do Karola Szóstego, króla francuskiego, do Henryka Czwartego angielskiego, do Zygmunta Luksemburskiego niemieckiego i do wielu znakomitszych rycerzy, przedstawiając Jagiełłę jako barbarzyńcę z poganami sprzyjaźnionego, nie dającego spokoju Zakonowi, a tym samym nie pozwalającego mu rozszerzać wiary świętej.

Czy dwory w to uwierzyły, czy w ich interesie było pomagać Zakonowi, dość że pomoc przyrzekały, a przede wszystkim u papieża sprawę Zakonu w myśl Plauena poparły. Podnosił więc wielki mistrz coraz więcej głowę, a chociaż doskonale rozumiał, że świetność Zakonu pogrzebana, puszył się i z właściwą sobie energią uderzając pięścią w stół, mówił:

— Na zgliszczach nowy zbuduję!

Papież, Jan XXIII[48], miał właśnie dużo kłopotu z utrzymaniem się na stolicy Piotrowej, pozbył się więc Krzyżaków, przyznając im słuszność. To jeszcze więcej rozzuchwaliło wielkiego mistrza. O wojnie myśleć nie mógł, bo siły jego były wyczerpane, a zachodni rycerze nie daliby się wciągnąć w walkę z narodem, który nauczyli się szanować. Przystał więc na zawarcie pokoju.

I oto 1 lutego 1411 roku zawarto go w Toruniu.

[48] *Papież Jan XXIII*, własc. *Antypapież Jan XXIII* — Baldassare Cossa (ok. 1365–1419), jeden z 3 urzędujących ówcześnie papieży, tzw. obediencji pizańskiej, popierany przez część państw europejskich, w tym przez Polskę. W tym samym czasie w Rzymie papieżem był Grzegorz XII, a w Awinionie Benedykt XIII. Takie rozbicie władzy papieskiej nosiło nazwę wielkiej schizmy zachodniej i trwało od 1378 do 1417 r. Imię Jana XXIII przybrał w XX w. Angelo Giuseppe Roncalli (1881–1963), papież w latach 1958–1963. [przypis edytorski]

Przy układach był sam król, był Witold, było bardzo wielu panów polskich i litewskich, lecz pokój ten nie przyniósł korzyści, jakich się można było po zwycięstwie grunwaldzkim spodziewać.

— Tyle ziem zostało przy Krzyżakach! — wołano.

— Za tyle krwi przelanej, za tylu wydanych jeńców ledwo 100 000 kop groszy mają wypłacić, toć kpiny!

Rzeczywiście, po takim pogromie, jakiego doznali Krzyżacy pod Grunwaldem, zbyt małą ponosili w ziemiach i bogactwie szkodę.

— Witold wszystkiemu winien!

— Wszedł w układy z Krzyżaki! — wołano w Koronie.

A na Żmudzi i Litwie obwiniano Jagiełłę, mówiąc:

— Dba on jeno o Polskę, nas na uboczu zostawia.

— Toć ułożyli, że Żmudź po śmierci Jagiełły i Witolda pójdzie pod pięść Krzyżacką — biadano.

UAGA

W dworzyszczu Geradajosa miasto[49] radości z powrotu Uagi zapanował przygnębiający smutek.

Uaga spełniała wszelkie polecenia, wprędce prząść się wyuczyła, słuchała pilnie, co do niej mówiono, rozumiała już mowę litewską, sama jednak uczyła się z trudnością ojczystej mowy. Nigdy też wesołością nie zadźwięczał jej głos dziewczęcy, nigdy nie tuliła się z pieszczotą do matki, nie skłoniła do nóg rodzica. Z Peledą rozmawiała tyle jeno, ile konieczność wymagała. Do domowników nie starała się zbliżyć. Od służby wprost stroniła.

I oto, zamiast wiosny, którą młodość wśród najtęższej zimy przynosi, zawisły jakieś mgły i chmury w Geradajosowym dworzyszczu. Chmury cięższe może niż dawniej, bo wywołane zawiedzioną nadzieją.

— Rozrusza się, rozrusza, przywyknie — pocieszała Peleda.

Pocieszała, sama słowom jednak swoim nie dowierzając.

Jeszcze póki była Żwajżgda i Kregżda, smutek i przygnębienie nie dały się tak odczuwać, wesołością bowiem swoją napełniały wszystkie kąty. Lecz wkrótce znaleźli się prawowici rodzice, którzy tyle dowodów prawowitości swojej złożyli, iż nie można ich było od dziewczątek odsądzać, ile że i one, wiele sobie przypominając, szczebiotały o tym bez ustanku.

— Czemu nasza nie taka, czemu? — pytała imci pani Geradajosowa małżonka, żegnając swe ulubienice.

— Bo już dziewka dorodna, niezadługo i o mężu trzeba pomyśleć — pocieszał żonę.

Lecz pani Skruzda kiwała głową i mówiła:

— Gdyby nie to, że mnie od razu do niej serce pociągnęło... A możem się omyliła?...

— Ee, co za gadanie! — oburzał się małżonek. — Toć jak dwie krople wody podobna do ciebie!

W duszy jednak i tak, i owak sobie myślał, powtarzając:

— No, no, gdyby nie to podobieństwo! Nie ma co, trzeba ją za mąż wydać!

I upatrywał sobie godnego zięcia, tym więcej że po zawarciu pokoju toruńskiego do żadnej wyprawy się nie szykowano. Lecz Uaga jaka była dla rodziców i domowników, taka była i dla gości zjeżdżających się z różnych stron dla podzielenia z Geradajosami radości z szczęśliwego powrotu córki.

Geradajos, jak był dzielny i wytrwały w walce z Krzyżaki, tak był wytrwały i wierny swym bogom. Małżonka jego wierzyła w opiekę starego dębu, rozrosłego o kilka staj[50] od ich dworzyszcza, podtrzymywała znicz domowy, a gdy na chwilę przygasał na urządzonym ku temu palenisku, na którym nigdy się nic nie warzyło, podsycała go gałązkami jałowca, roznoszącymi woń przyjemną. Nie brała się też do jadła, póki pierwej łyżki czy kęsa nie wrzuciła w ogień, wymawiając:

---

[49] *miasto* (tu daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

[50] *staja*, *staje* a. *stajanie* — daw. miara długości, w różnych okresach i okolicach licząca od 100 do 1000 m. [przypis edytorski]

— *Szławe diewus*[51]!

Węże w dworzyszczu były tak oswojone, że przypełzłszy do jedzących, podnosiły łeb, otwierały paszcze i syczeniem dopominały się datku. A jak państwo, tak dworzanie i służba w wielkim poszanowaniu je mieli, a wszystkich obrządków pilnie przestrzegali. Tak zaś państwo, jak i otoczenie wiarę Chrystusową, jako wiarę przez Krzyżaków narzucaną, mieli w wielkiej ohydzie i wprost z lękiem, ba, nawet ze wstrętem się o niej wyrażali.

Uaga znów ze wstrętem i lękiem patrzyła na obrządki pogańskie i węże tak poufale w domu jej rodziców żyjące. Bolało ją też lekceważenie wiary Chrystusowej, bolał ją brak znaku krzyża świętego, który w wielkiej tajemnicy codziennie na czole swoim kładła. Ochrzczona wraz z wieloma innymi zaraz po przybyciu do Malborka, wychowywana również wraz z innymi poza murami zamku, w mieście, pod opieką jakiejś starej pobożnej kobiety umiłowała nową wiarę, wskazującą jej niedościgłą, nieziemską, a pełną uroku przyszłość.

W murach zamku była jeno czas krótki, to jest od chwili, gdy spalono miasto, nie miała więc czasu rozpatrzeć się w życiu Krzyżaków, w ich przewrotności. Nie wnikała w żadne pobudki, jakie nimi kierowały przy zabieraniu dzieci żmudzkich i litewskich, wierzyła, że doprowadzanie do wiary świętej głównym ich było celem. Uwolnienie tylu dziewcząt, odesłanie ich do rodziców uważała za akt wielkiej gorliwości w krzewieniu wiary. Innych pobudek, innych celów nie znała, nie rozumiała.

„Jeżeli są jeszcze tacy, co nie wierzą w prawdziwego Boga, opowiem im, uwierzą!" — myślała wracając z całą prostotą dziewiczej, nie skażonej duszy.

W drodze nie rozumiała jeszcze ojców swych mowy; od chwili gdy zaczęła ją nieco pojmować, pojmowała jednocześnie, że wszyscy, co ją otaczali, byli poganami.

Dom więc, rodzice, domownicy, służba, słowem, całe Geradajosy, ze swymi obrządkami pogańskimi, stały się dla niej obce. Ona z nimi, oni z nią nie mieli nic wspólnego.

Próbowała też nieraz opowiadać o jedynym Bogu; że jednak dostatecznie mowy litewskiej nie umiała, plątała wyrazy niemieckie, które jeno oburzenie w słuchaczach wzniecały. Po wielekroć razy chciała upaść do nóg matce, wyznać, że jest chrześcijanką, prosić, żeby i ona wiarę tę przyjęła, ale jeden błysk oczu, jedno słówko niechętne dla prawdziwej wiary i ich krzewicieli ochładzały Uagę w zapale.

— Później to uczynię — mówiła sobie.

Tymczasem mowa niemiecka, oschłość i chłód od niej wiejący, miasto zbliżać, oddalały ją od nich. Wyradzała się wprost obopólna niechęć.

„Gdybym tak ścięła ten wielki dąb uważany za świętość? — myślała sobie, kopiąc się po głębokim śniegu i przypatrując rozłożystym, smutnym konarom drzewa.

Przypatrywała się długo i wyniosła to przekonanie, że nie jeden jej topór, lecz kilkadziesiąt nie poradziłoby olbrzymowi.

— Miłowanie ma dla świętego dębu — mówiła Peleda, wskazując ją swej pani.

— Oby natchnął ją i odmienił — wzdychała strapiona matka.

A Uaga, spojrzawszy na wielki pień, na wykrzywione dziwacznie gałęzie, na chrzęst wywołany poświstem zimowego wichru, z drżeniem się odwracała, mówiąc:

— Nie, nie!

I mimo woli strach ją przejmował. I kilka razy tak się zaciekała, wracając zawsze z jakimś zabobonnym strachem. Co więcej, widok starego dębu budził w niej jakąś cześć i dziwne umiłowanie. To znów przychodziło jej na myśl:

— Zgaszę ten święty znicz!

I stawała przed ogniem, namyślając się, jak by płomienie zgasić.

A kiedy raz, wielce zadumana, wpatrywała się w jego ciemnoczerwone płomienie, prześliznął się koło niej wąż i podniósłszy łeb, zasyczał. Uaga odskoczyła od paleniska, lecz wstrętny gad popełzał za nią, sycząc coraz głośniej. Co gorsza spomiędzy polnych kamieni, którymi podłoga izby była wyłożona, gady, zwabione sykiem swego towarzysza, ze wszystkich stron zaczęły wyłazić, otaczając wystraszoną dziewczynę. Uciekła przed nimi, ukryła się w swej bokówce[52], wzięła w rękę krzyżyk, który sama sobie z dwóch

[51] *szławe diewus* (litewskie) — cześć bogom. [przypis autorski]

[52] *bokówka* — mały pokój, położony obok dużej, wspólnej izby, świetlicy. [przypis edytorski]

drewienek związała, padła na kolana i zatonęła w głębokiej modlitwie. Nie słyszała nawet skrzypnięcia drzwi, usłyszała jeno rozpaczliwy krzyk matki i runięcie jej ciała na podłogę.

Podbiegła do niej, podniosła obejmując silnym ramieniem, lecz matka ją odtrąciła, wołając:

— Precz! Tyś Niemka, Niemka!

Niemka i chrześcijanka w pojęciu Geradajosowej było to jedno. Wiara szła do nich od Niemców, niemiecka więc dla Żmudzi była.

Na krzyk pani wbiegła Peleda, zdziwionymi oczyma pojrzała, na chwilę błysk radosny rozjaśnił jej źrenice na widok obejmującej matkę Uagi. Lecz gdy usłyszała:

— Ona Niemka, Niemka! — zrozumiała od razu, co zaszło.

Od dawna domyślała się, że Uaga jest chrześcijanką, domysłami jednak z nikim się nie dzieliła.

— Przecie i Litwini wierzą w jednego Boga, a nie są Niemcami. I ta święta królowa, co zmarła... — poczęła sługa.

Lecz Skruzda nie dała się przekonać, powtarzała jedno i jedno:

— Wiedziałam, że tak będzie, że nie oddadzą takiej, jak była! Oby była na wieki zginęła! Srom, hańba!

I wspierając się na ramieniu Peledy, szybko opuściła bokówkę.

Uaga stała wciąż w jednym miejscu, z rękami skrzyżowanymi na piersiach oczy wznosiła ku górze, jak gdyby szukała opieki Najwyższego. Lecz miasto błękitu nieba widziała jeno czarne, okopcone belki, przygniatające ją niejako swoją ciemnością. Runęła więc na ziemię z rozkrzyżowanymi rękoma i z głębi zbolałej duszy poczęła wołać Tego, który oddał życie swe dla zbratania wszystkich ludzi.

Tak ją zastał ojciec.

Geradajos nie widział nigdy modlących się w ten sposób, przeląkł się więc, a zbliżywszy się, podniósł ją delikatnie i przytulił ku sobie.

Religia, Konflikt, Matka, Córka

Uaga złożyła głowę na jego piersi i po raz pierwszy zalała się łzami. Ze łzami tymi spłynął ból tak długo tajony, szepnęła więc:

— Ojcze, jam wasza, lecz chrześcijanka!

Rycerz drgnął.

Widział już tylu chrześcijan, rozumiał, że jest różnica między Niemcami a chrześcijanami, którzy bronili się od krzyżackiego najazdu. Bądź co bądź Uaga, chrześcijanka czy poganka, była jego córką, córką, przez tyle lat opłakiwaną. Przytulił ją więc po raz wtóry do piersi, położył dłoń szeroką na jej jasnych włosach i wyszedł, nic nie mówiąc, z bokówki.

Lecz w dworzyszczu zapanował teraz mrok zupełny, cisza przygnębiająca, życie w najstraszniejszej rozterce. Córka unikała matki, matka nie chciała widzieć córki, odtrącała nawet Peledę, gdy ta usiłowała je pojednać.

Co gorsze, nastąpiła jakaś głucha rozterka między małżonkami.

Geradajos widział w Uadze utraconą córkę, Geradajosowa widziała jeno Niemkę.

— Odmienili ją, urzekli! Gdyby była prawdziwą Uagą, nie byłaby Niemką! Precz ją wygonić! Nawet węże podnoszą łby do góry, czują w niej Niemkę! Psami wyszczuć, spalić! — wołała.

— Nie! — zawołał groźnie Geradajos.

To „nie" uratowało życie Uagi. Lecz co to było za życie!

Jak jejmość Skruzda, wszechwładna pani w całym dworzyszczu, tak wszyscy odwracali się od Uagi. Gdy przemówiła do jakiego dziecka lub chciała je wziąć za rękę, uciekało z krzykiem, kryjąc się za węgieł, a słudzy i dworzanie spod oka na nią patrzyli. Jedna tylko Peleda okazywała jej życzliwość, z którą wszakże musiała się kryć przed ukochaną swą panią.

Uaga z nadejściem wiosny kryła się dzień cały w lesie. Tu mogła się modlić. Lecz z tą modlitwą kryć się również musiała.

Gdy wiosenna burza drzewami wstrząsnęła, Uaga myślała sobie:

— Drzewa gniewają się, że im zakłócam spokój...

I oto ona, która w drodze myślała sobie:

„Nawrócę ich wszystkich, będą jako pierwotni chrześcijanie!"

Teraz żyła bezradna, nie umiejąc pięknych swych marzeń urzeczywistnić.

Aż oto pewnego dnia znaleziono nieszczęśliwą w lesie, ale znaleziono ją nieżywą. Odzież miała poszarpaną, twarz mocno zeszpeconą, włosy z czaszki obdarte.

— Niedźwiedź ją pogłaskał — zawyrokowali ci, co ją znaleźli.

Przyniesiono ją i złożono nie opodal świętego dębu. Skruzda ni jednej łzy nie uroniła.

— Kara bogów, wola bogów! — zawołała jeno, wpatrując się w oszpeconą twarz córki.

Geradajos ryknął ciężkim płaczem i rzucił gałąź na zeszpeconą twarz córki. A słudzy rzucali również gałęzie, aż usłali z nich stos wielki. Wtedy Peleda podpaliła stos ze stron wielu.

Buchnął ogień, ogarniając jedlinowe i świerkowe igły. Zatrzeszczało, zahuczało i płomienie ogarnęły zwłoki Uagi. I długo, długo palił się stos, nim zwęglił młode członki.

Skruzda patrzyła na stos ten rozszerzonymi oczyma. Z trudnością ją od niego oderwano. Geradajos, nic nie mówiąc, wziął oszczep i odszedł. A płaczki według zwyczaju zawodziły, powtarzając:

— Uaga! Uaga!

A gdy w jakiś czas została jeno kupa dymiącego popiołu, Skruzda kazała nad nim usypać mogiłę, a obejmując ją, mówiła:

— Teraz mam córkę.

I śpiewała pieśni, jakby ją do snu kołysząc. Wkrótce znaleziono ją nieżywą na mogile córki.

Usypano obok drugą.

O Geradajosie nikt nigdy nic nie słyszał. Nad jego dworzyszczem zawisły czarne mgły i dąb stary szumiał pieśń żałobną.

Znicz wygasł do szczętu.

NA ZGLISZCZACH ZAKONU

Krzyżacy, mimo stosunkowo korzystnego dla nich pokoju toruńskiego, również nie byli zadowoleni.

Sam mistrz Henryk von Plauen, ilekroć o tym pokoju była mowa, zwracał zaraz rozmowę na co innego. Sam zaś z sobą mówił:

— Musielibyśmy chyba całą Litwę i Polskę zagarnąć, żeby wynagrodzić straty. To wszystko, co mamy, nie pokryje zgliszcz Zakonu i zniesławienia nas w Europie.

W całym zaś Zakonie jakieś ukryte głosy jak zjadliwe gady poczęły się przeciw Plauenowi podnosić.

— Nie umiał wyzyskać chwili. Przyjął opłatę 100 000 kop groszy. Skąd ich wziąć? — mówił Marcin Herencog, komtur Świecia.

— Skarb wielce wyczerpany... — szepnął Henryk Leuchter, marszałek Zakonu.

— Przecie wy głównie robiliście układy, was głównie do tego używał! — syknął ktoś urągliwie.

— Prawda, lecz spełniałem jeno polecenia wielkiego mistrza, sam z siebie nic nie wysnuwając — rzekł układnie marszałek.

Zaśmiano się na całe gardło. Leuchter zdawał się tego śmiechu nie słyszeć i począł:

— Mistrz Plauen położył wielkie zasługi, uratował Malbork...

— Który jest tylko zgliszczem dawnej świetności — przerwał Anton Ludwigsburg.

Inni kiwnęli głowami potakująco.

— Według mnie wszakże — ciągnął dalej Leuchter — nie trzeba było przystawać na pokój, jeno dalej walkę prowadzić.

— Czym?! Kim?! — zawołano jednogłośnie.

— Ludzie legli pod Grunwaldem i Tannenbergiem, pieniędzy w skarbie nikt ze świecą nie znajdzie! — wołano.

— Nie trzeba było walki rozpoczynać, nie wiedząc, jakie są siły przeciwnika — rzucił ktoś.

Zawrzało jak w ulu i wrzało dalej. Niezadowolenie rosło, jedność zakonna coraz więcej była podkopywana, a wszechwładza wielkiego mistrza chwiała się jak budynek, z którego fundamentów pousuwał ktoś największe kamienie.

A Plauen, mimo zawartego pokoju, wysyłał od czasu do czasu małe oddziałki na Żmudź, niby dla zobaczenia, czy tam wszystko spokojnie, w rzeczywistości zaś dla zabrania dobytku nieraz najbiedniejszej ludności.

W Zakonie wytworzyły się dwa stronnictwa.

Jedno, bardzo nieliczne, z Henrykiem von Plauenem, stryjecznym bratem mistrza, na czele; drugie, bardzo liczne, z Michałem Kochmajstrem, obecnym komturem Torunia. Ten otworzył gościnne wrota swojej komturii, zapraszając głównych przedstawicieli dla narady. W gruncie zaś chował śmiałe zamiary, by po zrzuceniu Plauena z mistrzostwa sam na to dostojeństwo został obrany.

Stryjeczny mistrza Plauena, stanąwszy w dumnej postawie, gorąco bronił swego krewniaka, wołając:

— Mistrz Plauen energią swą uratował honor Zakonu, ochronił go od zagłady!

A Michał Kochmajster wrzasnął:

— Mistrz Plauen swą gwałtownością popchnął Zakon do ostatecznej zagłady!

— Tak, to są już tylko zgliszcza Zakonu — szepnął Anton Ludwigsburg.

I dalej wrzało na niekorzyść Plauena.

— A poza Zakonem jeszcze większa niechęć ku Krzyżakom wzrosła. Wysyłanie oddziałów na Żmudź i Litwę, zdzierstwa i grabieże usposabiają jak najgorzej ludność. Jeżeli dawniej patrzono na Zakon z bojaźnią, teraz na widok białego płaszcza z krzykiem uciekają chowając, co mają najdroższego, chowają zaś najskrzętniej kobiety i dzieci — zakończył Kochmajster.

— Matki straszą Krzyżakiem dzieci, a nawet psy na wołanie: „Krzyżaki" wyć poczynają — dodał ktoś z jego stronnictwa.

Jedni więc na to przemówienie Kochmajstra kiwali potakująco głowami, drudzy uśmiechali się urągliwie, Marcin zaś Herencog, obecny komtur Świecia, rzekł:

— A Władysław Jagiełło korzysta z tej niechęci i czyni kroki, żeby Litwę z Polską połączyć.

— I połączył — wrzasnął Kochmajster. — Skorzysta z niechęci, jaką zaszczepił Plauen i całą ludność Litwy i Żmudzi ku sobie nawróci! — zakończył.

— I nam będzie urągał — dodał komtur Elbląga, Wilhelm Wallenrod.

— A czy to tylko Żmudź i Litwa tak zniechęcona? Trzeba widzieć, co się dzieje koło Świecia — ozwał się znów Herencog.

— Albo koło Elbląga! — dorzucił Wallenrod.

— Albo i koło Królewca!

— I koło Torunia!

— I Kwidzynia!

— Albo i Grudziądza!

I tak jeden po drugim wymieniali miasta będące pod ich rządami.

Wrzało coraz głośniej, jak gdyby ktoś dorzucał drew pod kocioł, w którym nakryta szczelnie woda nie mogła znaleźć ujścia do wylania się na zewnątrz.

— Co to szukać daleko! — wrzasnął znów Kochmajster, a stanąwszy wyciągnął dłoń przed siebie i mówił: — Tam, tam, koło samego Malborka, głównej siedziby Zakonu, gdzie tyle dobrodziejstw Zakon posiał: zakładał miasta, uczył rzemiosł, rozszerzał handel, z barbarzyńców czynił ludzi, bogacił ich, dziś ludność wre na Krzyżaków niechęcią i każdemu by z ochotą mizerykordię[53] w gardło wcisnęła! A wszystko to ucisk, ucisk, jeszcze raz ucisk i nieumiejętne postępowanie Plauena.

Stronnictwo Plauena, i tak bardzo nieliczne, coraz więcej porozumiewało się wzrokiem i coraz więcej przyznawało słuszności swoim przeciwnikom. Jeden tylko brat mistrza podnosił jego zasługi, szukając głosem i wzrokiem poparcia u swoich stronników. Z bólem wszakże widział, że głos jego jest najzupełniej odosobniony.

— Trzeba ratować Zakon! — zawyrokował Wilhelm Wallenrod.

— Trzeba! — zawołali wszyscy jednogłośnie, nie wyłączając garstki stronników mistrza Plauena.

---

[53] *mizerykordia* (z łac. *misericordia*: miłosierdzie) — niewielki miecz, sztylet, służący m.in. do dobijania rannych (stąd jego nazwa). [przypis edytorski]

— Mistrz Henryk von Plauen wiem, że obmyśla środki ku temu, ma nawet zamiar rozpocząć wojnę z Polską — począł brat jego.

— Cha! cha! cha! Cha! cha! cha! — zaśmiano się na całe gardło.

A potem, jak w zamku malborskim na poufnej naradzie, wrzaśnięto z całą wściekłością:

— Kim?!

— Czym?!

I znów śmiech piekielny, szyderczy napełnił całą salę.

Gdy się nieco uciszyło, ozwał się słodkim głosem milczący Henryk Leuchter, marszałek Zakonu:

— Można by poddać jakąś dobrą myśl najdostojniejszemu wielkiemu mistrzowi Plauenowi ku naprawieniu złego, które bez złej woli uczynił.

— Zło szło przez lat wiele każdą szczeliną, a teraz i otwartymi wrotami niełacno je wypędzić — rzekł Marcin Herencog.

— A jednak musimy je wypędzić! — zawołał grzmiącym głosem Michał Kochmajster.

— Musimy!

— Musimy! — poparto go ze wszech stron, zwracając nań wzrok jako do jedynej przystani, która im może dać jakiś ratunek.

Jeno brat wielkiego mistrza siedział ze spuszczonym wzrokiem.

Michał Kochmajster dał jakiś niepostrzeżony znak Henrykowi Leuchterowi, a ten nie odzywając się już ani słówkiem, wymknął się z posiedzenia.

A w komnacie wrzało i wrzało. Stare wino z piwnic Kochmajstra, napełnianych daniną kupców z Torunia i całej komandorii, podniecało umysły, rozgrzewało niechęcią do Plauena, zapalając miłością i uwielbieniem ku Kochmajstrowi, jakby w nie piwniczy wsypał stosownego do okoliczności proszku.

A na zamku malborskim siedział mistrz Henryk von Plauen i wcale niewesołymi bawił się myślami.

Wiedział on o wrzeniu i niechęci, jakie się podnosiły w Zakonie, nie przypuszczał jednak nigdy, żeby gad zjadliwy aż tak daleko zapuścił swe korzenie. Czuł się wielkim i o tej wielkości i sile miał jak najwyższe pojęcie. Ba, nie tylko pojęcie, lecz wprost mówił:

— Nikt mnie zastąpić nie zdoła, beze mnie byłyby to tylko zgliszcza Zakonu!

Nie trapił go więc niepokój o jego własną osobę, zdawała mu się nadto potężną i nietykalną, lecz w tej chwili otrzymał wieści o bliskim już dojściu do skutku zjednoczenia Litwy z Polską. To go nurtowało.

— Byłoby to już rzeczywistą zgubą Zakonu — wyszeptał targając szeroką dłonią siwiejącą brodę.

Wtem krótki głos trąbki z wieżycy ozwał się po dwakroć.

„Ktoś ze swoich" — pomyślał Plauen z pewną otuchą.

I mimo woli przysunął się do okna. Lecz nic nie dojrzał. Okno wychodziło na boczny dziedziniec. Chciał klasnąć w dłonie i kazać dowiedzieć się, kto by przybywał, wstrzymał się wszakże i szepnął:

— Zbytnia ciekawość w żadnym razie nie przystoi.

Nie potrzebował wszakże długo czekać. Zjawił się Hilt, od niejakiego czasu knecht służbowy, i rzekł:

— Jego miłość Henryk Leuchter, marszałek Zakonu.

I oto zaraz wkroczył znany nam dostojnik, a za nim kilku uzbrojonych rycerzy.

— Każ im odejść! — zawołał wielki mistrz, marszcząc brwi groźnie.

Lecz marszałek stanął przed nim i skłoniwszy się według wszelkiego regulaminu, uroczystym rzekł głosem:

— Z postanowienia najwyższej rady Zakonu mam rozkaz uwięzienia waszej dostojności!

I trzymał przed jego oczyma pergamin opatrzony podpisami dwunastu komturów, na których czele widniało nazwisko Kochmajstra.

Plauen rzucił okiem na pismo.

Wszystko było według nakreślonej ustawy Zakonu. Wstał więc, wyprostował się, obrzucił pełnym pogardy wzrokiem byłego swego doradcę i rzekł:

— Gdzież mnie zawiedziesz, ty podły lisie?

Leuchter skinął na przybyłych z nim zbrojnych. Ci przysunęli się z przygotowanymi więzami.

— Co? — zapytał Plauen tak wyniosłym głosem i zmierzył ich tak dumnym spojrzeniem, że ci opuścili ręce. — Czy myślisz, ty psie podły, ty hańbo Zakonu, że ja, wielki wasz mistrz, jestem takim, jak ty, gadem?! — zawołał Plauen. I splunął w twarz Leuchterowi, a otworzywszy okno, grzmiącym głosem rozkazał: — Zbroję i konia!

I siadł najspokojniej na dawnym swym miejscu. Leuchter nie spuszczał go z oczu. Plauen zdawał się nie postrzegać jego obecności. Patrzył dumnie przed siebie, a żaden muskuł na jego twarzy nie drgnął niepokojem. Lecz żaden też odgłos w podwórcach nie znamionował obrony.

Głuche stąpanie kopyt końskich i chrzęst niesionej zbroi przerwał ciszę. Plauen podniósł się. Otoczyli go zbrojni.

Gdy był przed gankiem i giermek chciał mu podać zbroję, Leuchter odsunął go, odzywając się rozkazującym głosem:

— Zbroja i miecz niepotrzebne!

Hilt wykrzywił uśmiechem swą płaską twarz. Ulubiony pies nawinął się pod nogi Plauena, lecz ten kopnął go w brzuch ostrogą tak silnie, że od razu jelita z niego wyszły, a biedne zwierzę tarzało się w konwulsjach konania.

— Tak będzie z całym Zakonem! — rzucił Plauen, wskazując psa, i dosiadł konia.

Otoczono go ze wszech stron. Leuchter jechał tuż obok, bacząc na każdy ruch więźnia.

Po kilku dniach smutnej jak pogrzeb podróży dojechano do Pokrzywna, czyli Engelsburga, w Grudziądzkiem. Gdy podwoje engelsburskiego zamku zamykały się za byłym mistrzem, ten donośnym głosem zawołał:

— Przy obiorze Kochmajstra wyprawcie jednocześnie ucztę na zgliszczach Zakonu!

UNIA W HORODLE

Jagiełło, chcąc przyciszyć umysły niezadowolone z pokoju toruńskiego, starał się wszelkimi siłami kraj wewnątrz i zewnątrz umocnić. Nadarzyła się ku temu sposobność. Zygmunt Luksemburski w tym czasie ogłosił się cesarzem niemieckim, potrzebny mu więc był spokój od strony wschodniej. Zaprosił więc Jagiełłę na uroczystości koronacyjne, a chociaż ten nie wierzył chytremu Luksemburczykowi, chociaż niechętnie podróż do Wiednia i węgierskiego Budzynia podejmował, pojechał wszakże w otoczeniu najznakomitszych panów duchownych i świeckich, na których czele stał uczony podkanclerzy, arcybiskup Mikołaj Trąba, oraz Jan z Tarnowa i wielu innych. Brakowało jeno ulubieńca i sekretarza królewskiego, Zbigniewa z Oleśnicy, bo ten za zezwoleniem króla na duchownego właśnie się kształcił. Miejsce jego zastąpił Jan Mężyk, również biegły w piśmie i językach cudzoziemskich.

Zygmunt dla zjednania sobie sojusznika w Polsce odstąpił jej 12 miast polskich, o które ciągłe były spory.

Węgrzy chętnie na to patrzyli, mieli bowiem swoje rachuby na Władysława Jagiełłę. Panowie polscy również nie byli krzywi z nabytku na granicy węgierskiej, mówiąc:

— Choć tym sposobem wynagrodzimy sobie nieco niedobory, które nam się od Krzyżaków należały.

— A trzeba też baczyć i na przyjaźń z Węgrami — dodawano.

Ale chytry Zygmunt, jak zwykle, płaszcz na dwóch ramionach nosił, jednocześnie więc i Jagielle składał hołdy, i Krzyżaków do wojny z Polską podburzał, i Plauena namawiał do przyjaźni z Witoldem ku oderwaniu Litwy.

Całym szczęściem dla nas były owe niezgody w Zakonie.

Witold nie wchodził w układy z Krzyżakami, bo na swoją rękę politykę prowadził, obracając wciąż oczy na wschód, na Ruś. Ludność zaś Litwy i Żmudzi, nękana wciąż przez Krzyżaków, skłaniała się coraz więcej ku Polsce, widząc w niej jedyną dla siebie pomoc. Tę ostatnią skłonność postanowił Jagiełło wyzyskać i na jednej z poufnych narad rzekł:

— Trzeba Litwę z Polską w jedno państwo połączyć.

— Jest to myśl tak wielkiej doniosłości, iż możemy jeno najmiłościwszemu panu spełnienia onej życzyć! — skłonił się Jan z Tarnowa.

— A najpierwszym krokiem ku temu jest pilne rozszerzenie i ugruntowanie chrześcijaństwa na Litwie i zaprowadzenie wiary świętej na Żmudzi — ozwał się podkanclerzy państwa, arcybiskup Mikołaj Trąba. Kobieta

— Rzecz to duchowieństwa — odparł monarcha.

— I niewiast — dodał podkanclerzy z uśmiechem.

Spojrzano na niego z wielkim zdziwieniem.

— Tak, niewiast — powtórzył. — Tam gdzie ksiądz dotrzeć nie zdoła, niewiasta obdarzona silną wiarą, a także delikatnością obejścia, potrafi. A ku temu potrzebuję waszego zezwolenia, miły kasztelanie — zwrócił się do Jana z Tarnowa.

Kasztelan pojrzał nań zdziwiony.

— Nie dziwujcie się — pochwycił podkanclerzy — Salomea Bobrownicka jest pod waszą opieką. Bez waszego zezwolenia żadnego ważniejszego kroku nie uczyni.

— A bez mego zezwolenia zaręczyła się z jakimś fryzlandzkim książątkiem bez znaczenia i ziemi — przerwał dość niechętnie kasztelan.

— Ale zaraz ku wam z tą wieścią wysłała, a Karol von Leuwarden po uzyskaniu rozwiązania ślubów w Rzymie osobiście wam hołd złożył — przypomniał podkanclerzy. — A nawet najmiłościwszemu panu miał szczęście być przedstawionym — dodał.

— Przypominam sobie — rzucił Jagiełło. — Ale o cóż rzecz właściwie idzie? — zapytał.

— Żeby kasztelan, jako opiekun, dał pozwolenie Salomei Bobrownickiej do przybrania sobie właściwego otoczenia i wyruszenia na Żmudź w celu szerzenia i wszczepiania wiary świętej, a tym sposobem przygotowania jeszcze więcej umysłów do połączenia się zupełnego z Polską.

— Przecież ta wasza misjonarka ma już naturalnego opiekuna w małżonku, owym książątku — uśmiechnął się Jagiełło.

— Nie, najmiłościwszy panie — ozwał się kasztelan — Karol von Leuwarden otrzymał uwolnienie od przysięgi danej Krzyżakom, z warunkiem, że przez lat trzy odbywać będzie pokutę w jednym z najsurowszych klasztorów. Wybrał sobie klasztor ojców cystersów w Jędrzejowie, a tam odbywając pokutę, uczy się jednocześnie polskiej mowy.

Król, który lubił wiedzieć o domowych sprawach swych poddanych, uśmiechnął się i rzekł:

— Wielce osobliwa historia!

A kasztelan rzekł uprzejmie do arcybiskupa:

— Skoro jego ekscelencja uważa, że mieszanie się kobiet w sprawy rozszerzania wiary świętej może być przydatne, wydam zaraz rozkazy, żeby do Bobrownik zaniesiono moje pozwolenie.

— Będzie to krok ku połączeniu Litwy z Polską — uśmiechnął się król.

I zaczął snuć rozmaite plany co do zwołania szerszej narady.

Było to już w jego charakterze, że gdy raz co postanowił, chciał niezwłocznie postanowienia onego dokonać. Rozesłano też zaraz wici, zapraszając panów polskich na zjazd do Sieradza.

Jednocześnie Mikołaj Habdank Skarbek z Góry i Jan Nałęcz wyjechali na Litwę dla porozumienia się z Witoldem, który w owym czasie świeżo zbudowany w Wielonie zamek obsadzał. Przybycie panów polskich wielce było na rękę Witoldowi.

„Muszą się ze mną liczyć — myślał sobie — zarazem dam tym dowód mistrzowi inflanckiemu, że mam takich, którzy po mojej stronie staną, i o jego groźby zgoła nie dbam".

Przyjął też posłów z wielką okazałością, mówiąc:

— Dobry to znak dla nowego zamku, gdy najpierw takich dostojników w podwojach swoich gości.

— Z rozkazu monarchy przynosimy jego wielkości darowiznę zameczków na Podolu — ozwał się Habdank i wymienił nazwę onych. Dar

Witold uśmiechnął się i rzekł:

— Wielcem wdzięczen królowi polskiemu, a memu stryjecznemu. Od przybytku głowa nie zaboli.

W duszy zaś rzekł:

„Musi mnie potrzebować, że tak obdarza. Ano, zobaczymy".

W dalszej rozmowie Jan Nałęcz tak począł:

— Nie będzie nigdy spokoju ani od Krzyżaków, ani od mistrza inflanckiego, póki Litwa i Polska nie zjednoczą się w jedno państwo.

„Aha, już wiem, gdzie raki zimują — pomyślał sobie Witold — chce mnie stryjeczny z Litwy wydziedziczyć".

Głośno zaś rzekł:

— Toć się Jagiełło mieni królem Polski i Litwy...

— Tak — podjął Habdank — ale dla szczęśliwości obu narodów trzeba zupełnego zjednoczenia; trzeba żeby Litwa i Polska miały jednakowe prawa.

Wtem gwar, płacz i szczęk broni dał się słyszeć za oknami zamku.

Zerwał się Witold, zerwali się goście. Wtem wszedł urzędnik skarbowy, oznajmiając:

— Tłum ludu przyszedł ze skargą, że im podjazd krzyżacki zabrał dobytek, a kobiety i dzieci zabiera do niewoli. Tenże sam podjazd gotuje się do oblegania zamku.

— Gotować się do obrony, zwołać, kto żyw w zamku! — wydawał Witold rozkazy, zgrzytając zębami. I przypasywał miecz, a jednocześnie zwracając się do posłów, mówił: — Wybaczcie, muszę przyjąć nowych gości.

— My z wami! — zawołał Skarbek, oglądając się za odpasanym mieczem.

— Mamy nieszpetny, dobrze uzbrojony poczet. Trzeba mu dać rozkazy — rzekł Nałęcz.

I pochwyciwszy miecz, wybiegł, a Skarbek i książę pospieszyli za nim.

— Nie czekać, aż się wezmą do szturmu, wyjść naprzeciw! W polu damy im radę! — rozkazywał Witold.

Wkrótce niewielka załoga co tylko wystawionego zamku przebiegła most i nim Krzyżacy się opatrzyli, otoczyła ich ze wszech stron.

Zawrzała walka sroga, zacięta.

Chłopi okoliczni usłyszawszy, że książę stanął w ich obronie, pochwycili topory, siekiery, drągi, co kto miał pod ręką, zajęli tyły Krzyżakom, a kobiety i dzieci podawały kamienie lub z całej siły rzucały je na nieprzyjaciół. Dowództwo nad nimi objęła młoda i rosła dziewka, z nią druga, dość leciwa, ale wielce krzepka i sprawna, umiejąca sobie radzić jakoby wódz wyćwiczony.

Po dwugodzinnej walce Krzyżacy leżeli zabici lub ranni pod murami Wielony; inni, powiązani przez chłopów, rzuceni jak snopy, oczekiwali swego losu.

Był to ostatni już krok gwałtów i napadów, uczynionych z rozkazu mistrza Plauena. Witold, uradowany z odniesionego zwycięstwa, odpasując miecz okrwawiony, rzekł jakby do siebie:

— Tak, połączenie Litwy z Polską jest konieczne! Zatoczyć beczki z piwem w podwórzec, nie żałować jadła! — rozkazał. A zasiadłszy z posłami przy biesiadnym stole, napełnił puchar miodem i wzniósłszy go do góry, zawołał: — Za zdrowie naszych gości, a też za pomyślność połączenia Litwy z Polską!

I wychylił puchar do dna.

— Za zdrowie księcia Witolda, wielkiego wojownika, i pomyślność obu złączonych narodów! — zawołał Skarbek, wznosząc z kolei puchar.

— Za szczęśliwe powodzenie zamku Wielony, który z wspólnie przelanej naszej krwi chrzest otrzymał! — zakończył Nałęcz.

Serdeczności, wylaniu uczuć i wypróżnianiu pucharów nie było końca. Aż książę rzekł:

— Toć się i tym dzielnym białogłowom coś należy, które objąwszy nad niewiastami dowództwo, tak umiejętnie nam dopomagały.

— Nie darmo ksiądz arcybiskup Mikołaj mówił, że gdzie duchowny ni rycerz wcisnąć się nie zdoła, tam niewiasta dosięże! — rzekł z uśmiechem Skarbek.

— Jakoż? — zapytał Witold.

Więc mu opowiedziano rozmowę i wysłanie niewiast na Żmudź dla szerzenia wiary świętej.

Witold szczerze był tym opowiadaniem nie tylko ubawiony, ale wprost do głębi przejęty.

— Pozwolicie, ichmoście, aby one białogłowy weszły? — zapytał.

— Ba, czemu nie! — odpowiedzieli jednogłośnie.

Niebawem z rozkazu Witolda wprowadzono owe dwie niewiasty. Miały już czas zrzucić opylone i okrwawione szaty, a w szarych płótniankach i takichże namitkach bardzo dostojnie wyglądały. Nie zasromały się też widokiem rycerzy.

— Sienicha! — zawołał Witold.

— Do usług jego książęcej mości — rzekła skłaniając się stara.

— Boga mi, toć to dziedziczka Bobrownik! — zawołał Nałęcz.

— Nie mylisz się, cny rycerzu — odparła skinąwszy głową Sala.

— Toć i mnie z waszych rąk opatrunek się dostał pod Grunwaldem — mówił podchodząc ku niej Skarbek.

— Jako przystało, jako przystało — rzekła z uśmiechem Sala.

— Ale skądże was losy tutaj jako aniołów opiekuńczych przyniosły? — zapytał Witold, przypatrując się z wielkim zajęciem Sali.

— Przyszłyśmy na Żmudź, by jak najprędzej ujrzeć zatknięty krzyż na miejscu pogańskich ołtarzy — rzekła dziedziczka Bobrownik.

— I doczekać się zbratania obu ludów — dodała Sienicha.

— No no, jakaż to siła i wytrwałość! — dziwił się Witold.

— Bo jestem Polką! — rzekła Sala, podnosząc głowę.

— A ja Żmudzinką! — dodała Sienicha.

I nie było końca zapytań.

Zaproszone do biesiadnego stołu, wcale się nie sromały. Opowiadały jeno z wielką prostotą, że lud coraz więcej nabiera zaufania do wiary świętej.

— Jeżeli tak dalej pójdzie, przy łasce bożej wkrótce cała Żmudź zostanie nawrócona — mówiła Sienicha.

— I wraz z Litwą złączona z Polską — dodała Sala.

Witold w wielkim uniesieniu i podziwie traktował obie jako rycerzy. Wychylił puchar za zdrowie, a napełniony znów miodem, podawał jednej i drugiej. Lecz kobiety podziękowały mówiąc:

— Prócz wody, żadnego innego napitku nie używamy.

A posiliwszy się nieco, wysunęły się prawie niepostrzeżenie, zostawiając w podziwie i wielkiej zadumie tak Witolda, jak i jego gości.

Rzeczywiście, praca Sienichy i Sali, podejmowana niespełna od roku, dawała zdumiewające wyniki. Zdawało się, że jakaś nadzwyczajna łaska, cud towarzyszy poświęceniu dwóch przejętych wielką ideą niewiast.

Gdy Skarbek i Nałęcz wrócili do Krakowa, niosąc wieść pomyślnie załatwionej sprawy z Witoldem, król, który przez ten czas zwoływał zjazdy i przygotowywał przez swych zaufanych umysły, powitał ich z rozradowanym obliczem, mówiąc:

— Wszystko idzie jak najlepiej, za kilka niedziel dokonamy zjednoczenia!

A wybrał ku temu Horodło nad Bugiem, w ziemi chełmskiej, uważając je jako punkt środkowy tak dla Polski, jak i Litwy, a również Wołynia i wielu innych ziem do Korony należących.

I oto od pierwszej połowy 1413 roku czyniono ku temu przygotowania.

Król wysłał ładowne wozy nie tylko z żywnością, lecz i bogatą bronią, szatami, futrami, przeznaczonymi na podarunki dla panów żmudzkich i litewskich. Nie brakło też i rozmaitych bisiorów, łańcuchów i złotogłowia dla ich żon i córek.

A jako król wysłał wozy ładowne, tak ze wszystkich stron: z południa, ze wschodu, zachodu i północy ciągnęły wozy panów polskich i litewskich oraz poczty strojno odziane. A wśród pocztów rycerskich widniały ciężkie kolebki, w których jechały białogłowy, ale jeno co starsze i poważniejsze. Młode bowiem konno, na siodłach doskonale wymoszczonych i bogato odzianych, że nieraz i szmat ziemi kupiłby za takowe. Jechały buńczuczno, dotrzymując rycerzom. A co było żartów i śmiechu w onej podróży, to trudno byłoby spisać, a nawet opowiedzieć.

Oprócz zaś tych strojnych i bogatych pocztów i kolebek ciągnęły skromnie odziane oddziały jezdnych i parcianką okrytych wozów. Boć jeżeli możni mówili sobie:

— Połączenie Litwy i Polski przyniesie szczęście krajowi — to lud z westchnieniem powtarzał: — Jeżelić mądre głowy robią to połączenie, nie tylkoć samych bogatych mają na myśli.

A inni dodawali:

— Aby jeno raz na zawsze od Krzyżaków nas uwolniono.

Szczególniej lud Litwy i Żmudzi tuszył sobie, że gniotąca go ciągle pięść krzyżacka będzie miała w onym połączeniu zaporę.

A niewiasty tak z Litwy, Żmudzi, jako i Polski myślały sobie:

„Świat szerszy się obaczy i wielu rycerzy, trzeba strojno wystąpić".

Co starsze, mające córki dorodne, gładziły im włosy, dodawały do sepetów[54] świecideł, żeby w nie dziewki swe w dzień uroczysty ustroić, a w myśli szeptały modlitwę:

„Żeby jej też najwyższy godnego zdarzył małżonka".

Książę Karol von Leuwarden, skończywszy pokutę zakonną, wydobył zaledwie z całego swego dziedzictwa jeno skarbiec i część pieniędzy, które mu opieka rzuciła. Ale nie dbał on o swoje księstwo. Przyjął poddaństwo polskie, chodziło mu jedynie o Salę Bobrownicką i dotrzymanie przez nią danego słowa. Wielce też był zmartwiony, gdy, po odbyciu pokuty, w Bobrownikach jej nie zastał. Gdy mu powiedziano cel, dla którego porzuciła domowe progi, rzekł:

— Poznaję w tym szlachetne serce Sali!

Przybrał więc nieszpetny poczet i z wiernym sobie Bonifacjuszem pociągnął pod Horodło.

Tam rumor był wielki, bo oto właśnie przygotowano po lewej stronie Bugu wzniesienie dla monarchy i przedniejszych panów, a nieco na uboczu dla ich żon i córek. A po prawej stronie rzeki — dla Witolda, jego dostojników, znaczniejszych bojarów, także i ich niewiast.

Kiedy Karol von Leuwarden pokłonił się Janowi z Tarnowa, jako opiekunowi Sali, ten rzekł:

— Szczęście, jakie cię czeka z pojęciem za małżonkę takiej narzeczonej, jaką jest Sala, nie byle szczęściem nazwać się może!

— Postaram się zasłużyć na nie, wypłacając się swą pracą krajowi, któremu wiernie chcę służyć — odrzekł Karol.

Po czym kasztelan przypomniał go królowi, a monarcha polecił w swoim orszaku go umieścić.

Aż oto wśród iskrzącego się pogodą jesiennego słońca wypłynęły łodzie od jednego i drugiego brzegu rzeki. Na jednych powiewały chorągwie i znaki polskie, na drugich — litewskie i żmudzkie. A w słońcu błyszczały tysiącem najcudniejszych barw, a skłaniając się wzajem ku sobie, zdawały się mówić:

— Niechaj, jak to słońce, co nas ogrzewa, i miłość bratnia nas zjednoczy!

Wtem uderzył dzwon. Uciszyło się wszystko. Wtedy arcybiskup i podkanclerzy państwa, Mikołaj, powstał i donośnym głosem czytał:

— *My, prałaci, rycerstwo, szlachta i cały naród Korony Polskiej, chcąc pod tarczą miłości spocząć i pobożnym ku niej dysząc uczuciem, dokumentem niniejszym zespalamy się i jednoczymy ze szlachtą, bojarami i narodem wszech ziem litewskich. A jako od dnia dzisiejszego, 2 octobra anno 1413, zjednoczeni, jako dwa bratnie narody, tak odtąd też szlachtę i bojarów litewskich przypuszczamy na wieczne czasy do naszych herbów i klejnotów, i godności, i godeł naszych, któreśmy odziedziczyli po ojcach i przodkach naszych, a którymi oni cieszyć się mają, jak gdyby takowe po swoich własnych przodkach otrzymali dziedzictwem. Niechaj więc zjednoczą się z nami i staną się równymi we wszystkich przywilejach i prawach. I przyrzekamy im słowem czci i przysięgi nie opuścić ich w żadnym niebezpieczeństwie, a u panów naszych, Władysława, króla polskiego, jako i u księcia Witolda, stawać zawsze i wyjednać, aby coraz szerzej rozwierali dla nich rękę szczodrobliwości, aby ich coraz hojniejszymi darzyli swobodami, aby nigdy nie przestawali przymnażać im łask i pożytków.*

Nie wiadomo, czy wszyscy przedstawiciele obu narodów ten akt wielkiej doniosłości usłyszeli, lecz ozwały się głośne okrzyki a wybuchy serdeczności i braterstwa, że bodaj rzucać się jeno sobie będą w objęcia, do czego nawet i bystro płynący Bug przeszkody bodaj nie uczynił.

A Jagiełło powstawszy położył rękę na sercu i głosem pełnym wzruszenia mówił:

---

[54]*sepet* (daw.) — szkatułka, skrzynka, podróżna komódka z szufladkami. [przypis edytorski]

— Niech mi Najwyższy dopomoże, ażebym mógł zawsze pracować dla szczęścia obu zjednoczonych ludów, a tak Polskę, jak Litwę, broniąc od nieprzyjaciół, do wielkiej szczęśliwości doprowadził.

— Bracie, dokonajmy zjednoczenia! — zawołał z pełnych piersi Witold.

I obaj rzucili się sobie w ramiona, zapominając w onej chwili wszelkich uraz, jakie między nimi wciąż tkwiły.

A po tej serdeczności panujących już każdy dał folgę swoim uczuciom.

Stoły zastawione gromadziły wszystkich, a przy wspólnej biesiadzie spełniło się życzenie wielu matek: córki ich znalazły zacnych rycerzy, którzy im przyrzekli miłość, cześć i opiekę dozgonną.

A między innymi Jakub Bobrownicki, puszkarz nad puszkarze, który nosił już miano chorążego, oprócz wielkiej miłości do armat, nabrał również wielkiego sentymentu dla Żwajżgdy, która z rodzicami na tę uroczystość przybyła.

Król obdarzał znaczniejszych panów litewskich szatami, bisiorami i klejnotami, a już najhojniej narzeczonych. Rzekłbyś, nie monarcha wśród poddanych, lecz patriarcha między liczną rzeszą swych krewniaków.

Aż oto Jaśko z Tarnowa przywiódł przed niego księcia Karola von Leuwardena i Salę. Król spojrzał na dorodną parę z upodobaniem i rzekł:

— Tej bojowniczce należy się wiele. Jej staraniom zawdzięczamy życie wielu rycerzy, bodaj i jej gorliwości skłonność Żmudzi do świętej wiary i dzisiejsze pojednanie.

I własnoręcznie włożył na jej palec sygnet z tak wielkim i czerwonym kamieniem, iż zdawało się, że zorze blasku zazdrościć mu będą.

— Ale ty, książę Karolu von Leuwardenie, nowy nasz poddany, musisz sobie zasłużyć na szczęście, jakie cię spotyka, jako też zasłużyć się nowej ojczyźnie.

Karol schylił głowę w ukłonie, a król mówił dalej:

— Nim odprawimy gody weselne, powieziesz do państw włoskich, a szczególniej do potężnej a handlowej Wenecji, nasze zawiadomienie o wielkim spełnionym akcie, to jest o unii w Horodle między Litwą a Polską.

Zaszczyt ten może nie w smak był Leuwardenowi, ubrał jednak w uśmiech twarz swą dorodną, a przykląkłszy na jedno kolano, rzekł:

— Dołożę wszelkich sił, ażeby godnie spełnić rozkazy waszej królewskiej mości.

Król obdarzył go wielkim szczerozłotym łańcuchem ze znakiem Polski i Litwy, a zwracając się do podkanclerzego, polecił:

— Wasza miłość opatrzy naszego posła we właściwe ku temu papiery. — Potem rzekł do Witolda z uśmiechem: — Że ten poseł wkrótce powróci, jestem przekonany.

— Nie wątpię! — odparł książę, uśmiechając się przyjaźnie.

Bonifacjusz i Sienicha, również obdarzona dobrym słowem i datkiem przez monarchę, patrzyli ze łzami na swych ukochanych.

W niespełna pół roku Karol von Leuwarden wrócił niosąc odpowiedź dworów włoskich nader przychylną. Wyrażano zadowolenie z połączenia się dwóch narodów przez Krzyżaków prześladowanych.

Odpowiedź ta, a zwłaszcza odpowiedź Wenecji wielce przemożnej i handlowej, a wchodzącej z Polską w przymierze, uradowała Jagiełłę. Podnosiła bowiem znaczenie Polski i Litwy wobec państw europejskich, a zarazem przedstawiała widomie Zygmuntowi Luksemburskiemu, że knowania jego i zdrady nie mają już znaczenia.

Polska i Litwa urastały w potęgę, gdy tymczasem Zakon był już w zgliszczach.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/morawska-na-zgliszczach-zakonu

Tekst opracowany na podstawie: Zuzanna Morawska, Na zgliszczach Zakonu, powieść historyczna z XV wieku, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1961

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0564-4

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.